

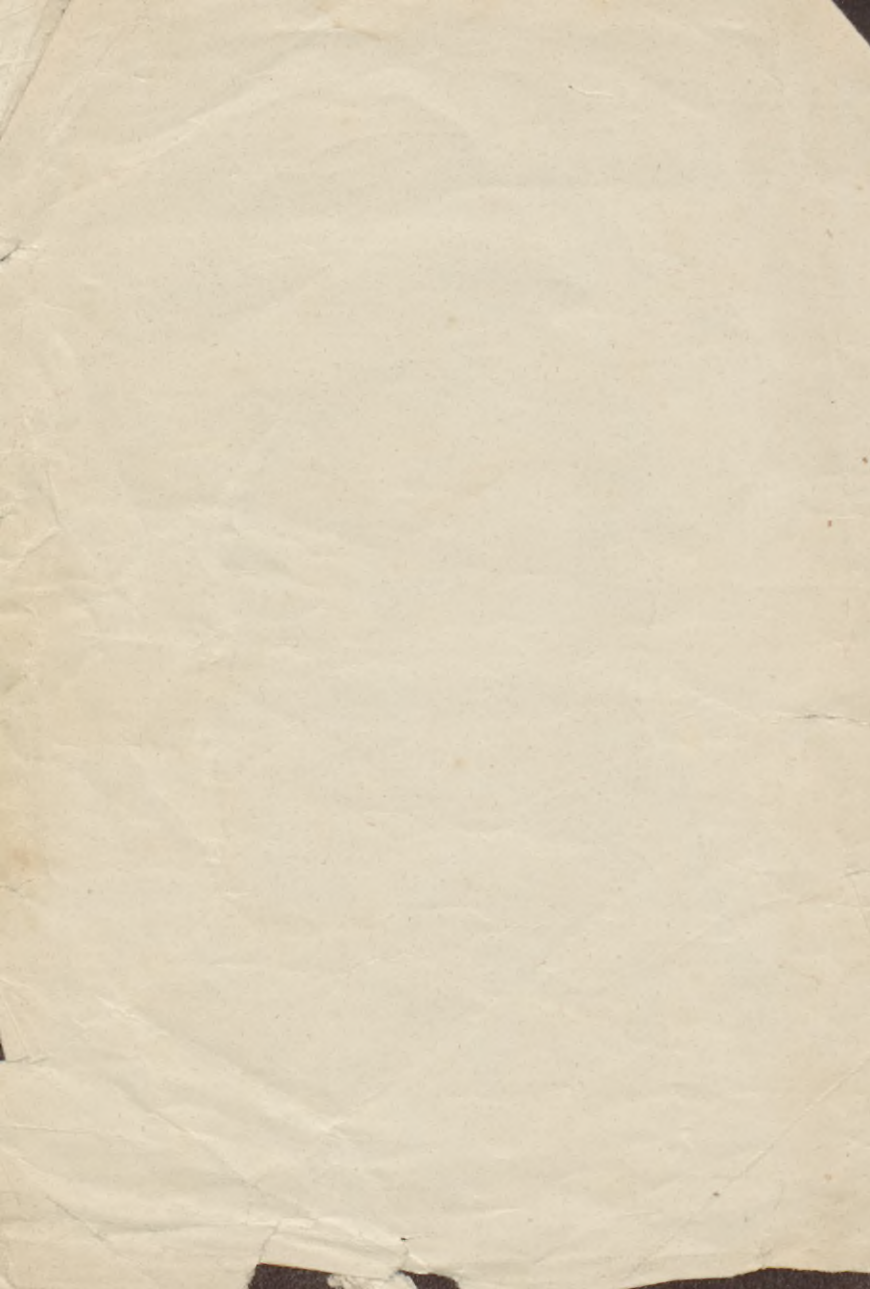
DAWEK
STAYKO



A. Korblin

Wiosna

J
E
I



JEI WIOSNA

TEGOŻ AUTORA:

- Grzesznica. Powieść. Wydanie II.
Sabath życia. Powieść w 2 tomach. Wyd. III.
z portretem autora.
Eletera. Powieść buduarowa. (Wyczerpane)
W rajskim ogrodzie. Powieść. Wydanie III.
Pod młotem losu. Powieść.
Szalona sielanka. Powieść. Wyd. II.
O błędny śmiech. Szkice wojenne
Rumieniąc duszy. Powieść. Wydanie III.
Na czasie. Nowele.
Kwiaty ziemi. Powieść.
Kain. Tragedja.
Kwitnące sady. Powieść współczesna. Wydanie II.
Legenda fał. Powieść współczesna. „Kwitnących
sądów“ część wtóra i ostatnia. Wyd. II.
Romans autora z bohaterką powieści. Powieść.
Nieśmiertelne szaleństwo. Romantyczna historia
malarza
Lukusowy grzech. „Nieśmiertelnego szaleństwa“
część wtóra i ostatnia.
Dziewczę z Jasnego Brzegu. Powieść.
Błękitne noce.
Noc czaru
-

Wszystkie prawa autorskie prawnie zastrzeżone.

Copyright by Paweł Staśko nineteen
hundred twenty six.

PAWEŁ STAŚKO

JEJ WIOSNA

POWIEŚĆ



WARSZAWA 1926.

Skład główny w Towarzystwie Wydawniczym „Rój”



225935

I.

Zegar wydzwonił kwadrans na czwartą po południu.

Nieśmiałe marcowe słońce zajrzało promienną strugą do buduaru pani Aniewiczowej leżącej w biegunowym fotelu. Skończyła właśnie przeglądać francuski żurnal mód i odrzuciła go niedbale na obok stojący palisandrowy stoliczek. Teraz zaczęło się jej zwykle poobiedne *dolce far niente*.

Spojrzała leniwie w okno opromienione słońcem. Czuć było z ciepłych i pieśczośliwych blaszków, że idzie wiosna kędyś od pól dalekich i drżąco, jakby się bała jeszcze, zagląda w miasto. Zapewne, wiosna nie rodzi się tu w mieście, lecz gdzieś tam na pagórkach odkrytych z śniegów niw; na skrajach lasów, w sercu cebulek i bulw tężnych kwiatów. Tam najpierw budzi się pierwsze życie, zakwitają baze wiklin i leszczyn, pierwiastki kwiec i jaskry. A potem ten pierwszy oddech wiosny, zamieniony w utęskniony a tak rozkoszny wiew, płynie ku miastom, aby budzić kasztany plant i parków. Płynie mróz z słońcem i niebiańską radością niesie orędzie iszczącego się szczęścia, nabiera sił i coraz żywszych tonów i słodkim szeptem wszystko co żyje wywołuje za mury miasta w otwartą przestrzeń.

Pani Aniewiczowa słyszy te pierwsze szepty wiosny, czuje, że świat za oknem już jakiś inny, widzi jak się raduje ptactwo na gałązkach drzew

rosnących na podwórzu, że wszechstworzenie dostaje skrzydeł. Widzi to, czuje, a jednak wbrew nakazowi tej ogólnej radości nie pije ustami serca i duszy słonecznego zwiastuna, który bierze ją właśnie w promieniste ramiona, ale, westchnawszy ciężko, zamyka oczy i myślą gdzieś zapada.

Lecz słońce nie dba o to jakgdyby odepchnięcie i jeszcze intensywniej oblewa blaskiem leniwą postać, swawoli po jej twarzy podniszczonej już nieco, a jednak pięknej jeszcze i powabnej.

Tak, pani Anda przeżyła już trzydzieści ośm takich zbudzonych wiośen, ma męża o dziesięć lat starszego, oraz jest matką trzech córek i dwóch synów. Pięcioro dzieci... dość, aby wyryc na twarzy niejedną zmarszczkę. A jednak pani Anda opiera się gwałtownie bezlitośnie nadchodzącej starości. Przekwita. Ale od czegoż różowy puder, barwinka, masaże twarzy? Musi! Jakżeby inaczej wyglądała — ona, dawniejsza Andzia, królowa zabaw i konkursów piękności? Musi ratować cerę, zacierać zmarszczki — chce jeszcze żyć!

Gdyby jeszcze nie tyle dzieci, gdyby tak jedno, albo żadne...

Znów o tem samem dzisiaj myśli. Co za okropny los rodzić i rodić! Ona, ta Andzia... Straszne! Echa lat wielu chmurzą jej słodki odpoczynek. Myśli nie jak dobra matka, ale jak kobieta pragnąca wiecznie triumfować, bawić się, kusić i czarować! Niestety, brutalny los! Wszystko inaczej poszło, jest teraz matką pięciorga dzieci. Jak od początku tak stale, do dziś nie nawidzi potomstwa wraz z mężem. Żal jej utraczonego życia. Przez tyle lat nie potrafiła oswoić się z potwornym dla niej stanem rzeczy, przylgnąć do dzieci, które na świat wydała, buntowała się ciągle i czuła niewolnicą. A przecież nią nie była, prze-

ciwnie, mąż ją na rękach nosił, obsypywał dostatkami i kochał. Stać go było na wszystko jako bankiera. Ale nie kupił żony tej urodziwej Andzi, nie. Sama wyszła za niego, chciała, właściwie wyszła z wściekłości, z zemsty. Jakaż to dziwna była zemsta! Kiedyż to było? — przed dziewiętnastu laty...

Właśnie z przymkniętymi oczyma myśli o tem w tej chwili. Prawie codziennie o tem myśli.

...Karnawał. Tańczy, króluje... Ach! jaka rozkosz tak królować! Każdy szuka jej łask, spojrzenia i uśmiechu. Skąpi, ale rozdaje. Wieniec młodzieży otacza ją, jedną. Wybiera jak królowa. Upaja ją niezwykle powodzenie. Zazdrosny narzeczony stoi w kącie pod palmą i wściekłym choć kochającym wzrokiem spogląda na nią. Widzi to, czuje, rozumie, a jednak nie dba o to. Owszem, sprawia jej to nawet przedziwną radość. Jest odurzona muzyką, tańcem, spojrzeniem pełnem uwielbienia i pochlebstw. Jakżeż to słodkie, upajające! A przedewszystkiem ten, ten dziś poznany... Tańczy z nim właśnie, przeważnie tylko z nim. Jakże on cudnie szepce, jak ją rozkosznie umie objąć i jaki piękny! Jakaż moc tryska z niego, jak mu się iskrzą oczy, jaki szalenie kusicielski! Tańczyć z nim wiecznie... wiecznie! Pić jego żar, siłę, poddawać się uściskom! On jeden taki śmiały, pewny swej mocy, zwycięski... W głowie jej szumi, budzą się zmysły, miłość — już lgnie ku niemu całą sobą. O tamtym, tam pod palmą stojącym, zapomina. Wmawia w siebie obecnie, że go nie kocha i nie kochała nigdy. Dziś nią zawładnął inny. Teraz dopiero poznaje miłość, oslepiającą miłość! Jakiś przestódki niesie ją strumień, niesie na słodkich falach, a ona się poddaje i płynie... płynie...

...Po balu. Zrywa ze zrozpaczonym narzeczonym. Odchodzi od niej, kocha ją jeszcze, lecz przeklina.

Teraz nowy królewicz... Schadzki, codzienne schadzki. Tea r, dancingi, a potem, jak urzeczona demoniczną mocą objawionego królewicza — wpada w jego ramiona. Wpada bez sił oporu, głodna jego pieszczoty i pocałunków, głodna rozkoszy — od chwili tego balu nieprzytomna i rozkochana bezgranicznie...

Przez jeden tydzień wije się pieśń uniesień — grają zmysły, odmęt słodkiej wichury niesie ich kędyś w bezdnie. Przez jeden tydzień tylko! Nasycony kochanek znika nagle i ginie, jak meteor. Jak błyskawica przebiegł po horyzoncie i nie wróci. Upoił się ofiarą i z wyzyna szczęścia stracił ją w przepaść.

Okropne dni oczekiwania, a potem list: żegnaj, nie wróć... zapomnij!

...Rozpacz, a potem lęk, ów lęk przed idącą przyszłością...

Wraca pierwszy królewicz... odszedł, lecz wraca, wiecznie ją kocha.

Jednak nie chce go przyjąć, nie, nie! Coś mścić się każe i siać cierpienie z łona swych cierpień. Och, mścić się, mścić! Wszyscy jednacy, podli!

Trzeba jednak coś począć: coś się w niej dokonywa, z dniem każdym lęk się wzmaga...

Los zsyła bankiera. Miły, usłużny, bogaty.

Obsypuje ją kwieciami i prezentami. Oświadcza się... Nie kocha go, lecz nienawidzi, a jednak go przyjmuje. Z zawiści do całego świata, z lęku, z rozpacz... Za dwa tygodnie ślub... pięta... zda się umarła młodość. A przecież nie zupełnie umarła, ocknęła się z popiołów, czas leczył rany. Nie była wprawdzie już tą, tą dawną, ale żyć chciała i życie do niej wyciągało ramiona.

...Wreszcie przerwał powiła córkę, dziecko tamtego, który ją rzucił. Znienawidziła swoje dzie-

cko za to, że ojciec był nikczemnikiem, że uwiódł ją i porzucił. Że nie kochał miłością, jaką ona darzyła go bez granic. —

Pogodziła się z losem powierzchownie, chociaż w piersiach pozostał dziki, nie dający się stłumić ból. Nie była nigdy prawdziwą żoną, ale jakąś fatalną i z własnej woli niewolnicą. Opływała w dostatki i wzamian za to odpłacała się mężowi niewiarą. Nie z rozpusty, tylko z jakiejś wściekłości, z pasji, że i jej ktoś się sprzeniewierzył. Nadomiar musiała rodzić dzieci, bo tak chciał mąż. A więc rodziła je rok rocznie.

Nie było wyjścia, mąż kochał dzieci. Kochał i kocha oprócz tej pierwszej córki. Dziwne, niewiadomo dlaczego, wszystko zostało tajemnicą, a jednak... Może instynktem, może pod wpływem podejrzania i niepewności, że coś za wcześnie na świat przyszła... Pomimo wszystko spokój w domu pozostał, bo taka była wola i natura bankiera.

Lat dziewiętnaście — ach jakież one długiel zda się, że gdzieś z zamierzchłych czasów idą, a takie je żywe widzi w tej chwili pani Anda.

Z zamkniętymi oczyma liczy te lata, wspomnienia, chwile. Wre jeszcze walka, ból się kotłuje.

Nie czuje słońca, które się po niej przesuwa leży jakaś bezwładna i obojętna.

Wreszcie słońce poczyna się gniewać i pełnia do drugiego pokoju. Zagląda weń przez żółte koronkowe portjery, a potem wchodzi śmiało, jakby szukało kogoś...

Gdzieś w ostatnim pokoju płacze pianino. Płacze już dłuższą chwilę. Naraz pauza, a potem szopenowski mazurek. Z wielkiego smutku odezwała się radość.

Pani Anda poznaje kto tam gra i kto tak

zawsze kończy: Terenia... To ta najstarsza, odrzucona od piersi matki i ojca.

Pani Anda ócz jednak nie otwiera, tylko brwi marszczy, zaciska usta i słuca jak brzęczą natrętne muchy.

A przecież ta Terenia gra tak pięknie! — ona jedna ze wszystkich dzieci najbarcziej uzdolniona. Uczęszcza do liceum sióstr Urszulanek i na muzyczne kursa prof. Donarelli'ego. Rokują jej niezwykłą przyszłość jako pianistce. Czy bogaci rodzice puszcza ją z domu na ten chleb? Ależ, tak, tak... aby tylko najprędziej!

Panna Terenia kończy grę. Godzina w pół do czwartej, już czas iść na lekcję. Pozostawia pianino i zjawia się w pokoju, gdzie na dywanie promienie słońca zamieniły się w tęcze.

Na palcach przybliża się do lustra i patrzy na swą postać odbitą w kryształowej tafli.

Oczy matki otwierają się nagle. Podnosi twarz i poprzez oczka portjery patrzy gniewnie na córkę.

Terenia pewna, że matka śpi, nie przewiduje tego. Uśmiecha się do siebie, poprawia bluzkę, obseruuje swą kibić z płochą lubością wrodzoną jej wiekowi.

Jakże uroczę i wiosenne jest to dziewczątko! Nie, nie dziewczątko, ale już panna zakwitająca niby majowy kwiat. Ta osiemnasta wiosna czyni ją panną, o, tak — już jest nią właśnie. Wiotka, smukła jej postać prześlicznie zakrojona i owe loki jasne czynią ją pastelowym obrazkiem, godnym zachwytu i podziwu. Zda się, że wraz z tem słońcem wpłynęła do pokoju z lazuru i obłoków.

Duże, niebieskie oczy niby-to śmieją się do siebie, ale ten uśmiech jest gwałtem wywołany. Śmieją się tak jak się uśmiecha smutek, kiedy na chwilę zapomina o sobie. Brak im owej szczerzej radości

beztroskiej, jasnej, serdecznej. Śmieją się, bo śmiać się pragną chociażby chwilę — jedną.

Cudowny obraz odbija się w zwierciadle, mający w sobie coś z młodej lani i motyla i coś z anioła.

Stoi w aureoli słońca — uosobienie idącej wiosny, świeżuchna, nieskalana. Patrząc na nią doznaje się wrażenia, że za chwilę odfrunie tą świetlną strugą pod błękit niebios.

Coś jej dzisiaj weselej, pierś swobodniej od-
dycha, czuje się jak jaskółka. Pewnie pogoda tak na nią podziałała i te powiewy wiosny. Od samego obiadu była w otwartym oknie i wraz ze słońcem wdychała te pieściwe muskania powietrznych fal.

Pani Anda patrzy zjadliwie na tę niewinnie kokieterijną pozę córki i do krwi gryzie wargi. Piękne linje twarzy, nosek o żywych chrapkach przypominają jej kogoś, kto podeptał jej miłość. Podobieństwo panienki za silne, aby się w oczy matki na każdym kroku nie rzucało. Pani Anda uważa to za widmo, które po to istnieje, aby jej wiecznie przypominać ów bal przekłęty.

Dopóki jeszcze Terenia była małą dziewczynką, gdy rysy liczka były słabo czytelne, matka do pewnego stopnia poskramiała swą zawiść, aliści od jakiegoś czasu duszony jad przeżarł się przez powłokę serca i począł truć stosunek tych dwóch tak bliskich sobie istot. Terenia rosła w oczach i stawała się „tamty” w formie wprost idealnej, co już do dzikiej nienawiści doprowadzało matkę. Nadomiar złego czuła, że się starzeje, że schodzi z toru życia, że wiednie raz na zawsze, a ta poczyną kwitnąć najcudniejszemi barwy i wchodzić w otwarte bramy czaru młodości.

Widzi ją oto w odbiciu lustra tym rzadkim

kwiatem jakim i ona kiedyś była, potrafi teraz czytać jej myśli i uczucia, wie co jej radość znaczy, to podziwianie siebie, te wdzięczące się pozy, — wie wszystko, gdyż to przeżyła ongiś. I równocześnie wbijają jej się w myśl jej własne zmarszczki i pastelowe liczka tej przed lustrem, pociągają ją ku ziemi własne zwiędnięte kształty i widzi torsik tamtej proszący o dłóto mistrza — rzeźbiarza, widzi wprost otchłanną różnicę, w oczy bijący kontrast. Czuje, że ją odpycha życie, a do tamtej wyciąga krocie ramion, śmieje się ust tysiącem i pod stopy rzuca rajskie kobierce...

Krew jej do ocz uderza, jakiś ból ostry za krtań chwytą.

Porywa ze stolika długi metalowy sztylecik, służący do rozcinania książki i wpada do pokoju.

Terenia spostrzega matkę w lustrze i odwraca się nagle,

— Co znaczy to miżdżenie, co? — syknęła groźnie. — Na kąkotę się kształcisz? Już lepiej rozbierz się do naga i tańcz w lustrze — bezwstydnal!

Serce Tereni b.ć przestaje. Blednieje, drży.

— Proszę mamusi, ja tylko loki... wychodzę na lekcję — bełkocze przerażona.

— Milcz! Kłamiesz! Widziałam wszystko! Już to trwa kwadrans!

Równocześnie na ramię córki spada, jak pręt sztylecik.

Terenia krzyknęła z bólu.

Na białym brzegu szyi wykwita podłużna krwawa pręga.

W gwałtownym szlochu rzuca się córka w objęcia matki. Wszystko jedno kto ten cios zadał, instynkt dziecka szuka ratunku w matce.

— Mamusiul... mamusiu!... — wstrząsa Terenią łkanie.

Ale dłoń matki ją odpycha.

Odejdź! ty... ty...

Już miała rzucić jakieś potworne słowo, lecz je wstrzymała w ustach.

— Aby to było raz ostatni! Ubieraj się i na lekcję!

Po słowach tych przeszła do ostatniego pokoju, gdzie była reszta dzieci razem z boną francuską.

— Będzie panna łaskawa zabrać dzieci i iść z nimi na spacer. Dzień piękny, wszyscy zażywają przechadzki. Na w pół do siódmej proszę wrócić. Wyszła i wróciła do siebie; w drodze spotkała zapłakaną Terenię.

— Dostyc już tego krokodylego płaczu! Panna Kokota nie widzi, że już godzina czwarta?

Posłuszna córka ociera oczy chustką i wychodzi, aby się ubrać. Nie zdaje sobie sprawy jaka jej wina, wie, iż nic takiego nie robi, a coby było występem. A przecież tak dotkliwie ukarała ją matka. Dlaczego?

Coraz częściej rodzi się w duszy tej dziewczyny ogromne zapytanie — dlaczego jej tu nikt nie lubi? Dlaczego matka nigdy ręk na jej głowie nie położy, do piersi nie przytuli, nie odezwie się ciepło... Dlaczego nie pogładzi jej włosów, nie ułoży ich z matczyną troskliwością, ale odepchnie szorstko, stokroć gorzej niż obcy człowiek, dlaczego? Dlaczego w domu taki grobowy chłód? Dlaczego w innych domach tyle wesela i serdeczności? Wie to, czuła, widziała. Jakże wszędzie inaczej... Inne matki wpinają córkom kokardki we włosy własnoręcznie, kręcą im loki, pieścą, całują... Nie pamięta, aby ją kiedy pocałowała matka, lub chociaż ojciec, nie pamięta! Zawsze lodowy chłód, sztywność i opryskliwe słowa. Dlaczego? Dlaczego upier-

ścieniona dłoń matki tak często ją uderza? Wszak nie robi nia złego, przeciwnie, jest cicha, posłuszna, stale myśląca o tem, aby głośniejszem słowem nie wywołać groźby spojżenia. Chłód, chłód, ach — jakież straszny chłód! Jakże się czuje tutaj obcą i niepotrzebną! Bona ma tutaj większe prawa, nawet służąca. A ona przecież córką — a więc dlaczego tak jej źle, obco i wiecznie bojaźliwie? Zna już cośkolwiek życie z książek, z obserwacji, a jednak nie pojmuje rzeczywistości — dlaczego właśnie u nich jest tylko tak?

Pyta się i nie znajduje odpowiedzi. Czuje swą krzywdę coraz bardziej i modli się gorąco, aby było inaczej. Zamiast zmiany na lepsze, czuje się coraz to więcej obcą i odgradzoną od rodziców, a przecież mimo wszystko ona ich kocha.

Tłumi płacz w sobie i wychodzi. Ma wrażenie, że ją skopano i wyrzucono z domu. Usilnie ciszy płacz, lecz jakże trudno go uciszyć! Coś w piersiach pragnie łkać, ogromnie łkać i żalić się.

Stoi chwilę na schodach i czeka, aż jej uwolni piersi spazm. Nie może przecież płaczącą wyjść na ulicę.

Wreszcie wychodzi i gwałtem chce zapomnieć o zajściu w domu. Przyjaźne słońce wita ją ciepłem, obejmuje jak tkliwa matka z opowieści, pieści jej twarz, rozjaśnia duszę. Och, już jej lepiej, lżej. Jakżeż jest wdzięczna słońcu za tę dobrą pieśczętę — naprawdę wnetby z radości zapłakała.

— Ty moje dobre, złociste słońce! szepce dziękczynnie, spoglądając ku niebu. Boże, świat taki piękny, jasny i dlaczegoż nie wszędzie mówi do do siebie w duchu.

Widzi roześmianą ulicę w wiosennych strojach matki z córkami — jacy oni wszyscy radośni...!

Żal ją znów chwyta i gdzieś za serce szarpie.

Na rogu ulicy oczekuje jej Ludek... nie, pan Ludek, aktor. Tydzień jak go poznała u przyjaciółki. Jest dla niej dobry, grzeczny i tak dziwnie przystojny. Jakiś nimb jest wokół jego twarzy. Podobno ślicznie „gra“... Piszą o nim gazety, że należy do rzędu najświetniejszych amantów. Panna Terenia rozumie jego rolę, ale wstydzi się przyznać, że nie widziała go na scenie. Trudno, matka wzbroniła jej teatru.

Pan Ludek... Widzi go zdala jak czeka niecierpliwie. Już od dni trzech czeka tak na nią stale, odprowadza na kursa, a potem znów pod dom. Jaki poczciwy, dobry... Nie odrzuca jego grzeczności, owszem, nawet jej pragnie. Zapomina w jego towarzystwie, że w domu chłód. Wdzięczna mu za tę przyjaźń, za miłe, słodkie słowa, do których stęskniona, których tak pragnie. Dopiero poza domem poczyna żyć przez chwilę. Dopiero wtedy jest wśród ludzi i czuje inne serce. I może głośniej mówić, nawet się śmiać do syta.

Panna Terenia odrzuca siłą smutek, rozjaśnia twarz, ażeby „on“ nie poznał, że płakała przed chwilą.

Pan Ludek kłania się jej z wyszukaną gracją i uśmiecha szczęśliwy.

Podają sobie ręce. Czuje jak jej dłoń miłe ścisła jakgdyby mówił, że się ogromnie cieszy jej zjawieniem. Oczy pałają mu niby dwa wielkie ciemne kwiaty.

Terenia spogląda w głąb tych oczu i również czuje wielką radość.

— Nareszcie... już wątpilem, czy pani będzie przechodziła — mówi pan Ludek wprost aksamitnym szeptem.

— A dlaczego pan wątpił? wszakżeż mówiłam, że mam codzien lekcje...

— No tak — poczyna młody aktor — ale gdy się na kogoś tak bardzo oczekuje, jeśli się tęskni do spotkania i jeśli się go bardzo pragnie, to... ta niepewność każe wątpić... rozprasza wiarę i... bolil... dodał z przemilem drzeniem w głosie.

Terenia podnosi nań oczęta szczerze rozradowane, że ją ktoś przecież pragnie spotkać.

Ale chce się podrożyć, choć wierzy w jego słowa.

— Aż boli? Nie wierzę...

Aktor robi przepiękny gest.

— Tak? — pyta słodko? — Czy mam uklęknąć i przysięgnąć?

Terenia ujmuje go za rękę, jakby wierzyła, że gotów klęknąć.

— Już wierzę! wierzę! Czy pan to Wandzie również mówi? Widziałam pański do niej umizg...

Znow inny gest.

— Boże! Byłem tam kilka razy i już, już jakieś podejrzenia... Gdyby tak było, tobym nie szukał pani i nie wystawał na ulicy. A dlaczegoż tak czy nie? Bo tego pragnę całym sercem... bo pragnę słuchać głosu pani, napawać się jej towarzystwem, usmiechem, oczętami... ale, ale! — zboczył nagle z tematu zdaje mi się, że to oczęta cudne coś zapłakane... na miłość boską — płakała pani może?

Spowaźniał jakąś złąknioną troskliwością.

— No, a gdybym płakała? — spytała, zaskoczona jego uwagą.

— To, to ja nie wiem! Ktokolwiek byłby tą osobą co łezki pani wycisnęła, w proch bym ją zmiażdżył! — odrzekł namiętnie. Terenię cieszy ta gotowość, ale tylko gotowość. Więc jest ktoś w świecie, coby się za nią ujął i nie dał krzywdzić.

— Nie, nie płakałem — odzywa się po chwili tylko poprostu spałam... czułam ból głowy... a więc pewnie dlatego mam takie oczy.

Palilo ją to kłamstwo, ale musiała skłamać. A palilo tembardziej, że okłamuje jego, który jest dla niej oddany, dobry. Szczęściem, że strusie boa kryło tę pręgę wzwyż ramienia.

— No, cale szczęście! Naprawdę, aż struchlałem... Ale główeczka już nie boli?

— Nie.

— Faktycznie, jaki ten ból brutalny, że się uczepi takiej cudownej główki... Ach brutal!

Podnoszą na siebie oczy, spragnione takich spotkań.

— Ach, wy czarowne oczy! — poczyna naraz olśniony aktor — wy najpiękniejsze z wszystkich! Lecz niechże skończę! Otóż panno Tereniu jeśli się pragnę z panią spotkać, i spotkać jak najczęściej, to jest w tem coś takiego, co mnie nie może łączyć z Wandą... Tak... Tak — powiedział wolno, pochłaniając ją wzrokiem.

— Przecież Wanda jest tak przystojna, powiem urocza... Zna ją pan dłużej, bywa tam... a więc dlaczego ja mam być tak wyróżniona, wyjątkowo ja?

Pytała, chociaż czuła dlaczego. Poprostu niezmiernie miłem było dla niej jego zwierzenie.

— Na Allacha — dlaczego? ciągle dlaczego? Więc nie czyta pani z moich oczu, nie czuje zwierzeń ich, obce są pani? — zrobił tragiczną minę.

— Nie, nie obce — szepnęła szybko.

— Więc może wrogie, drapieżne, złe?

— Ach, nie! Tego nie powiedziałam, — są dobre, ciepłe, przyjaźne.

— Więc tylko tyle pani z nich wyczytała? — indagował, aby usłyszeć wreszcie z jej ust to słowo, które przeczuwał nieomylnie, lub choćby jego cząstkę.

— Czytam jeszcze, że mnie pan lubi, nawet

to czuję i ja wzamian też pana Ludka lubię... owszem, nawetbardzo! Czy to panu wystarcza?

Utkwił w niej swe źrenice.

— Jak pani sądzi?

— Ze... tak!

— O, to za mało! Lubieć można kotka, psa i t. d.

To jest sobie taka przeciętna kategoria uczucia... Myślałem, że te śliczne oczęta pani czytają głębiej

— wyrzekł jakby z wyrzutem.

— Owszem, czytają...

— Tylko nie chcą powiedzieć!

— Może...

— A czy powiedzą kiedy?

— Może...

— Wciąż „może“?

— A więc powiedzą...

— Kiedy? Och, gdyby tak dziś, gdyby już jutro... Wiosna się budzi, tyle wokół słońca... A szczęście... to największe, żeby tak rajem przyszło do mnie z tą wiosną — zadeklamował słodko i tęsknie. — Panno Tereniu, czy przyjdzie ono, przyjdzie? Czy się narodzi w ustach pani i sercu, czy pani mię zrozumie, czy... odtrąci?

— Jak pan tak może myśleć! Ach, dzieciak z pana... Czekajmy... Zresztą czego pan chce ode mnie? Przecież ja pana lubię — jęła się płatać — lubię szczerze, tak, jak nikogo...

Prawda patrzyła z niej i jakaś tkliwość. Jej subtelna natura i jak śnieg biała dusza poczęły w sobie drzeć, że powiedziała tyle... Nieprzywykła do rozmów z mężczyznami i takich zwierzeń. Oblał ją pons zażenowania, a nawet jakby lęku, mimo, choć tak pragnęła znaleźć serce, by mu swe biedne ofiarować!

To wystarczyło na teraz aktorowi. Doznał triumfu. Nieznacznie uchwycił ją za ramię.

— Ja wiem... wiem... Nad życie panią kocham
modulował szeptem — nad wszystko w świecie!..

Mimo, choć jej już wczoraj szepnął to słowo
przy pożegnaniu, przecież i teraz wtrząsnęło nią do
głębi, jak utęsknione objawienie. Więc jest kocha-
ną, a więc jest ktos, kto ją utulić może w płaczu
i pocieszyć, na którego ramieniu może skłonić
znękaną głowę i odczuć balsam niedoznanego nig-
dy szczęścia.

— Pierwsze fiołkil... pierwsze fiołkil — ozwał
się nagie głos biednego dziewczątka z koszykiem
w ręku. — Panie kup pan fiołki!..

Więc już naprawdę idzie wiosna — idzie...
wszak już ta mała, obszarpana kwiaciarka ma jej
zwiastuny.

Aktor przystaje i kupuje bukietek.

— Proszę panny Tereni... wiosenny upominek...
Jak pachną!

— Dziękuję panu!..

Bierze kwiatuszki i do ust niesie. Woń ją odu-
rza, skrycie całuje je ustami, coś w piersiach budzi
się, rośnie i na głos pragnie krzyknąć. To powódź
szczęścia rośnie... Budzi się, jak ta wiosna i na świat
wybiec pragnie. Radość szuka radości, ciasno jej
w piersiach, dostaje skrzydeł.

Szczęściem, że już dom kursów, bo serduszko
Tereni ledwie ucisza w sobie szloch radości.

— A więc za dwie godziny... Czekam na rogu...

— Tak, proszę!..

— Pa!

I słodki ukłon. Za dwie godziny znów się
spotkają.

Tymczasem pani Anda stoi przed lustrem
i pachnącym olejkiem naciera szyję, ramiona, piersi.
Czyni się młodą, wonną, ponętą. Skalała córkę
mianem kokoty, nie wiedzącą może co ten wyraz

oznacza, a teraz sama, niby bachantka wyuzdana obraca się przed lustrem i stwarza powab...

Dzieci na plantach, mąż od dni kilku nieobecny, więc przyjdzie „on“. Był wczoraj, przybędzie dziś i jeszcze jutro... Są teraz swobodniejsi, niżeli w mieście.

Pani Anda okrywa się w jakowyś zawój przezroczysty, okrywa się na żart — powiewną mgłą.

Nareszcie dzwonek.

Sama otwiera drzwi, w domu niema nikogo.

— Przecież... — wita wchodzącego mężczyznę o czerstwej twarzy i karku tura.

— Nie mogłem wcześniej odpowiada tłumiony nieco bąs.

— Ach, ty wisusiel!

Pani Anda wieszka się w szatni na szyi przybyłego kochanka, poczem zamyka drzwi.

Idą do buduaru.

Za chwilę zjawia się likier na stoliczku tak karminowy, jak usta pani Andy.

W dziwnym splocie ramion piją z kieliszków. Przysuwają stoliczek ku otomanie, która niedługo pociąga ich w swą kuszącą puszystość —

A tam na polu pręży skrzydełka wiosna, pęcznieją w oczach żywiczne pączki drzew i krzewów.

— Fiołki! pierwsze fiołki! — leci ulicą głos.

Ktoś gdzieś tam w muzycznej sali czuje w rozcięciu bluzki bukiet fiołków i gra „Wiosenną serenadę“. Gra ją tak słodko i tak pieściwie, jakby ów powiew ją wygrywał skrzydełkami motyla.

Na sali cisza i blask słońca.

— Wija się tony serenady powstałe z pierwszej dziewiczej woni i rosy... Zda się, że tchnie jaskrami i fiołkami i tem rozkosznem słońcem.

Niestety pieśń się kończy.

— Buonò! brawò! perfetto! — klaska w dłonie stary, siwy profesor.

Terenia wstaje od fortepianu i ma łzy w oczach. Drży jak kwietna lodyżka. Jakieś prześladkie fale rozpierają jej piersi, jakowaś tkliwość ją przejmuje, jakieś nienazwane chaotyczne uczucie matrynego ciosu — obelgi — i tego słońca — i słowa: Kocham! — fiołków i tej przegranej pieśni...

Nie może wstrzymać łez... nie może!..

A tam z błękitów spływa wiosna — —

II.

Kwietniowy ranek —

Wschód słońca budzi pannę Terenię. Przez jakiś czas patrzy ocknięta w niebo, czyste, jak toń głębokiego jeziora. Zaspana jeszcze główka zbiera powoli myśli.

Naraz wyskakuje z łózka w koszulce, aby otworzyć okno. Świeżuchny prąd powietrza wpada raptownie do pokoju.

Terenia kryje się pod kołdrę i znowu w świat spogląda.

Myśli o wiosnie, o tem, że bzy wkrótce zakwitną i inne krzewy w parku. Za murami klasztoru Urszulanek wiśnie może już jutro okryją się również kwietną pianą.

Panna Terenia kocha przyrodę całym sercem. Widzi ją tylko w parku, na plantach, czasem się zetknie z nią na dalekim przedmieściu, pozatem jest dla niej niedosiężona w całej pełni. Z przedmieść widzi daleką przestrzeń, wyczuwa wdali wioski ciche, pełne ogrodów, i niwy, lasy, łąki..

Raz na wycieczce była w prawdziwym lesie raz tylko i tak krótko. Ach, jakież on cudowny!

Taka gąszcz drzew, konwalij, tyle paproci. Chciałaby móc spędzać w lesie całe życie, jakby w jakiejś tajemniczej świątyni, wśród śpiewu ptasząt, nawoływania wilg, gwizdu kosów i stukania dzięciołów. Zupełnie obeszlaby się bez miasta, które ją gnębi swoją wrzawą, żyłaby sobie w cichym domku, hodowała gołębie, karmiła zimą ptaszki, uprawiała grządki pod kwiaty, żyjąc grzybami i borówkami. Zupełnie jak pustelnica.

Niktby się na nią już nie gniewał, spadłby jej ciężar z piersi, jej i rodzicom.

Gdyby jeszcze mieszkał z nią razem Ludek och! jużby jej szczęście było zupełne, takie, jakiego tylko śmie pragnąć. Jakżeby romantycznie żyli sobie w tym lesie! Nie czuliby się przecież samotnymi, pewnie, w lesie jest z kim rozmawiać, są drzewa, kwiaty, różni mieszkańcy boru, wreszcie grałaby na pianinie. Wyobraża sobie jakby otwartym oknem szły tony w las... Jakiemi czarownicami byłyby one echa... Chwyta je teraz duszą... sły-szy...

Gdyby jeszcze ów las był takim, jaki opisał Orkan w powieści „Drzewiej“... Taki odwieczny, dziewiczy, niczem nie zakłócony! Boże! przecież to znowu nie tak trudne do osiągnięcia...

Terenia poczyną na dobre marzyć. A kanwą marzeń przyroda, Lutek i muzyka. Nie miasto, nie estrada, ale zakątek wśród przyrody.

— Ludku kochany, chciałbyś?

Nie mówiła mu o tem, ale mu powie. Przyszłość od nich zależy, taką będzie, jaką sobie uwiją. Wierzy, że on się zgodzi, gdyż ją kocha. Jedyny, złoty! Jak on ją kocha bezgranicznie, wprost niewysłownie. Z jakimż zawrotnem szczęściem

pieści jej dłoń w uścisku, jak ją całuje! Tak jeszcze nikt nie kochał, nikt nie był w staniu! On tylko jeden, jedyny...

Kiedys w kąciuku plant o zmierzchu po raz pierwszy pocałował ją w oczy, a potem w usta...

Bożel czy jest to grzechem?

Zdawało jej się, że słodkie skrzydła niosą ją kędyś w raj, w niezgłębioną szczęśliwość, w czar wiekuisty. Dech jej zaparła rozkosz, zamilkło serce, a ją te skrzydła niosły... i niosły...

A więc taką jest miłość, tak słodką i tak upojną... Ochl jakież szczęście kochać i być kochaną!

Dziw, że nie omdlała wtedy z nadmiaru szczęścia. A już ją pamięć odchodziła, wpadała w stan tak błogi i odurzający, że już jej ledwie sił starczyło, aby się ocknąć.

A on ją tulił coraz goręcej, całował całą twarz, ręce, nawet sukienkę. Aż tak ją kochał Wreszcie ktoś nadszedł, usiadł opodal i zakłócił ich schadzkę. Do tego było już późno, musiała odejść.

Wczoraj tam byli znowu... i będą dziś... Już i ona tęskni, pragnie go spotkać i być z nim razem jak najdłużej.

Ludku najdroższy — woła jej serce nawiedziane miłością — kochaj mnie zawsze! Jam taka biedna, od dziecka nie kochana, niby sierota... Mnie nikt nigdy nie pieścił, nie przytulił do piersi, łez mi nie otarł... nie opowiedział bajki... A ja ci wzamian będę wszystkim, czem chcesz, nawet służącą, byle przy tobie... Tak pragnę dobrych słów, a gdy je słyszę, to się upijam nimi jak wonią kwiatów. Ja pragnę żyć, ja tak świat kocham jasny, serdeczny... Ochl Ludku!...

Śni sen na jawie, modli się w duszy o szczęśliwość i tęskni. Upaja ją tajemnica miłości i jej

niebiańskie objawienie. Na wspomnienie pocałunków, aż ją dreszcz jakiś chwyta. I coś rozsadza serce... Nie jest to ból, ale jakiś słodyczny lęk... Lęk! Dlaczego? Czy ich pieśszoty, — złem? Któż jej to wytłumaczy? Matka? — nie, za nic w świecie! Boi się matki. Z matką mówić nie można...

Raz się tylko zwierzyła, przed dwoma laty... bała się... musiała — pamięta jak to matka przyjęła! Niema prawdziwej przyjaciółki, więc któż jej to wyjaśni? Boże! Dlaczego jakiś lęk, jakowaś bojaźń?

Jeszcze wraca myślą do matki, lecz nie!.. nie...

Znow sobie przypomina ów bukietek fiołków, który kupił jej Ludek. Wróciła z nim do domu. Miała go przypięty do bluzki. Naraz widzi go matka. Pyta od kogo ma ten bukiet... Ona się płoni, nareszcie kłamie, że... od koleżanki. Matka nie wierzy, odrywa go od bluzki, mnie, targa, potem rzuca do kosza nie szczędząc gróźb i obelg... Taki ot koniec miały drogie kwiatuszki.. Biedne! Jakże płakała wtedy, już nie nad sobą, tylko nad tym bukietem.

A więc niema nikogo, komu by zwierzyć mogła swoją troskę. Chyba Ludkowi, trudno, nie widzi wyjścia, a dla spokoju wiedzieć pragnie.

I tak się snuje myśl, płynie kwiecistą drogą, to znow omackiem idzie, raduje się i smuci

Patrzy błękitem zrenic w błękit niebios i radaby tam frunąć pod same słońce.

Miłość wciąż się dobywa z jej serduszka, staje się pieśnią, obrazem i tęsknotą. Czuje, żeby ją wygrać potrafiła... I równocześnie ta miłość coś jej mówi, coś szepce potajemnie, takie myśli jak nigdy. Ona powoli zastępuje jej teraz matkę, nauczycielkę — naprawdę, skąd takie dziwne myśli cisną się jej do głowy! Najwyraźniej ktoś jej tam w duszy szepce — — słyszył! Płoni się, drży, jakiś dreszcz

ją przechodzi. Słucha i myśli, w skrytości ducha odpowiada...

A słońce ją całuje, spowija w blaski i napawa otuchą. Rozpromienia w niej każdy zjawiony smutek, wyściela w tęczę drogi myśli, bierze za rękę i prowadzi.

O jakżeś czarodziejskiem jest marzenie!

Wreszcie Terenia wstaje iutiera się cicho, najciszej, aby niezbudzić domu.

Teraz siada przy oknie w strudze porannych blasków. Bierze ostrożnie w dłonie doniczkę z alpejskimi fiołkami i patrzy na ich cud. Twarzyczkę świeżą zanurza w kwiaty i mówi do nich jakimś tęskliwym szeptem:

— Wy moje siostry i bracia... moja rodzina...
Jakże was Kocham!

Lgnie do tego rodzeństwa całą swą duszą tak spragnioną kochania i zdolną kochać do najwyższych uniesień.

Zwiera się kwiatom ze swoich trosk i z szczęścia i ma wrażenie, że ją kwiaty rozumiają, jest pewna, że jej nie zdradzą i zachowają tę słodką tajemnicę.

Jest jej w tej chwili niewysłownie radośnie i błogo. Ma usta w kwiatkach i całą postać w słońcu. Szczęście w niej zbiera coraz większe i większe, jak żywiołowa powódź. I ogarnia ją rzewność tak przejmująca, że napór łez ciśnie się w oczy. Ma już źrenice tak załamane, że nic nie widzi jak tylko jakiś jasny chaos pryzmatów. Pierś pragnie buchnąć wielkim płaczem, już spazmują chwytają, jednak się broni, opiera, tylko rozdrzałych ust nie jest w stanie powstrzymać.

— Ach, dlaczegoż ja płaczę? — rwie się jej z duszy zapytanie. Sama się dziwi skąd te łzy.— Nie, ja nie płaczę! — wmawia w siebie z wstydliwą

naiwnością.

Poskramia się jak może, ociera łzy i chce otrząsnąć z rzewności.

Bierze z półki szkolne kajety i znów do okna wraca. Chce powtórzyć lekcje. !

W domu wszczyna się zwykły poranny ruch. Wszyscy powstali, oprócz matki. Pani Anda spać będzie do dziesiątej. Do szkoły ubiera dzieci bona, potem najmłodsze odprowadza.

Nareszcie podano kawę. Terenia wypija ją pospiesznie, ażeby jak najprędzej opuścić dom i wyjść na wolność.

W sercu Tereni pali się w słońcu cały świat, i ten jej własny.

Przed rozpoczęciem nauki wywołuje na korytarz jedną z najbliższych sobie koleżanek. Chce się o coś zapytać, Luśka to będzie wiedzieć. Napewno będzie, chodzi przecież na bale, do teatru i chełpi się, że miała już pięciu narzeczonych...

— Posłuchaj Lusi — poczyną Terenia tajemniczo — czy miłość jest występkiem? — Albo właściwie, czy miłość... nie wiem jak to powiedzieć... słuchaj kochana — powiedz mi coś o miłości... Jaką ona jest, względnie jaką powinna być...

Luśka robi zdumioną minę i naraz parska śmiechem.

— Czy ty się pytasz na serjo?

— Zapewne — potakuje, uderzona jej śmiechem.

— A więc tyś jeszcze taka głupia? Zakochałaś się może... przyznaj się... i nie wiesz jak się kochać?

— Lusi, nie żartuj...

— Nie chcesz się przyznać? O, ja się nie dam w błąd wprowadzić! Widzę po twoich oczach, żeś się w kimś zadurzyła...

— Powiedzmy...

— O, wiem napewno! I chcesz wiedzieć czym jest ta miłość, ta opiewana przez poetów, prawda?

— Tak...

— Otóż widzisz, poeci to... poprostu cyganie, okłamujący świat! Stwarzają w fantazji taką miłość, jakiej nigdzie nie znajdziesz. Egzaltują, unoszą się, tak niby piszą, a w gruncie rzeczy, to ludzie bardziej zmysłowi od najgorszego donżuana. Wogóle wszyscy artyści tacy. Znałam jednego malarza, więc mam o nich pojęcie. Miłość jest tylko jedna, ani taka, ani owaka zaczyna się od najświętszych uniesień, a kończy się na zmysłach. Od zwierzeń i pocałunków wcześniej czy później wpada się w szal i to nazywa się miłością... Ja tylko w taką miłość wierzę, bo wiem, że innej niema. Zresztą dowiesz się sama i przyznasz mi rację. Oczywiście jest coś, co ludzi łączy i do siebie przyciąga, bo naturalnie nie wszyscy są sobie sympatyczni. To już rzecz gustu. Ja na przykład dlatego kocham miłość, że jest rozkoszą, że daje upojenie do utraty pamięci. Miłość, tak zwana platoniczna, jest tylko pierwszą strofą szału i niczem więcej... Cóż komu przyjdzie z tego, że kocha gwiazdę, jeśli osiągnąć jej nie może? Cóż ci z kochanką, jeśli się sobą nie odurzy i nie upieści, jak tego pragnie twa natura? Zero! Kto kocha — pragnie... a kto pije z tej czary — żyje! Wszystko inne koszmarem, a właściwie nonsensem! I ja się teraz kocham, och! jeszcze jak! Mam Adonisa, że... skonać w jego ramionach!

Równocześnie chwyta Terenię w swe objęcia, całuje w usta i oplata zmysłowo.

W głowie Tereni chaos. Nie o tem chciała wiedzieć, wreszcie już sama nie wie czego pragnęła.

A Luśka mówi jeszcze;

— Ty głupia, kochaj się tak, jak ja ci mówię, nie bądź naiwna! Używaj pókiś młoda! Później wyjdiesz zamaż, dzieci, br! Mężatka już na ostatnim planie!

— A czy miłość może być stała, niezmienna, wiecznie gorąca? — pyta Terenia.

Grymas wykrzywia usta Luśki.

— Do pewnego stopnia — tak, lecz to wyjątek z miljonu. Zresztą to kwestja przyszłości, nie myślę teraz o tem. Teraz się kocham i — szaleję!

— Bardzo go kochasz?

Luśka czyni nieokreślony gest.

— Albo ja wiem... Podobają mi się szalenie, jest w moim guście, prześlicznie tańczy... Jak mi się znudzi, to mam stu innych do wyboru...

— Zdradzisz go, porzucisz?

Coś głoś jej drży.

— Ha! ha! to przecież takie jasne! Mam w nudach trwać, kiedy nowość pociąga? I miłość można zmieniać tak, jakby balowe rękawiczki...

Dzwonek przerywa tę szatańską lekcję życia.

Spieszą do klasy. Terenia już nie szuka zapytań. Słoneczny świat w jej duszy nakrywa jakaś chmura.

— A więc to taki świat? Miłość nie taką świętą, obłoczną, promienistą? A może taką ją już stworzono i taką musi zostać?

Myśli się jej kotłują, mierzwią. Jedno tylko wie pewnie: ona by Ludka nie rzuciła... A on? I on by jej nie rzucił, nie miałby serca...

Jednak z jej duszy nie znika chmura — — —

O zwykłej porze znów się z Ludkiem spotyka. Już widok jego płoszy jej czarne myśli. Patrząc na jego twarz i w oczy, doznaje ulgi i radosnej lekkości.

Idą w kierunku kursów i rozmawiają tak jak zawsze wesoło.

W oczach aktora czai się jakiś zamiar. Wreszcie poczyna mówić:

— Mam do panny Tereni ogromną prośbę...

— Proszę...

— Czy nie odmówi?

— Nie! — rzuca bez zawahania.

— Oh, kochana Królewno! — szepce uradowany. — Otóż mam plan; chodźmy dzisiaj do kina...

Terenia otwiera szerzej oczy.

— Kiedy?

— Teraz o czwartej. Jest świetny program.

— Przecież na kursa muszę iść... jakżeż?

— Wielkie rzeczy, gdy pani raz nie pójdzie...

I tak gra pani lepiej, niż sam profesor! Nic się przez to nie stanie... a ja tak pragnę, ażeby pani ze mną poszła... Zawsze tylko przez chwilę jesteśmy razem... Bądźmy choć dzisiaj z sobą dłużej... Panno Tereniu, dobrze? Przecież mi pani nie odmówi... Wszak nam tak bosko razem...

Tak słodko prosi, więc jakże mu odmówić! Do tego nie była jeszcze w kinie, więc wabi ją ciekawość. Wie coś o tem z wielkich rozlepionych afiszów, z różnych obrazów i z opowiadań. Zwycięza ją pokusa jedna i druga.

— Proszę pana, lecz ja nie mam pieniędzy! — odzywa się ze wstydem.

Towarzysz parska śmiechem. Potem mówi i mówi i wiąże słowa ogniwkami pieśzotliwych wyrazów.

A więc idą do kina. Kryją się w głębi łoży. Zajadają ciastka, pomadki i tulą się do siebie. Narreszcie światła gasną. Snuje się film — —

Terenia wpatruje się ciekawie w piękne, żywe

obrazy. Najsamprzód upajają ją zdjęcia z natury egzotycznego kraju, potem para kochanków. Potem jedno i drugie... Jest w innym świecie. Współczuje z bohaterem, który walczy o umiłowaną kobietę i modli się w skrytości, aby zwyciężył.

Jest jej tak dobrze, jakby tam kędyś była wśród palm, kwiatów i morza.

Ludek otacza ją ramieniem i przyciska do siebie. Jest ciemno, nikt nie widzi. Oczy wszystkich patrzą na ekran.

Terenię dreszcz przechodzi, dłoń Ludka na piersi jej się kładzie i poczyną ją cisnąć.

Płoni się i chce tę dłoń odsunąć, ale ją prosi, błaga i szepce w konchę ucha najczulsze słówka.

Już się nie broni, poddaje się pieszczocie, wszakżeż to on ją pieści — jedyny Ludek... Jego jednego ma na świecie, on jeden ją miłuje, więc tłumi w sobie ogień wstydu i tylko drży z wrażenia.

Obrazy filmu mkną.

Nieprawdopodobne wprost zdarzenia, walka, heroizm i wreszcie wszystko uwieńcza zwycięska miłość, uścisk zawrotny, pocałunki... Koniec bajce srebrnego ekranu.

Terenia z zapartym tchem śledziła powieść filmu, przeżywając ją w każdej cząstce. Cieszy się, że zwyciężyła wielka miłość. Już wie, że tak ogromna musi odnieść zwycięstwo i jest dozgonną. Chmura w jej duszy się rozwiewa, tem szybciej, że jest przy Ludku. Jakże mu teraz wdzięczna, że ją tu z sobą przyprowadził!

Wychodzą na ulicę. Tereni się wydaje, że przeżyła ogromne długi okres czasu i, że już pewnie bardzo późno. Ledwie uwierzyć mogła, że na zegarku pana Ludka dopiero w pół do szóstej.

— Panno Terenio, jeszcze godzina nasza...
Niechże przez tę godzinę jeszcze się Tobą uraduje,



upoję... ach, bądź-że jeszcze za mną ty — złota!.. Akurat teraz pora, wstąpimy na herbatę... Wszak mi panna Terenia nie odmówi swojego towarzystwa?

Panna Terenia żenuje się, nie wie co zrobić. Odczuwa niewłaściwość propozycji, lęk jakiś instynktowny.

Aktor to widzi i nie pozwala jej przyjść do słowa. Znowu ją przekonywa, za to przyjęte, że „wypada” mówi o równouprawnieniu, dwudziestym wieku, osobistej wolności...

Terenia daje się nakłonić. Ostatecznie nic w tem złego nie widzi, wie od koleżanek, że również chodzą do kawiarni, wreszcie tak jej ogromnie miła obecność pana Ludka. Przytem tak wielką prośbę czyta mu z oczu!

Wchodzą i zajmują gabinet, bo tam ją aktor wprost wprowadził. Zamówiono herbatę, ciastka i likier.

Terenia wzbrania się, lecz pije. Kosztuje ten trunek pierwszy raz w życiu. Dyskretne światło lampek ubranych w różowe abazury działa na nią marząco. Do tego kino... sam na sam z panem Ludkiem w tej małej i wygodnej klacieczce.. Jakże to wszystko na nią działa! Weszła w świat nowy, nieznanym sobie zbliżona, tylko przez okno widywany, imaginowany.

Co chwilę pod wpływem prośby Ludka macza usta w barwnym, lepkiem napoju. Czuje w sobie coraz to większy przyływ życia, jest jej coraz weselej, jaśniej. Świat się wydaje piękny, nęcący, jej własnym.

Aktor ją tuli, całuje ręce ustawicznie, to obejmuje najpięściwiej, by znów całować włosy, oczy i usta.

Odurza ją szeptami, klęka przed nią niby na scenie, kładzie swą głowę na jej kolanach, patrzy

jej w oczy taką słodyczną głębią żrenic, że Terenia zapada w nią jakby w ton szczęścia. Już sama dłońmi pieści mu głowę, sama całuje. Upojny bezwład ją nachodzi, taki, który oslepia. Wszystkimi tony gra w niej miłość — kocha nad życie i czuje się kochaną jak jeszcze nikt!

Aktor gra swoją rolę jak niedościgły mistrz. Wrodzony talent rozporządza bogactwem póż i szep-tów, czarownych spojrzeń, atlasowych przymileń. Ról takich uwodzących zna nieprzebrane mnóstwo, jest w swym żywiole. O tyle teraz jest szczerzą jego gra i namiętniejszą, że nie zdobywa jak na scenie obojętnej aktorki, cudzej kochanki albo żony, ale zaciąga się na prawdziwą ofiarę, nakwiatn 11-rzadszy, który go blaskiem swym oslepił i oczarował do szaleństwa.

Ten demon sceny nie zdaje sobie sprawy, że igra z sercem ludzkim, uczuciem i życiem. Że dłońmi, które w gest przysięg się składają, może grób kopie. Że blaskiem żrenic wyotchłania czeluść rozpaczy. Że każdy jego pocałunek jest ciosem, który zabija życie piędź po piędzi. Że każda kropla wysączonej rozkoszy zrodzi morze trucizny... Że jedną chwilą czaru mierzy czad bólu całego życia...

Nie, on o tem nie myśli, lecz się upaja chwilą.

— O ty, moje marzenie — śpiewa jej w oczy muzycznym szeptem — jesteś mi rajem, życiem i duszą! Jesteś mi wszystkim, czego pragnę. Jesteś mi stokroć droższa od sławy — bóstwo ty mojej! Dla ciebie jednej żyć pragnę — jedyna! Wszystko za ciebie oddam, wszystkiego się wyrzeknę — dla ciebie! A ty... słuchaj! czy również kochasz z taką mocą, do ostatecznych granic, całym swym sercem, ciałem, pragnieniem? Czy jesteś w stanie oprzeć się mojej prośbie, choćby ta była wprost szaleńcza? Czy jesteś w gotowości poświęcić dla mnie całą

siebie bez chwili zawahania, radośnie, jakbyś spełniała swoje własne życzenie... Powiedz, czy jesteś? Czy jak ja pragnę ciebie — i ty mnie pragniesz? — powiedz!.. Bo jeśli jest inaczej — jał mówić jeszcze ciszej — to odejdę od ciebie, zejść ci z drogi, zawiadziony, że nie znalazłam takiej istoty, o jaką się modliłem, jakiej dotąd szukałem... Odejdę! — i wstaje równocześnie, jakby naprawdę odejść zamierzał. Gra rolę finezyjnie, czartowsko. Magnetyzuje ją oczyma, zniewala kunsztem teatralnego narkotyku.

— Powiedz, powiedz Tereniul..

Dziewczęca postać podrywa się z kanapy i rzuca się na szyję, jedynej, kochanej swej ostoi. Przemaga w sobie lęk, coś ostrzegawcze. Widmem staje jej w oczach własny los, straszna sierocość, a więc ucieka przed nim i tuli się w opiekuńcze ramiona,

— Powiedz.., ach powiedz... — pyta się jeszcze aktor, choć już widzi odpowiedź.

— Kocham cię całą swoją istotą... Twojam!..

Rozkosz triumfu rozpiera pierś aktora. Gra nie zawiodła.

Siadają znowu, względnie ją aktor sadza na swych kolanach i obejmuje pełen szczęścia.

Terenię pali wstyd, jednak się nie wrywa, boi się, ażeby go nie zgniewać — wszak powiedziała „twojam“, więc lęka się sprzeciwu.

Kryje oczęta poza ramię aktora, w głowie jej szumi. Czuje, że się jak żagiew pali...

Aktor wpija się usty w odkryte piersi, pije ich woń, dziewiczość, cud...

Terenia zwisa... Czuje, że jej całuje znowu nogi, podwiązki... już cała teraz w żarze ognia i wstydu.

Oczy aktora błyszczą dziko — gra rolę demonicznie.

— Więc mejał mejał!

Słyszysz omdlały szept.

— Twoja...

Przegrał trzy akty, zostaje jeszcze jeden. Lecz ten na jutro pozostawia.

Naraz z szatana zamienia się w anioła. Zapi-
na bluzkę półprzytomnej ofierze, staje się przyzwoi-
ty. Sadza ją obok siebie, głaszcze po włosach, roz-
palonej twarzycze, kornie całuje ręce. Potem zgi-
na przed nią kolano, mówi o niezmierzonem szczęś-
ciu, znowu się łasi poprawia jej loki i wraca jej
przytomność

Spogląda na zegarek.

— Kwiatuszkule śliczny, już czas na ciebie...
dochodzi w pół do siódmej. Ach, jak mi żal, lecz
wiem, że musisz odejść.

Terenia chyli głowę na jego ramię.

— Jakiś ty dobry, że pamiętasz... Ja już o
wszystkiem zapomniałam...

— I zdaje sobie sprawę, że on szlachetny, że nie
skorzystał z jej bezsily.

— Widzisz, taka jest miłość... i ja tak kocham
ciebie!...

— Jedynyl

— I tak na zawsze kochać będę...

Terenia daje mu usta w odpowiedzi.

Aktor zapłacał. Wyszli z lokalu.

W drodze poczyna nową pokusę. Oto, by ju-
tro z powodu święta przyszła do niego po szkol-
nem nabożeństwie. Na rynku o dziewiątej będzie
iej oczekiwał.

— Wszak to najdroższe nasze chwile... przyjdź...
przyjdź...

Ufa mu — przyjdzie. Dom dla niej jest wię-
zieniem, tam nikt do niej nie przemawia po ludzku
a poza domem rodzicielskim spotyka się z miłością,

Odróżnia gdzie jej piersi odetchnąć mogą, gdzie nowe życie rodzi się dla niej, już zdaje sobie sprawę, gdzie się jej przyszłość stwarza. Zostanie jego żoną, w świat z nim ucieknie, ma prawo sobą rozporządzać, Jeszcze rok może znieść mękę rodzicielskiego domu, już dłużej nie potrafi. Ogrom miłości, jej nieodparty pierwszy urok, jej dur wszechwładny, zmienia w niej dotychczasowy sposób myśli, otwiera nowe widnokreśli i sieje ziarna buntu. Każę sierocie szukać przytulnego zacisza, z lodowej atmosfery rwać się ku słońcu. Smutek pragnie radości i zapomnienia, jak płatek róży światła. Otwarta rana pragnie balsamu, ból ulgi i ukojenia.

Miraże ukazują się przed oczyma nieszczęsnego dziewczęcia — nie wiedzą ufne oczy, że to może fata morgana, straszliwa, zabójcza złuda, ale wierzą w oazę, w napój kryniczny i błogi cień...

Idzie naoslep ku tej nęcącej zjawie i wznosi skrzydła tak, jak się prężą i wznoszą płatki kwiatów idącej wiosny, dalekie jeszcze od przeczucia, by je śnieg mroźny miał pokryć całunem śmierci.

III.

Z bijącym sercem idzie Terenia do mieszkania aktora. Właściwie on ją niesie kłopotliwie opartą na ramieniu, płonąca, odurzona prośbami. Stąpa powoli i ociążale na coraz węższy schód i drży jak w febrze. Jakiś wewnętrzny głos woła na nią by zawróciła, znów inny wicherzy w niej myśli, podcina wolę i odbiera panowanie nad sobą. Brak jej odwagi do sprzeciwu choć czuje, że powinna ucieknąć. Jakaś fatalna siła pcha ją naprzód. Głos ostrzegawczy cichnie w jej duszy, głuszy go szent prośby i pokusy.

Przed drzwiami ma Terenia uczucie, że dygocące serce pierś jej rozerwie.

Wchodzi do wnętrza kawalerskiego pokoiku. Cokolwiek opuszcza ją tajemna bojaźń. Pokój robi na niej miłe wrażenie. Jest czysty, słoneczny, wytwornie urządzone, pełen zapachu kolońskiej wody. Ściany zdobi kilka obrazów — same kobiece akty. Obok nich cały szereg konterfektów aktora, przedstawiających go w licznych scenicznych kreacjach.

Terenia żenuje się ogromnie, jednakże tu i ówdzie rzuca krótkie spojrzenie.

Japoński parawanik zakrywa i oddziela łóżko od gustownych mebelków. Na stolikach małe posążki nagich bogiń, kilka kobiecych fotografii w stojących ramkach, na pierwszy rzut oka przedstawiających typy aktorek. W progu pokoju wiszą zeschnięte bukiety kwiatów.

— I cóż, jakie wrażenie robi kawalerskie mieszkanie? — zapytuje aktor, biorąc pieściwie w dłoń rączkę Tereni.

— Owszem... bardzo miły i pięknie urządzonej pokoik...

— A tak się bałaś wejść! Czegoś się bardziej bała, mnie, czy pokoju?

Terenia wolałaby, aby o to nie pytał.

— Nie, ja się nie bałam, tylko... — nie kończy, słowa więzną jej w gardle.

— Już wiem — przerywa aktor — ciągle to „nie wypada“... Nieprawdaż?

Terenia spuszcza oczy i milknie.

— Przesady, pęta i nic więcej! — mówi artysta dalej — Czy jesteś niewolnicą tych bezsensownych reguł? Sądzę, że nie! Wszak miłość nasza dać nam powinna skrzydła, zamiast trzymać w łańcu.

chach... Jaby'm za ciebie oddał życie, skoczyłbym w ogień, gdybyś w nim była, a ty... ty wahasz się wejść do mego mieszkania...

Mówi to słodko, ale z wyrzutem.

Terenię ranią jego słowa. Podnosi nań źrenice i chce się bronić przed zarzutem. Wie, że zasłużyła na to, że się długo wahała, a przecież przyszła...

— Ludeczku, proszę, nie sądz tak... Chciej mię zrozumieć... zresztą, wszak już jestem u ciebie... Wiesz chyba, że każdy pierwszy krok jest taki jakiś ciężki... Nie gniewaj się, Ludeczku, to już przeszło, już się wyzbyłam tego uczucia, którego nazwać nie potrafię...

Sama na szyję zarzuciła mu ramiona i przeproszała za tę bezwinną winę.

— Na ciebie gniewać się nie mogę — nigdy! Ja wiem, że każdy pierwszy krok... tak... to naturalne... Potem się człowiek przekonywa że to nie takie straszne... Każda pierwsza pieśczota rodzi takie uczucia, a potem, powiedz sama... jest czarem i rozkoszą! Naprzykład, czy to okropne? — spytał, biorąc ją równocześnie w ramiona i wpijając się w usta — Powiedz — szepnął po chwili.

— Kocham cię! — i znów oddała mu swe usta

— Więc widzisz moja gołąbeczko. A wszak pamiętasz nasz pierwszy pocałunek... Jak drżałaś bojaźliwie i jak chowałaś buzię! Otóż na przyszłość nie trzeba sprzeciwiać się swojemu Ludeczkowi. Ludek Terenię kocha, jak jeszcze nikt nie kochał... on krzywdy nie uczyni, on tylko pragnie swego skarbu, chciałby go posiadać cały i siebie wzamian ofiarować... Tereniu! ja tęsknię, ażeby nasza miłość stopiła nas w jedną istotę, aby gorzała tak jak słońce, by nas natchnęła jedną myślą, jednym pragnieniem, aby pomiędzy nami nie było ani artomu dysonansu... Czy mię rozumiesz?

— Tak wyszeptała, cichutko, choć niezupełnie rozumiała.

— Moja jedyna! — zawołał i począł całować ją gorąco.

Po chwili zjął z niej wiosenny płaszcz i namówił do zdjęcia kapelusza. Uczyniła zadość jego życzeniu, Poprawiła przed toaletką włosy, jejła oglądać fotografie, pytając, kto są te panie. Aktor tak odpowiadał, jak mu było dogodniej. Na jedną podobiznę młodej, rozkosznie uśmiechnętej kobiety zwróciła Terenia szczególniejszą uwagę. Według odpowiedzi aktora, była to „koleżanka“, zaręczona z aktorem.

Terenia uwierzyła, a słowo „zaręczona“ sprawiło jej przyjemność! w pierwszej chwili o tę jedną była trochę zazdrosna.

Z kolei podziwiała bohaterskie postacie Ludka. Widziała go rycerzem w lśniącej zbroi, paziem w cudownych kędziorach włosów, pastierzem, salonowcem, a wszędzie czarującym, tam smętnym, tu romantycznym, ówdzie znów uśmiechniętym koroną równych zębów.

Pozostałe resztki lęku posnęły w niej zupełnie. Postać ukochanego w tyłu rolach wzbudziła w niej jeszcze bardziej ujarzmiający zachwyty. Jakżesz pragnęła zobaczyć go na scenie paziem, albo rycerzem.

Aktor czytał jej z twarzy zachwytną radość i pił chytrze z tej wiosennej bogini jej oszołamiający urok. Oto nareszcie miał ją w pokoju bezbronną i rozkochaną, pożarem zmysłów upragnioną. Miał ją jak kwiat, za słaby do oporu i za czarowny, ażeby go nie zerwać. Upajały go narkotyki jego świeżości, kształtu, powabu. Zmysły porywał ogień głodu. Odbierały mu pamięć jej miłosne spojrzenia, — jedyne oczy, jakie spot-

kał na ziemi o niezgłębionej toni przynajmłodszego blasku i wprost anielskiej jakiejś mowie. Kwitła w żrenicach tych miłość pierwszymi dziewiczymi zachwyty, kwitła wiosna wszystkiemi barwy, lekkość motyli pyłkiem, kształty czarem młodości i dusza błękitami objawionego uniesienia.

Głodne zmysły aktora, zamiast paść na kolana przed tem pięknem i wielbić je jak niebiańskie zjawisko, — wpiły się weń ognistemi grotami dzikiej podniety w przedsmaku szaleńczej uczty. Nie kochał w niej rozmodlonej czystą miłością duszy, nie kochał śnieżnej tęsknoty, ani tęczyowych marzeń, — tylko pożądał ciała, to go tylko olśniło, ono wyotchłaniało głód, to jedno kazało szaleć za nią i złożyć w sieć.

— Przytaknęłaś najdroższa, że mię rozumiesz — poczyną aktor, nalewając w kieliszki przygotowany likier — dobrze, lecz czy tak czujesz, jak ja czuję, pragnę i... słowem — czy jesteś życiem mojej duszy? Nie dlatego, że o coś proszę i nie chcesz mi odmówić, tylko czy jesteś dla mnie tem, czem jestem ja dla ciebie, Tereniu... Czy nie uznajesz żadnego kroku za ofiarę, ale za swe pragnienie...

Mówi kusząco, łasi się, patrzy jej w oczy.

— Nic nie wiem, jak tylko to, że cię nad wszystko w świecie kocham — odpowiada mu szczerze. I tak niezmiennie będę cię kochać zawsze, do śmierci, tak jak cię kocham dziś, bo już bardziej kochać nie można. Ufam ci, wierzę w twe słowa, że i ty mnie nie rzucisz, bo czybyś mógł, Ludeczku?

Aktor zaprzecza tragicznym gestem i zaprzysiężnym słowem. Potem podaje jej kieliszek i piją, śmiejąc się do siebie. Poczyną wytwarzać się inny nastrój, nie taki pół smętny i poważny ale wesoły. Piją i bawią się jak dzieci. Każdą zmianę nastoju aranżuje aktor, jedna zaczajoną myślą pochło-

nięty. Jego natura, nawskroś zmysłowa, nastawia sieci umiejętnie. Raz w objęcia bierze Terenię, to znów ją puszcza, jest spokojny, nienapastliwy.

Gdy już alkohol zakwitł na obliczu ofiary silnym rumieńcem, wtedy siada w fotelu i na kolana pociąga bezbroną postać.

— Dlaczego, ty rusalko, ciągle się wstydzisz? Wszak znam już przecież twoje rozkoszne kształty, jużem twe nóżki ucałował i piersi, — a więc dlaczego? Naprawdę, ale mnie to zasmuca, bo mam wrażenie, że postępuję wbrew twojej woli, że się poświęcasz...

Zaprzecza, chowając główkę i tuląc się do niego.

Wykorzystał jej słowa. Poczyna teraz pieścić ją coraz goręcej i narkotyczniej. Szal go porywa i oślepia dzikością.

Terenia gaśnie w jego uściskach, zatracą pamięć i tylko drży w odurzających dreszczach.

Aktor szaleje, odurza ją szeptami, oszałamia i modli dziko do jej ciała...

Teraz jak szatan niesie ją tam, za japoński parawan.

Terenia szepce jakieś słowo, jakowąś prośbę, jednak to słowo zamiera jej na ustach, traci ostatnie włókna świadomości.

Przez okno wlewa się wiosenne słońce i naraz płoszy je chmura. W pokoju zawisa jakiś zły cień.

Doznaje się wrażenia, że ktoś na obraz pastelowy bryztał szaleńczo błotem i zabił barwy symfoniczne. Lub, że słowika w ekstatycznym natchnieniu rozśpiewania porwał z łodyżki bzu drapieżny ptak, razem z zamarłą w dzióbku pieśnią.

Czyjeś kobiece oczy na jednej z fotografii, tak śmiejące się dotąd, zdają się cofać w głębie orbit, a usta krzyczeć w spazmie. Czyje to oczy, że tak

cofają się boleśnie? Czy wspominają swoją wiosnę i ten parawan? Może

Tu może mieszka taki aktor, amant i gładki demon, którego sceną nietylko ta, zamknięta w troje ścian, ta sztuczna, lecz i ta żywa, która naprawdę sztylet w piersi topi...

Zły cień jak, skrzydło czarta, został w pokoju i już go słońce nie zwyciężyło dzisiaj.

Przez miesiąc splata się pieśń szaleństwa w odurzające hymny ciał.

Miłość Tereni tak jasną i tęczową porywa żywioł ognia w nowe, nieznanne wiry. Despotyczne prawo natury, odbierające wolę, pamięć i równowagę, wzięło ją w swoją władzę. Obłoczne wizje duszy i jej tęsknoty wzburzył teraz szal krwi, tak, jak wichur wzburza błękitną toń jeziora. Porwał obrazy w zawrotny taniec zmysłów, opanował wszystkie dziedziny ducha i chwycił w szpony.

Całą swoją istotę składa Terenia na ołtarzu miłości. Nie zdaje sobie sprawy - czy błądzi, już wierzy w miłość taką, jaką przeżywa. Po pierwszym dniu oddania, po otrzeźwieniu, bierze ją w kleszcze rozpacz. Nie śpi noc całą, szłocha sercem i duszą, zdaje jej się, że popełniła jakiś straszny występki. Marzenia wydają się jej widmem, jakąś potworną zjawą. Pękły w nich złote struny niebiańskiej harfy, połamały się skrzydła, zgasły miraż. Uważa się za wyklętą grzesznicę, napiętnowaną, niegodną, ażeby spojrzeć ludziom w oczy.

Po tej okropnej nocy miłość zwycięża depresję. Czułe słowa kochanka budzą w niej znowu życie. Nowe pieścizoty zwracają spokój i ukojenie. Z słońca miłości najwznioślejszej wyrasta nowa, zmysłowa. Wrażliwa młodość idzie naprzeciw nowej

władzy i wpada w jej ramiona. Wiosna rozsiewa czar, młodość szepce o szczęściu i rozkoszy — — —
któż się obroni tym potęgóm? Te dwie wszechwładne moce leczą Terenię i podają jej ręce; Oswajają ją z przeznaczeniem i namaszczają na nową erę życia. Zwalczają dziewiczy wstyd, głuszą nieprzyjazne podszepty, budzą namiętność. Ogromnieje w niej miłość już do ostatnich granic. Spełnia się posłannictwo Natury, nie bacząc jakie drogi zakreśli Los — — —

Terenia jest kochanką aktora, kochanką sezonową. Nie wie jednakże, że tak jest właśnie, myśl taka nie ma do niej przystępu. Ufa mu bezgranicznie i wierzy w jego miłość. Jest niezmiernie szczęśliwa, jest potajemnie jego żoną, to — tak musi być narazie. Później będzie inaczej, przecież zaklina się, przysięga... On nie zawiedzie, on jest celem jej życia, on jeden w świecie.

Chodzi nadal do szkoły i na kursa, — trudno inaczej, wszystko być musi tajemnicą. Codziennie po lekcji odwiedza kochanego, wszak jest już jego. Rozkosz ich łączy, do nich należy cały świat. Kocha go prawie do obłędu, tęskniąc do tych wieczornych chwil. Chciałaby wołać całą siłą radości, aby świat wiedział o ich szczęściu, jednak nie może. Godzi się z losem, zresztą i tajemnica ma swój urok. Nie usiłuje wprowadzić swojego bożka do domu, aby przedstawić go rodzicom, lęka się tego, jak nieszczęścia, A jednak takby pragnęła... Wreszcie i on już wie, z jej skarg jaka tam atmosfera i nie dąży do tego...

Naraz... na szczęśny raj Tereni pada pierwszy bolesny cień: Ludek otrzymuje engagement do stolicy... Wyjedzie, musi wyjechać! Nowy horyzont sławy i powodzenia uśmiecha się artyście.

Terenia blednie przed widmem zamotności

i opuszczenia. Pojmuje wprawdzie, że los przyjazny wiedzie ukochanego do wyśnionego celu, że pójdzie więc ich przyszłe gniazdko, wie, że będzie do niej pisywał i przyjeżdżał, a mimo wszystko cierpnie wrażliwe jej serduszko, to biedne serce, wyrwane z lodowatych ścian rodzicielskiego domu, ogrzane po raz pierwszy za jego progiem, pierwszy raz porwane szczęściem i zachwycone, wierząc wiarą dziecka w niezmienną radość i upragnioną przyszłość.

Wszystkie uczucia obudzone w tem sercu porwywa szloch i krzyk bolesny. Dusza, nieznająca nakazów życia, słania się w strachu, jak dziecię odrywane od piersi matki.

Ale przecież on wróci, uwije gniazdko i zabierze ją z sobą. Wierzy, ufa i pojmuje konieczność, a jednak tak jej okrutnie żal i tak się czegoś lęka!

Odjedzie... Komuż się teraz zwierzy, przed kim wypłacze, w czyje ramiona schroni?

Płyną ostatnie dnie... Nadludzka miłość Tereni czerpie z nich wszystkie czary, by jak największy zapas szczęścia zachować na idącą samotność. Całą swoją żyjącą istotę składa mu teraz w dani, To jeszcze mocniej łączy ją z ukochanym. Staje się jego najoddańszą i najwierniejszą niewolnicą. Mdleje w jego objęciach aby zapomnieć o rozłące, a w momentach ocknienia pyta żarliwie: — Ludeczku, nie zapomnisz? Słyszy kaskadę słów upragnionych, drży i płacze z radości. Nie zapomni!

Są chwile, że upojony aktor zamienia kłamstwo w szczere słowa, chwyta go litość, współczucie i oświeśla nawet prawdziwa miłość. Widzi bezmiar oddania, ocenia go, dumny jest z niego. Czuje skarb w tej dziewczęcej istocie, znaleziony przez siebie i porwany, On pierwszy zerwał ten kwiat. Zna kobiety i wie, że ta jedyna jest ponad wszyst-

kie, że jest kobiecym ideałem. I chce ją kochać i czuje żal do siebie, że zmysły wzięły w nim górę nad istotną miłością. Jak to się skończy? — nie wie nie myśli nad tem. Samo ułoży się i skończy... Ma pięć kochanek i uczucia do wszystkich są mniej więcej jednakie: szal im na imię. Jest motylem i szuka kwiatów. Tej ostatnie przysięga, że powróci — — wierzy w to i nie wierzy. Przeżywa chwile z których jedna, oślepia go i nawraca, inna nasycza i studzi krew znudzeniem. A są i takie, co napawają wstrętem do siebie i wnikają w sumienie winą zbrodniarza. Aż wreszcie wyjazd go pociesza. Ponoć czas wszystko leczy — —

Koniec kwietnia, Jutro już ma, dzisiaj rozłąka. Pyszni się wiosna w całej krasie, płynie radość strumieniem, świat taki szczęsny dookoła. Tyle kwiatów i woni i tyle słońca, tak coś porywa duszę w błękit niebios. Płacze miłość łzami żywiołowej radości, gdzieś rwie się serce...

Terenia po godzinie muzyki opuszcza lokal starego profesora. Była dziś chwila, że profesor oniemiał pod wrażeniem jej gry. Terenia grała dzisiaj „Pożegnanie“, kompozycję profesora z przed wielu laty. Ach, jak ją grała! Siwy pianista skrycie łkał. Może samotnik ów miał wspomnienia młodości z swej słonecznej ojczyzny, może... Dziś po raz pierwszy słyszał swój utwór takim, jakim go przeżył, nim napisał. Odtworzyła go dzisiaj miłość i wiosna i łzy rozstania. Zeschniętym kwiatom zwróciła urok barw i pieśń w niezliczonych tonach. Ta pieśń wycisnęła dzisiaj łzę z oczu siwego starca i młodego dziewczęcia. On został pośród konającego echa pieśni, a dziewczę biegnie oto na pożegnanie...

Terenia mijając miejsce, na którym dawniej oczekiwał ją Ludek, doznaje bólu. „Tak musi być

dla ostrożności" — powtarza sobie w duszy jego słowa i choć rozumie ich konieczność, przecież jej przykro.

Ostatni dzisiaj raz idzie do niego. Jest dziwnie blada i z wypiekami na obliczu. Od kilku dni czuje się słaba. Męczy ją zawrót głowy jakoweś młodości, coś się w niej dzieje... Jest jednak pewna, iż przeogromny żal za Ludkiem tak ją osłabia.

Jakże niedługą chwilę bawi dzisiaj Terenia w mieszkaniu kochanego! Dziś aktor niema czasu, dziś swą najlepszą rolę odegra na pożegnanie z teatralną publiką.

I znowu teraz ostatnie sceny gra... Pieści kochankę, pociesza, ślubuje wieczną miłość.

Kurtyna spada —

Terenia chwiejnym krokiem wraca ulicą, tuląc do piersi cudną ponsową różę — — pożegnalny upominek od Ludka.

Wraca do domu i tłumi łzy. Zdaje jej się, że z kwietnego ogrodu pędzi ją jakaś zawistna moc w lodową otchłań. Widmo domu staje jej w oczach.

— Wróci... wróci — szepce do siebie w sierocem łkaniu serce, by się pocieszyć i natchnąć siłą wytrwania.

Idzie, nie widząc wokół nic, wszystką miłością i rozpaczą jest jeszcze tam, przy Ludku. Dzisiaj wieczór w teatrze jego ostatni i pożegnalny występ. Dziś jeszcze może go zobaczyć... Może będzie rycerzem, może paziem, może poetą... Jakież to straszne, nie móc widzieć ukochanego w srebrzystej zbroi, albo z lutnią! Nie móc widzieć jego gry, triumfu i nie powiedzieć sobie wówczas w duchu — on mój!... Tyle jej naopowiadał o swojej grze, wielokrotnie podnoszonej kurtynie, burzy oklasków, kwiatach... A ona tego nie widziała nigdy, nie zezwolono jej na teatr i nie zabrano z sobą.

Pokusa pójścia dziś do teatru gwałtownie bierze w szpony Terenię. Idzie od Ludka, a tak jej się wydaje, że go już wieki nie widziała. Jutro będzie zapóźno, Ludek rankiem odjedzie, więc jeszcze dziś sposobność, by go ujrzeć na scenie w jego najlepszej roli... Dzisiaj, w dniu pożegnania, póki to jeszcze jest możliwe. Zwycięża miłość i pokusa i ta pierwsza w tej chwili narodzona tęsknota... Pójdzie, choćby to miała katuszami przypłacić!

Terenia ma już plan: służąca pożyczycy jej tajemnie pieniędzy na bilet wstępu. To najważniejsze, wszystko inne jest jej zupełnie obojętne.

Z takim postanowieniem wchodzi w bramę rodzicielskiego domu. Ociera oczy, kryje kwiat róży, jak skarb najdroższy i chociaż ślania się jej chore ciało, dobywa sił, aby nie upaść, bowiem inaczej — wszystko stracone...

lv.

Terenia przed kolacją wymyka się z pokoju. Nie pomogły perswazje starej służącej, przewidującej piekło w domu z tego powodu. Płacz przejechał służącą, jedyną osobę w tym dziwnym domu, która z Terenią rozmawiała po ludzku.

Terenia idzie do teatru... Serce bije jej silnie, po ciele przebiegają febryczne dreszcz, główka, jakby pijana ciąży, lecz ona nie dba o to, wszystko jej dziwnie obojętne, idzie zobaczyć jeszcze Ludka.

Przed teatralnym gmachem tłok. Zajeżdżają dorożki i automobile, setki osób wpływa do wnętrza. Przy kasie również tłok. Terenia ma czas by się rozejrzeć w ludzkim tłumie. Widzi liczne towarzystwa, matki z córkami, samotne panie, panny w jej

wieku, a na twarzach uśmiechy, zadowolenie i wesolość. Oslepiają ją wytworne toalety i biżuterje, odurza zapach perfum. Co chwilę słyszy nazwisko Ludka wymówione przez panie. Żalują, że scena traci najlepszego aktora. Terenia drży ze szczęścia i równocześnie żal się w niej wzmaga. Nie powinien odjeżdżać, gdy go tak bardzo wszyscy cenią. Wszak jest tutaj najpierwszym, ubóstwianym, zarzucanym kwiatami. Widzi nawet, jak wielka ilość osób przyniosła z sobą kwiaty. Rzecz całkiem pewna, że te kwiaty dla Ludka.

Serce Tereni ściska gwałtowny ból. Ludzie obcy, nieznani znoszą mu kwiaty, a ona? Ona nie rzuci ani kwiatka na scenę, ona — wybrana z pośród wszystkich i całym życiem mu oddana. Ja, córkę bankiera, nie stać na zakupienie jednego pa-czka róży...

Czuje teraz, ściskając w dłoni pożyczone pie-niądze, jak wielką jest nędzarką, jak opuszczoną i odtrąconą od serc rodziców. Straszliwy ból razem ze łzami rodzi się w jej serduszku, jednak go tłumi całym wysiłkiem, aby nie jęknąć krzykiem.

Miłość Ludka idzie jej w pomoc, to ją naraz pociesza i każe wytrwać. Wytrwa, gdyż ponoć z męki rodzi się wielkie szczęście.

Jeszcze myśl ją nachodzi, że gdyby mogła, toby cały wóz kwiatów przywiozła tutaj dla swojego rycerza, jednak zwalcza ją nowa, że... zato całe życie wyściele mu kwiatami i najzarliwszem uko-chaniem.

Wreszcie nabywa bilet na galerję. Z trudem znajduje miejsce. Siada cichutko i kłoni główkę na parapet. Wciąż jest jej mdło i słabo. Czasami czuje w lęku, że upadnie.

Za chwilę ocuca ją muzyka. Jest całą duszą w tonach. Zapomina, że nie ma kwiatów, że ona,

narzeczona bohatera wieczoru siedzi na galerji, o wszystkim zapomina. Z opartą główką zapadła w promienną toń muzyki, w świat niezemskiego czaru. Wrodzony jej genjusz uniosły boskie skrzydła gdzieś między gwiazdy... Żyje w tej chwili innem życiem — chórów w błękitach... W nich odnajduje troskliwą matkę, rodzinne ciepło, miłość i szczęście—

Orkiestra cichnie — teatr wypełnia się po brzegi — dzwonek.

Terenia budzi się z ekstazy. Trzeźwieje, błądzi wzrokiem po sali, potem podnosi go na łożo.

Naraz spotyka koleżankę Luškę w towarzystwie matki, oraz dwóch oficerów. Widzi ją rozbawioną, w ślicznej, głęboko wyciętej bluzce, z wachlarzem w ręku. Przed nią na czerwonym pluszowym parapecie leży pudełko z pomadkami. Jakaż ona szczęśliwa! Siedzi w łoży, ma towarzyszy, jej matka nie zabrania. Znów żal ją dławi — dlaczego ona jedna jest taka opuszczona? Dlaczego musi kłamać, uciekać z domu i cierpieć? Nawet skarżyć jej się nie wolno, ani pobitej płakać — dlaczego?

Ostatni dzwonek — gasną krzyształowe żyrandole — kurtyna idzie w górę.

Na scenie jasno, prześliczny pokój, pełen palm, a wśród nich... Ludek!... Odrazu go poznaje, choć taki teraz jak z gorączkowych snów. Ogromne ciemne oczy, różowe usta — jakież on cudny!

Serce Tereni bije szybko, dusza napływa w oczy. Zdaje jej się, że się przeniosła w jakiś uroczy i egzotyczny kraj.

Terenia zamiera w zapatrzeniu...

Płynie scena za sceną. Akcja sztuki nie działa na Terenie — ona jedynie patrzy w Ludka i słucha jego głosu. Tak mówił zawsze do niej, jak w tej chwili na scenie, tak słodko, tak pięściwie

A sceny płyną —
Kojarzy się poznanie, miłość... jakieś przesz-
kody...

Spada kurtyna — burza oklaskó w — światła...
Znów jakiś pałacowy taras, w oddali morze
i symfoniczne światła... Wszystko, jak w bajce.
Ludek w jasnym ubraniu stoi w tych blaskach
i trzyma w rękach dłoń miłowanej kobiety... Znów
szepty... pocałunki... zwierzenia...

Terenię kąsa zazdrość, choć wie, że to gra
tylko. Jedno atoli pragnie usilnie wiedzieć — czy
pocałunki te prawdziwe...

A potem pojedynek... Jakiś pan mierzy do
Ludka z pistoletu...

Groza szarpie Terenię — chcebiegnąć, by
przeszkodzić, lecz naraz strzał.. Luddek ocalał..

Trwoga spada jej z serca, choć żal tego, ugo-
dzonego kulą...

I znowu światła, lecz na scenie krocie kwiatów,
teatr drży od oklasków. Gdzieś z za kulisów wno-
szą kosze bukietów, Luddek się kłania, dziękuje,
odchodzi i znów wraca, a entuzjazm nie ustaje.
Triumf! Publiczność oczarowana grą, szaleje.
Wszystkie oczy patrzą na Ludka, a on, niby kró-
lewicz z bajki, przyjmuje hołdy, kwiaty, uznanie...

Terenia klaska w ręce... Patrzy wprost w jej
oczy, patrzy sercem i duszą, całą swoją miłością,
niestety, on jej teraz nie widzi. Nie czuje spojrzeń,
a przecież odczuć je powinien i znaleźć gdyż
są takie potężne i niezmiernie pragnące!

Jakżeż żałuje, iż go nie uprzedziła o swem
przyjściu, — byłby jej teraz szukał wzrokiem, by
się podzielić z nią triumfem.

Ostatni akt — zwycięża miłość, błogosławieństwo
rodzicielskie spływa na pochylone głowy kochających.

Ludek znikł za kurtyną, owacyjnie żegnany i już nie wróci. Spektakl skończony.

Pryska bajka, gasną ułudy, a przedewszystkiem odszedł — on. Już go dziś nie zobaczy — odjedzie.

Ze łzami w oczach opuszcza Terenia teatr. Nie usiłuje wstrzymać płaczu, jest ponad jej siły. Chowa twarzyczkę w boa i lka jak pisklę. Omija ludzi, ucieka przed rozpienioną wesołością. W przyrzmatach lez unosi z sobą obraz Ludka i mówi doń coś w duszy i żali się jak dziecko, to znowu modli się do niego hymnem zachwytu.

Im bardziej przybliża się do domu, tem głódniej i goręcej kryje w duszy obraz ukochanego, jako jedyny skarb na świecie. Ten obraz napęlnia ją odwagą, — wie, co ją w domu czeka, że się posypią razy i złorzeczenia. Idzie jednak gotowa na to straszne przyjęcie, na śmierć gotowa nawet iść w obronie swoich najdroższych uczuć. Niech ją do krwi wysmaga matka, niech drze za włosy, lecz nie potrafi wyrwać jej z piersi szczęścia, którego doczekała nareszcie.

Szlachetny bunt wzrasta w niej teraz do tego stopnia, iż jest gotowa na opuszczenie domu i pójście choćby na służbę. Czuje oddawna, że jest w nim parjaską, i zawadzającym przedmiotem, o który od lat dzieciństwa uderza kra rodzicielskiej zawiści. Nie zna wprawdzie dokładnie istotnych przyczyn tej atmosfery, lecz je wyczuwa. Ona jedna z pośród rodzeństwa jest odrażona nawet przez ojca. Dla reszty dzieci ojciec jest dobry i kochający w dwójnasób, — za matkę, bo matka jest nieczuła. —

Rozszerzona świadomość życia odsłania teraz przed Terenią jeszcze jedną tajemnicę: oto, że matka ma kochanka... Teraz rozumie po co ten tęgi

pan przychodzi szczególnie tak często pod nieobecność ojca. Wtedy wszystkich wypędza matka z domu. Pierwsze podejrzenie miało swoją podstawę, — Terenia widziała raz niechcący, jak ów mężczyzna przyjaciel ojca, całował matkę w obnażone ramiona... Teraz to wszystko przemawia do Tereni i uświadamia ją na szerszą skalę. Więc jest jakaś przyczyna wielka i dawna, która okradła ją z ciepła miłości, inaczej, dlaczegożby ją jedną ojciec odpędził? I dlaczegoż między ojcem i matką istniałaby ta sztywność i chłód w pożyciu?

Chaos różnych przypuszczeń wzmógł się w głowce Tereni jednak po chwili pierzcha, —

Terenia znajduje się przed domem. Dzwoni na stróża.

Za chwilę naciska dzwonek w przedpokoju. Czas krótki cisza, potem surowy głos. Ktoś drzwi odmyka. Terenia drży, jak liść, chociaż odpędza lęk od siebie.

Na progu ukazuje się matka. Trzcinę ma w ręku. Terenia się nie cofa.

— Gdzie byłaś do tej pory? — rzucła matka ostre pytanie.

— Mamusiu, wybacz... byłam w teatrze...

— Z kim byłaś, ulicznico?

— Sama...

— Kto ci zezwolił na to, co?

— Nikt... Przecież mnie nic nie wolno — mówi już łzawo. Coś jeszcze drżące usta chcą powiedzieć, lecz uderzenie piętem, w ramię, zaciska je boleśnie.

Rozwścieczona dłoń matki bije teraz na oślep.

— Jęk porывa Terenię.

— Dlaczego bijesz, gdy mię nie kochasz? lecz nienawidzisz? Czemu się mścisz? — pyta, szlochając.

Pierwszy raz matka widziała odruch buntu.

Blednie z pasji, wściekłość tężcem wchodzi jej w ręce.

— Precz suko — syczy. — Na schody, na ulicę, — tam śpij! Tam dla ciebie miejsce.

Cofa się wtył i zatrząskuje drzwiami przed córką.

Terenia stoi przez moment oniemiała.

Potworny ból pali jej ciało, lecz już nie jęczy.

— Dobrze, niech raz się wszystko skończy...
— myśl jej przez mózg przelata i głuszac spazm, schodzi ze schodów.

Idzie do stróża, aby jej otworzył — bramę, Stróż, wywołany krzykiem, stał w sieni.

— Otwórzcie bramę — odzywa się przez łyż.

— Stróż przyświeca latarką.

— Pani panienkę zabiła i wygnała?

— Tak... Byłam w teatrze bez wiedzy i pozwolenia rodziców. Prawda, że to okropna zbrodnia? Pierwszy raz w życiu byłam... Trudno, mnie nic nie wolno... jestem poprostu więźniem... Zresztą, jak mię w domu traktują, wie o tem cała kamienica. I powiedz pan, dlaczego? Prawda, dziś dałam powód, ale tak cierpię już od dziecka.

Ależ panienko... Trzeba się wrócić, przeprosić mamę...

— Nie, nie! Otwórzcie!

— Gdzież się panienka uda?

— Pójdę do koleżanki.

— Jaby panienkę wziął do siebie, ale... panienka wie, byłaby straszna awantura...

— Bardzo dziękuję, ja nie zginę.

— Psiakrew, to ludzie! — bąknął pod nosem stróż i otworzył bramę. Znał już widocznie swych chlebobawców. — Niech się panienka nic nie martwi bo wszystko będzie dobrze... Całuję rączki...

— Dobranoc.

Zanim Terenia postąpiła kilka kroków, słyszy głos z pietra:

— Wracaj natychmiast. nie rób skandału!..

To oknem woła ojciec.

Terenia idzie dalej, nie odwracając głowy. Bunt zbeszczeszczonej istoty pcha ją gdzieś naprzód. Słyszy znowu jeszcze surowy głos, lecz ten nie działa na nią teraz. Nie lęka się niczego, chce nawet walki, albowiem jej się zdaje, że rozpoczęła walkę nie tylko o swe prawa, ale głównie o miłość. Teraz przed niczem się nie cofnie. Rwą się w jej sercu ostatnie włókna wiążące ją z rodziną. Do matki czuje teraz wstręt, przez to, że ma kochankę, że plami miłość, która w pojęciu jest jej świętością. Widzi teraz całą ohydę domowego ogniska i zdradę dzielącą matkę do ojca. On pewnie musi wiedzieć o tem... a może — sam ma kochankę... Strasznel! Pamięta słowa Luśki, że miłość jest tylko szaleńcem zmysłów i niczem więcej... Że tak ją można zmieniać, jakby balowe rękawiczki... Boże, czyż to możliwe? A więc taka jest miłość? Więc i małżeństwo łamie przysięgę z przed ołtarza? Okropnel

Terenia zbacza szybko w przecznicę. Teraz myśli o sobie czy i jej miłość — szaleńcem zmysłów... Nie, nie! Ona oddała mu swe ciało, ale kocha go sercem, duszą, tem najświętszem uczuciem! On tylko jeden dla niej w życiu, na zawszel! A może Ludek kocha ją tylko tak... jak ci wszyscy kochają — dla zmysłów?

Dławi w sobie to podejrzenie, nie chce w nie wierzyć.

Czuje w sobie chaos. Migają w myślach po-
gmatwane obrazy przeżyte w dniu dzisiejszym, pie-
ką zsiniałe pręgi ramion, — komuż się dziś poskar-

zy, przed kim wypłacze? Dokąd niosą ją kroki, gdzie czeka na nią schronienie?

Mija przecznicę, znów idzie dalej, znękana, oszołomiona, słaba.

Wreszcie spostrzega planty. Krzewy bzów i jaszminów wołają ją ku sobie.

Postać Tereni bieży chwiejnie do tych otwartych ramion. Pada w ich cieniu na ruń trawnika.

Znalazła Matkę, — ziemię...

Kładzie usta na jej wilgotnej piersi i łkać zaczyna.

— Mamusiu, moja mamusiu!...

Tuli spieczoną wargi i skołatane ciało do łona ziemi, tej Wszech - matki, — najlepszej. Zrasza ją łzami opuszczenia, sieroctwa i wygnania.

A Matka słucha...

Słucha skarg od zarania dzieciństwa, przez wszystkie lata, do dziś...

Placząca spowiednica mówi o wszystkim, nic nie zataja, całe swe serce powierza Matce...

Mijają długie chwile...

A spowiedź nie ustaje, tylko płacz cichnie, cichnie...

Patrzą zdumione krzewy na tę dziewczęcą postać łaknącą ukojenia. Chylą nad nią okiście kwiatów i płaczą rosą, albowiem widzą ludzką spłakaną wiosnę... Słyszą jej skargi, przedziwne zapytania, prośby o macierzyńskie pouczenie, — i litość je przejmuje i radeby jej ulżyć, temu dziewczęciu...

Cichną ostatnie szepty. Terenię zda się, sen ogarnia. Leży bez ruchu, z główką w boa wtuloną, do łez ostatnich wypłakana. Może ulga ją koi?

Po jakimś czasie chłód nocy wstrząsa jej ciałem. Otwiera oczy i przytomnieje. Jest jej tak zimno. Czuje przytem ogromną słabość. Może to z głodu? — wszak od południa nic nie jadła.

Terenia zwleka się ciężko z ziemi i wychodzi na chodnik. Nogi drżą pod nią, głowa jej cięży. Coraz bardziej ta słabość zaczyna ją przerażać. Czuje, że coś się dzieje w niej, coś przejmująco dziwnie, nie odczuwane dotąd nigdy. Boi się myśleć o tem o czem ją Ludek tak uspakajał..

Stąpa wolno chodnikiem bez celu. Chyba do rana będzie tak błądzić. A potem? Nie wie, nie może zebrać myśli.

Miasto po zgiełku dnia zapadło w względną ciszę. Tylko gdzie-niegdzie słychać turkot dorożki, urwany śpiew, lub wrzaskliwe śmiechy.

W kilku miejscach na plantach widzi Terenia grupki kobiet, i mężczyzn. Są nadzwyczaj weseli, obejmują kobiety, parodują jakiś taniec. Terenia dziwi się, że tak mogą na mieście. Zapewne podchmieleni powracają z zabawy... Mija te grupki i schodzi na ulicę. Boi się ich zaczepki.

Po chwili jednak jakiś pan zatrzymuje się przed nią. Nie zdejmując kapelusza mówi jej poważnie „dobry wieczór“ i ujmując za ramię,

— Cóż, kotku? Pokażże się do światła.. Owszem, chodź ze mną..

Terenię strach przejmuję.

— Proszę mnie puścić! — prosi, złęknioma i chce się wyrwać z rąk napastnika.

— O, nie tak prędko!

— Co pan ode mnie chce? — pyta Terenia dygocąca.

— Nie wiesz? Nie udawaj takiej płochej.. To u mnie nie popłaca.. Ze mną otwarcie, jam stary wróbel!

I nie czekając odpowiedzi wpół je brutalnie obejmuje, chwytając za pierś i zbliża usta cuchnące alkoholem do jej spieczonych warg.

Kobięcy krzyk wdarł się nagle w powietrze,

Terenia broni się rękami, zasłania usta i nie przestaje krzyczeć.

Napastnik puszcza ją z uścisku.

— Idź do stu djabłów! — rzuca zgniewany i staje patrząc na nią. — Oj głupia!!

Teraz co tchu biegnie Terenia naprzód. Nikt jej nie goni, lecz ucieka. Jakiś potworny lęk każe dobywać sił.

Wreszcie zdyszana zatrzymuje się na rogu ulicy i ogląda za siebie. Napastnik zginął jej z oczu. Odetchnęła z przestachu. Co teraz robić, gdzie się udać? Na każdej ulicy może ją ktoś zaczepić...

Naraz błyska jej myśl, by się udała na kolejowy dworzec. Tam ludzi wiele i policja. Tam bezpiecznie doczeka rana.

Terenia idzie za tą myślą. Jeszcze zaczepia ją jakiś ptak nocny z przeciwnej strony ulicy, co znów napawa strachem biedne dziewczę i zmusza do ucieczki. W trwodze dopada dworca. Pierwszy raz przemówiła do niej ohyda. Potworne życie bruku dotknęło ją mackami gadu, teraz, kiedy się czuje najbardziej samą i opuszczoną.

Wchodzi do westibulu z potem lęku na czole. Jasno tu i dosyć tłumnie. Terenia patrzy po twarzach ludzi i doznaje wrażenia, że oni wszyscy obcy i obojętni. Co chwilę spotyka się z wejrzeniem spacerujących mężczyzn, z wejrzeniem złem i zaczepnem. Czuje, jak ją te ohydne oczy mierzą, badają i taksują.

Terenia opuszcza oczy na posadzkę, twarz kryje w boa i poczyną ciężką wędrówkę po westibulu. Coraz bardziej drżą pod nią nogi, drży całe ciało, i zimne mrowie przechodzi. Lęk, głód i widmo czarnych myśli odbierają jej mizerne siły i czynią zawrót w głowie. Co teraz pocznie, gdzie się uda, co dziś ją jeszcze czeka? Do domu nie po-

wróci, -- bo nie ma domu i rodziców. Ci, co jej dali życie, dali jej widać poto, aby je truć przez lata, katować ją, wreszcie za próg wyrzucić.

Szepnęła jej naraz myśl, by udać się do Ludka i opowiedzieć o swym losie. Jest pewna, że jej bez dachu nie zostawi, ale weźmie w opiekę, zabierze z sobą, — któż, jeśli nie on? Myśl ta pochłania ją zupełnie, jednak panicznie się teraz boi wyjść do miasta. Nie wyjdzie teraz na ulicę za nic na świecie. Zdaje jej się, że tam na każdym kroku czyha na nią straszliwy polip zła

Nie znajdując żadnego wyjścia, postanawia czuwać i oczekiwać przyścia Ludka. Wszak miał odjechać dzisiaj rano, zatem niechybnie tu go spotka.

Informator udziela jej objaśnień o odjeździe pociągu do stolicy. Boże, jeszcze cztery godziny czasu! Czy wytrwa do tej pory, czy z wyczerpania nie runie na posadzkę?

Chodzi ostatkiem sił i przytomności, wreszcie ledwie już żywa wchodzi do poczekalni. Musi co prędzej usiąść, inaczej padnie z osłabienia.

Szczęściem znajduje w rogu wolne miejsce. Zdaje jej się, iż wszystkie oczy na nią patrzą i tajemnicę z niej czytają. Już jej to obojętne, — lęk ją teraz ogarnia, by nie zemdleć. Wstrząsa nią febra, w przymkniętych oczach latają płatki, zamęt kołuje w mózgu.

Siedzi tak długą chwilę i wywalcza kruszynę przytomności. Mija gwałtowne osłabienie, wędną rozdygotane nerwy, sen wielki poczyna nadchodzić. Broni się, broni, by nie przespać spotkania z ukochanym, jednak zdradziecki sen rozpina sieci umiejętnie, ucisza niepokój, omamia obrazami, otula w szatę ulgi.

Znikają czarne myśli, los staje się przyjazny troskliwy, dziwnie słoneczny.

Jest jej tak cicho i tak dobrze. Nie czuje głodu i opuszczenia, pierzcha daleko myśl o czemś strasznem...

... Oto kwietnym dywanem łąki Ludek idzie naprzeciw... Cudowne jego oczy śmieją się szczęściem, że ją tu spotkał. Wyciąga ku niej drogicę ramiona, obejmuje miłośniczo, tuli do piersi.

I mówi, tak bosko mówi, opowiada o kwiatach...

Płaszą się po trawniku... Gonią motyle, świtezianki i ważki.

Wszędzie bezmiar pogody, błękitu i radości. Kwiaty tak pachną, a nadewszystko upaja macierzanka...

Splatają wianki ze storczyków i koronują sobie skronie.

Z łąki schodzą na niwę. Błądzą wśród zboża, zrywają chabry. Wokoło cisza, pora południa i złote blaski słońca.

Zdaje się sercom rozśpiewanym, że się odprawia świąteczna suma wśród natury.

Terenia kładzie palce na kłosach, jak na klawiszach i gra natchnione hymny. Ludek śpiewa do wtóru, śpiewają polne koniki; dzwonią skowronki — — Święto!...

Pochylają się łany zboża, jak fala głów na procesji, pochylają się czerwone maki, niby przełiczne chorągiewki, a kłosa rozsiewają wonny pyłek, jak trybularze...

Jakież to wielkie i uroczyste Święto!...

Tysiące białych anielskich skrzydeł zakrywa lazur niebios — śpiew zewsząd płynie...

Naraz dwóch urodziwych archaniołów buduje ołtarz z kwiatów...

Naprawdę, — cud się stwarza...
Ślub uwieńczy miłość! Wszystko wokół wznesi
kwietne kolumny i chabrowy baldachim...

Grają organy...

Terenia z Ludkiem idą kobiercem łąki przed
ten niebiański ołtarz...

Kłękają na stopniu z mchu... Podają sobie
ręce... Urodziwy archanioł nakrywa ich skrzydłami...
Coś mówi i wiąże dłonie... Czyni się cisza na wi-
dok misterium zaślubin...

Ach! jaka cisza wniebowzięta!

Modlitwa wstrzymuje pulsowanie serc...

Dusze się chylą w nieziemskim zaśluchaniu...

Zachwyt — ekstaza — i niepojęte ucieszenie...

Szczęśliwość dech wstrzymuje —

Naraz... dzwonek portjera i głos donośny
oznajmiający pociąg:

Sen Tereni wali się w gruzy, jak uderzony
gromem.

Otwiera oczy, zrywa się przestraszona. W po-
czekalni czyni się ruch i zgiełk. Tłum pcha się
do wyjścia.

Terenia idzie za tą falą, idzie bezwiednie,
porwana prądem. Chwieje się cała; Myśli szumią
jej w głowie. Chwyta ją rozpacz, że — zasnęła
i obudziła się zapóźno. Ludek zapewne już w po-
ciągu... Co teraz? Nie ma biletu, na peron jej nie
puszcza.

Bezradna, roztrzęsiona staje przy oknie.

W tymże momencie spostrzega Ludka. Stanął
obok wagonu nawprost jej okna. Coś mówi do po-
sługacza niosącego walizki.

Posługacz wchodzi do przedziału, by zająć
miejsce.

Serce Tereni przestaje naraz bić. Widzi, że
Ludek nie jest sam. Stoi przy nim kobieta mło-

dziutka, piękna, z bukietem kwiatów w ręce. Terenia ją poznaje, to ta — widziana u Ludka na fotografii.

Terenia opiera się o okno, i patrzy, patrzy... Chce wołać, lecz nie może, głos jej zamiera w krtani. Coś się w niej stało, odebrało jej władzę mowy, myśli i nóg. Stoi jak wryta i skamieniała. Nie wie, co się z nią dzieje, co ją tak obezwładnia i przykuwa do miejsca. Dławi się, nie może chwycić tchu, a serce rwie się w krzyku.

Postać owej kobiety uderzyła w nią czadem odrętwienia.

Gorączkowy pośpiech zapowiada odjazd kurjera.

Piękna kobieta wręcza bukiet Ludkowi. Ludek całuje ją po rękach, obejmuje za szyję — łączy ich długi pocałunek...

Rozpaczny bunt wraca iskierkę sił Tereni, odrywa się od okna wprost obłąkana i nieprzytomna z bólu.

Chce biec ku drzwiom i naraz styka się oko w oko z swym — ojcem...

— Jezu! nie!.. nie!.. rzucają okrzyk blade wargi Tereni.

Pragnie uciekać, wyciąga naprzód ręce do jakiegoś obrońcy, lecz noc jej nagle mroczy oczy...

Zwisa zemdlona w nagłym uchwycie ojca —

V.

Po dwu tygodniach niemocy Terenia powstała z łóżka. Pamiętnego dnia, kiedy zemdloną na kolejowym dworcu przywiózł ojciec do domu, wezwany lekarz skonstatował objawy tyfusu. Kiedy

jednakże po kilku dniach spadła gorączka i skłonność do wymiotów opuściła organizm, diagnoza okazała się mylną, zaczem ogólne osłabienie z powodu braku apetytu wzięto na karb żołądka i ten poczęto leczyć. Aczkolwiek i w tym wypadku wiedza lekarska niedopisała wcale, to przynajmniej lekarstwo było tego rodzaju, że jeżeli nie pomogło to na szczęście nie zaszkodziło pacjentce.

Dość troskliwa opieka, chociaż brakło jej ciepła i matczynej czułości, a wreszcie odpoczynek i majowe powietrze, poczęły wlewać nowe siły w biedne ciało Tereni. Wracało zdrowie, ale nie wracał spokój duszy. Nikt nic nie wiedział, ani pomyśleć nie mógł, w czym leży faktyczna przyczyna tej słabości, jednak Terenia znalazła już jej źródło.. Odczuła w sobie zmianę, dokonywanie tajemnicy przyrody, — owoc bezpamiętnej miłości. Była na tyle rozwiniętą, aby móc wnikać w tę zagadkę, wreszcie sama natura uświadomiła ją dokładnie.

W pierwszych chwilach Terenia truchlała z trwogi, czuła się zawieszoną nad przepaścią chłonącą w śmierć. Wydało jej się, że świat nią wzgardzi, napiętnuje ją hańbą i wyzuje z ludzkiej godności. Aliści rozpacz rozwiała się niedługo. Albowiem przysła do znękanego serca taka wszechmocna koicielka, która, nie tylko, że zwyciężyła rozpacz i ukoiliła ból, lecz potrafiła to serce i duszę nastroić nawet na ton przeogromnego szczęścia, a koicielką ową była — Miłość...

Nie dbała już jak ludzie z nią postąpią, jakim mianem ją nazwą, to wszystko stało się dla niej obojętne. Bo bezgraniczna miłość zbudziła w niej wrodzony instykt macierzyństwa, ów święty instykt, gotowy do największej ofiary z siebie i poświęcenia.

W obiegu zasad, wszczepionych w duszę

w szkole czuła do pewnego stopnia grzech swej miłości nie uświęconej sakramentem, aliści bezmiar ukochania łagodził w niej surowy szept sumienia. Tyle wszak przyczyn składało się na jej uległość, — nikt jej przedtem nigdy nie kochał, nikt nie pokazał dróg, ani bezdroży życia, nikt nie umocnił hartem, nie przysposobił na wędrówkę i nie nauczył stawiać kroków pośród kwiatów i cierni... Szkoła była za ogólną i za ostrożną wychowawczynią, matka była jej obca, — któż zatem miał ją w świat wprowadzić? Instykt ją tylko wiódł i ochraniał, on ją pouczał, dopóki i tej jedynej siły nie zwyciężyła wreszcie nowa, po krocie razy większa, tembardziej, iż spotkała istotę pragnącą ludzkiego serca.

Dusza Tereni tak czuła i wrażliwa, w dziwnym pośpiechu dojrzewająca teraz, wniknęła obecnie we wszystkie swe wydarzenia i ewolucje, obmyśla je potokiem łez, a wielka miłość dopełniła w niej reszty. Ta jedna myśl jej nakazała i rozchmurzyła przed nią niebo. Jedna, jedyna chmura widniała tylko na niem — to ta kobieta na dworcu, żegnająca się z Ludkiem. Kto ona? co ich łączy? Wielką jej wiara i tę wreszcie potrafiła rozproszyć nieco ucisznym szep-tem. Może to krewna, kuzynka, a może wśród artystów istnieje taki braterski sposób pożegnania? Może...

Dwie złote gwiazdy miała teraz w swej duszy, — Ludka i ową tajemnicę... Była pewna w swojej dziewczęcej i dobrej naiwności i swoim naturalnem szczęściu, że to wielkie zwierzenie przyjmie Luddek z radością, jako triumf miłości, mimo że tak odsuwał od niej tę możliwość. Stało się... Dlaczego zatem miałby się smucić, kiedy ona pogodziła się z losem, i mimo wszystko czuje się tak szczęśliwą! Przecież to będzie przyszłym skarbem

-- ich dwojga! Szept tajemniczy nie dawał jej spokoju, i nagiął do zwierzenia.

Dziś mu napisze... Już kilka dni, jak opuściła łóżko, i chociaż stale czuje mdłości, ma już na tyle sił, by nawet pójść na spacer. Napisze list i zanieśie na pocztę. Tam już zapewne w oddziale post-restante czeka na nią kilka listów od Ludka... Już przecież dwa tygodnie, jak odjechał, a przyrzekł, iż natychmiast da znać o sobie. Pewnie czeka na odpowiedź, Bożel Co on sobie tam myśli? Nie wie, że chorowała, i nie miała nikogo, ktoby jej przyniósł listy!...

Jest właśnie przedpołudnie, najstosowniejsza pora: dwie siostry w szkole, a najmłodsze rodzeństwo z boną w ogrodzie. Matka u siebie i od kilku dni już nie odwiedza rekonwalescentki. Powróciła dawna oziębłość, a nawet większa od poprzedniej. Zapewne, tak nieposłuszna córka, usiłująca uciec w świat — jak mniemali rodzice — nie zasługuje teraz na opiekę. Złe przeszło Terenia to odczuwa, lecz już nie zważa na to. I tak niedługo musi ten dom opuścić, aby przed „hańbą“ go uchronić.

Nie myśli jednak teraz o tem: — czuje się silną, na świecie wiosna w całej pełni, a tam na pocztę listy...

Nie czytając ich treści, siada i pisze:

„Ludku jedyny! Nic nie wiesz... od dwóch tygodni byłam słaba.. Leżałam w łóżku. Nie mogłam pójść na pocztę, żeby odebrać Twoje listy, jakie zapewne oczekują już na mnie. Sama również, będąc już zdrowszą, pisać listu nie mogłam, bo i jakżebym go wysłała? Ty wiesz, Najdroższy, jakie u nas stosunki... Ale to wszystko nic, nic! Jestem już zdrowa, naprawdę, zupełnie zdrowa. Proszę Cię, uwierz, gdyż nawet w tym wypadku, kiedy mógłbyś się martwić, nie zdobyłabym się na kłamstwo.

Prawda, mogłam przemilczeć o tem, ale... jakże ja Ci to powiem?... Ludeczku złoty, najdroższy, ja... będę matką!... Stąd moja słabość... Nikt mię już nie przekona, ja wiem najlepiej, czuję... Widzisz, a mówiłeś inaczej... Ale to nic, nic, nic! To mój Ludeczku szczęście i błogosławieństwo! Nie myśl, bym rozpaczala... to już minęło... Teraz jestem szczęśliwa, że będziemy mieć dziecię... Nasze dzieciatko, najdroższe, najukochańszel! Jak ja je kochać będę — Jezul! To nie da się powiedzieć! Już dziś je kocham całą duszą i dlatego na nic nie zważam, co mnie czeka. Ach! jakże mi to obojętne, — bo cóż świat cały znaczy wobec naszej miłości i nadchodzącego szczęścia... Wyobraź sobie tylko — mamy dziecinkę!... Pieścimy ją, tulimy, a ona na nas patrzy ślicznemi oczętami, rączki do nas wyciąga!... Ach, Boże! Mnie nikt dzieckiem nie kochał, lecz za to ja całe swe serce i całe życie oddam naszemu dziecku. A Ty, Ludeczku mój, a Ty? na miłość naszą Cię zaklinam, — powiedz mi prawdę! Przecież Cię chyba to nie zgniewa i nie zasmuci — wszak jam niewinna, byłam dla Ciebie tem, czem chciałeś... jednak tylko nie pomyśl bym żałowała tego... och, nie i nigdy!! Miłuję Cię nad życie, zresztą — Ty wiesz, wiesz o tem... lecz jeśli to wspominał, to jedynie po to, abyś nie myślał, żeś powodem jakowego nieszczęścia, ale przeciwnie... Tyś pierwszy dał mi serce i miłość, zbudziłeś moje, za co Ci nieskończenie jestem wdzięczna! Nie czuję się ofiarą, ale istotą najszczęśliwszą! Pragnę, byś mnie zrozumiał i cieszył się mem szczęściem! Jeżeli ja kobieta, patrzę dziś w świat pogodnie, a więc dlaczego Ty miałbyś patrzeć inaczej? Wiem, że tak nie jest i jeszcze stokroć bardziej kocham Cię za to! Bóg chciał, aby tak było... więc nam bluźnić nie wolno, gdyż byłoby to grzechem i plamiłoby

słońce naszej miłości... wszak pamiętasz swoje słowa, że nawet brak wspólności pragnień obniża miłość... A cóż dopiero teraz? A więc, Ludeczku, powiedz swojej Tereni, że rozumiesz jej szczęście, że z niem się godzisz i wzajem bierzesz je na siebie... Kończę już, — jutro napiszę znowu. W tej chwili biegnę na pocztę po Twoje listy. Ach, jakże tęsknię do nich, bo tęsknoty do Ciebie nie określi żadne pióro. Pa! mój najdroższy!! Nie zapomnij o Tereni, tak Cię bezmiernie kochającej! Pa! moje Szczęście. Twoja na zawsze-Terenia”.

„P. S. Byłam na dworcu, gdyś odjeżdżał... jednak nie mogłam przyjść do Ciebie... Kiedyś Ci to opowiem Ludeczku! Kto była ta kobieta, która Ci dała kwiaty i którąś tak całował?... Tak mię to gnębi — powiedz kochany!... Pa!!

Terenia czyta jeszcze list i płoni się, jak wiśnia. Boże! takie zwierzenie w pierwszym liście! Nachodzi ją pokusa, ażeby go nie wysłać, lecz wmawia w siebie równocześnie, że tem ukrzywdzi Ludka. Dziwi się przytem sobie, że tak szybko z panienki przeistoczyła się w poważną i dojrzałą kobietę... Czuje tę wielką zmianę w zapatrywaniu swem na życie, bo jakżeż o... inne od tego z przed kilku ubiegłych tygodni!

Terenia zaczytana w ostatnie zdanie listu nie zauważyła nawet, jak drzwi się cicho rozchylają i jak tuż za nią staje matka.

— Cóż to panienka pisze? Zdaje się, że to list, — proszę pokazać!

Terenia blednie zaskoczona.

— Piszę do koleżanki — zaczyna kłamać na myśl ogromnej tajemnicy listu. Myśli, że ją to uratuje. Dla pewności jednakże bierze co prędzej papier, lecz równocześnie matka wyrывa jej go z rąk. —

— Cóż znowul Przedemną chowasz? — rzuca ze złością.

Przerażona Terenia opuszcza bezradnie ręce. Przecież nie rzuci się na matkę, aby jej wydrzeć list.

Matka odsuwa się i spogląda na pismo.

— Ludku jedynyl — proszę... to koleżanka — ironizuje i czyta dalej.

Płomień uderza nagle w twarz Tereni. Doznaje wrażenia, że ugodzono teraz w świętość jej uczuć. I naraz bunt pełen ostatecznego zdecydowania przeży jej ciało. Już śmiało patrzy na postać matki, nawet wyzywająco.

— Niech wie, niech wie — szepce do siebie w duchu — niech raz się wszystko skończy...

W miarę czytania twarz matki zmieniała się w barwach i wyrazie. Oddech jej staje się krótki, szybki, napięty.

Przeczytała...

Patrzy chwilę na córkę jakimś struchlałym i pełnym jadu wzrokiem.

— Tyl... Tyl... — dyszy urywanym głosem — czy to jest prawda?!

Postać Tereni stoi w heroicznym spokoju i oczekuje burzy. Wsparta o stoliczek przy oknie patrzy prosto w twarz matki.

— Tak, proszę mamy, to prawda — odpowiada z niezwykłym namaszczeniem.

Oczy matki stają się wielkie, straszne.

— Ty matką będziesz... skąd Ty to wiesz?

— Zbłądziłam... nie! nie zbłądziłam! Ja go nad życie Kocham!... W oczach naszej miłości jesteśmy już małżeństwem...

Jakiś huragan potrząsa ciałem matki.

— Tak!... a więc stąd ta choroba? Więc moja córka ladacznica?

— Przepraszam mamę, nie jestem ladaczną!
— odzywa się Terenia.

— Milcz! — syczy matka wprost w szale —
ty!... ty!... Poślę natychmiast po doktora, przekonam
się... a jeśli to jest prawdą, — na bruk wyrzucę cię,
dam do domu poprawyl... Chrystel to córka? taką
ohydę wychowałam? na hańbę? na rozpustę?

— Może dlatego tak się stało, że mnie nikt
nie wychował — mówi śmiało Terenia. — Kto mnie
nauczył życia? Kto tutaj o mnie dbał? Byłam tu zaw-
sze czemś zbytecznym, odrażonem od matki i od
ojca... bito mnie, jak na przybłądę się patrzono, a więc,
co mama chce? po co ta rozpacz? Jestem tu niepo-
trzebna, — pójdę od was.

Pani Aniewiczowa oniemiała. Wyzywający spo-
kój córki przeraził ją i powstrzymał od bicia. Była
pewna, że gdy z wściekłości chwyci córkę za włosy,
to ta rozpocznie walkę!

Kipiąca, oszalała, opuszcza pokój. Leci do te-
lefonu aby zaweźwać męża. Dzwoni nerwowo.

— Halo! halo! czy bank?

Myśl błyskawiczna informuje Terenię. Przybę-
dzie ojciec, lekarz... będą ją badać! Strasznel za nic
na świecie!

W momencie decyduje się na ucieczkę. Nakłada szyb-
ko kapelusz i płaszcz wiosenny. Wydobywa z ukry-
cia zwiędłą bordo różę i chowa do torebki. Słyszy
alarmujący głos matki przy telefonie. Po raz ostatni
rzuca oczy na pokój. Czuje, że tu nie wróci więcej.
Pomimo wszystko bolesny żal ściska jej serce. Przez
kuchnię biegnie na palcach do przedpokoju. Służą-
cą ucałowała nagle w usta przez biegnącą panien-
kę, domyśla się, że coś nowego zaszło znów w do-
mu. Nie ma czasu zapytać, — Terenia już na scho-
dach.

Ucieka. Miesza się z tłumem w bocznych uli-

cach i plan obmyśla. Naprzód wpadnie na pocztę po te najdroższe listy, potem do Luški. Wie, że jej będą szukać, lecz się ukryje. Później... co później? Nic jej innego nie zostaje, jak wyjechać do Ludka...

Na poczcie rozczarowanie: miast tylu upragnionych listów jedna kartka o kilku słowach.

„Ucałowanie i pozdrowienie. Gdy znajdę chwilę wolnego czasu, napiszę list. Lud...”

I więcej nic. Za tyle dni tylko ta jedna kartka... Dlaczego? od dwóch tygodni nie miał czasu napisać? Ugryzł ją ból zawodu i szarpał kłami serce.

Łzy się kręcą Tereni w oczach, nie może pojąć, żeby nie znalazł dla niej wolnej chwili. Myśl jej się mąci, sny i nadzieje zawiedzione wyotchłaniają w niej rozpaczłą pustkę. Rzuca w duchu dziesiątki pytań, szuka pociechy i spokoju, bo coś we wnętrzu wrze, targa się, łka.

Lecz zaślepiona miłość poczyna wreszcie stwarzać lekarstwo, owijać swoją ranę i odganiać zwątpienie. Usprawiedliwia kogoś i sama, nie mając wyjścia, godzi się z losem. Ale postać kobiety, tej z dworca, staje jej nagle w oczach, raz wraz obudza w ranie ból i męczy. Wichrzy się znowu chwilowa cisza serca, roje napastnych myśli mózg opadają i żądają go, jak osy.

Terenia gwałtem opędza się tej chmarze, nie chce uwierzyć w złe podszepty, ani dopuszczać ich do siebie.

Szuka ratunku dla całej swej istoty. Znalazła się na bruku bezdomna i tak biedna, bez środków do życia i ucieczki. Do domu już nie wróci, już nie ma domu. Nowy okres życia otwiera się przed nią, jak tajemnicza księga. Jakie jej pierwsze karty, jaka jej całość? Strach ją jakiś przejmuje przed tem Nieznanem, Pierwszy raz teraz czuje tego rodzaju jęk i grozę położenia. Pomimo wszystko wciąż

jeszcze wierzy w swoje szczęście, wierzy ogromną wiarą dziecka. Cóż, że uciekła, że jest w tej chwili taka biedna? Musiała uciec. — jutro, pojutrze może wpadnie w kochane i opiekuńcze ramiona jedynego człowieka, który jest dla niej wszystkim... Pamięta jego rozgorzałe przysięgi — że ona jest dlań największym szczęściem i utęsknieniem... A więc ją przyjmie, ziszczy się ich pragnienie wcześniej, niżli sądzili, już będą wiecznie razem...

Otwarte drzwi kościoła wołają na biegnącą Terenię. Wchodzi w nie szybko dobrym ich głosem przywitana. Cisza wraz z półmrokiem świątyni działają na nią dziwnie przyjaźnie i kojąco. Zdaje się jej, że tutaj dla jej bólu zaciszna przystań i że tu czeka ją wielka, nieuwodząca ulga.

Terenia klęka na stopniach ołtarza przed wizerunkiem Matki Boskiej. Cudowny obraz tonie wśród licznych wotów. Czerwona lampka pali się przed nim. Jakże tu błogo i nieziemsko.

Ze łzami w oczach Terenia rozpoczyna paciorek, ten codzienny, którego dopiero nauczyła ją szkoła...

A potem... w cichym płaczu schyla się twarz dziewczęcia coraz niżej i niżej... Rwie się z biednego serca skarga i żarliwa modlitwa, korzy się przed ołtarzem w kropkach łez spadająca, modlitwa zwierzeń i pokuty, prośba o przebaczenie winy i błogosławieństwo... Modli się teraz ból serca wraz z sieroctwem, modli się wielka ludzka miłość wprost do Bożej miłości, modli się przyszła matka tajemnicą zapłodnionego łona i szlochom strwożonej duszy...

Usta Tereni spoczęły na wzorzystym dywanie i zcałowuje z niego proch, z myślą, że całuje najświętsze stopy Pocieszycielki utrapionych...

Zadzwoniono na Anioł Pański. Południe —

Terenia szepce rozpalonemi usty nową modlitwę. Tę najpiękniejszą, jaką człowiek znękany, czy szczęśliwy odzywa się do swej niebieskiej Matki. Padają słowa, ciche, gorące. Rodzi je ufné serce i czysta dusza z ziarenek głębokiej wiary.

I znów wraca do siebie, do swoich trosk, jakby w obawie, że spowiedź jej nie jest jeszcze zupełną. Jak przed niewielu dniami spowiadała się Matce — ziemi, tak dziś padła do kolan Matce całego świata —

Po dwóch godzinach próśb i modlitwy Terenia opuszcza kościół. Wychodzi na ulicę pokrzepiona na duchu, jeszcze z gorętszą wiarą w swoje szczęście. Teraz dopiero czuje, że jest na świecie wiosna, że świeci słońce i że wokoło jakaś wezbrana radość —

Idzie szybko do Luski. Luśka co tylko powróciła ze szkoły. Spożywa właśnie obiad. Terenia mimo oporu dotrzymuje swej koleżance towarzysztwa. Zresztą jest nawet trochę głodna.

— Daruj, iż ani razu nie mogłam cię odwiedzić w czasie choroby — usprawiedliwia się Luśka — ale naprawdę, już nawet szłam do ciebie, gdy... naturalnie spotkanie... I tak mi zeszło. Wiem, że nie dobra jestem, lecz wybacz, wybacz! Wiosna, rozumiesz — wiosna! Trudno się oprzeć jej pokusom... Całe szczęście, że wstałaś. Cokolwiek źle wyglądasz, ale... maj, to czarodziej! A cóż z miłością, kochasz się dalej?

Sposób mówienia koleżanki i jej spojrzenia rażą Terenię, lecz odpowiada cicho:

— Tak...

— Czemu aż z takim namaszczeniem to wymawiasz? Ach, prawda, to pierwsza miłość i... idealna.

Na ten temat zaczyna się dialog, lecz trwa

niedługo. Luśka z twarzy i słów Tereni czyta jakoby wielki smutek, Ma dobre serce, a więc odrzuca żart i uśmiechy i bierze koleżankę do swego pokoiku. Chcą być swobodne w swych zwierzeniach.

Terenia tai swą ucieczkę, lecz o miłości mówi wszystko. Chce o tem mówić, by się czegoś dowiedzieć...

Luśka naprawdę poważnieje.

— Swoją drogą tyś głupia, lecz „on“ jest podły! To nie kochanek, nie kawaler, tylko po prostu — bydlę!

— Lusienko nie mów tak... stało się!..

— Właśnie dlatego jest bydlęciem! Ach, jeszcze jakim!!! Wykorzystać czyjąś miłość i zaufanie i za to zhańbić, to... to przecież jest potwornie!

Terenia patrzy na nią z wyrzutami.

— Lusienko!

— Jeszcze go bronisz? Ciekawe... Więc chcesz mieć dziecko? Ty — niezamężna?

— A więc cóż począć?

Teraz Luśka bierze na spytki koleżankę. Jest w tej dziedzinie nie tyle doświadczona, ile uświadomiona. Wreszcie tajemniczym półgłosem daje jej radę, jedyną, aby ująć wstydu i nieszczęścia, — spędzenie płodu.

— Inaczej, moja droga, co cię czeka? — mówi jej Luśka dalej, — znieśławienie i piętno, a może nawet śmierć! Nie myśl znów, aby ten zabieg był taki straszny... nie! Są rozliczne sposoby, po prostu bagatelne. Podam ci adres pewnej madame... ta za pięćdziesiąt złotych w dwóch dniach uwolni cię z tego fatalnego przypadku. Jeszcze raz ci powiadam, że to głupstwo... wiem to od przyjaciółek, które też zaszły... Szczególnie u ciebie, zaraz w początku, będzie to niczem... Ach, ten twój gach... jaby na ogniu go smażyła!

Terenia milcząca, słucha. Czuje instynktem, że rada Luški jest jakąś straszną zbrodnią, której nie umie nazwać. Sama wiadomość, że ludzie zdolni są do tak potwornych czynów, wstrząsa trwożliwie jej sumieniem i mrozi ciało dreszczem.

— Lusiul, to chyba musi być najcięższym grzechem...

— Ach, jakżeś ty głupia. Pewnie, że jest to prawem zakazane, jednak w stosunku do wszystkich następstw, wynikających z prawa natury, szczególnie w takich okolicznościach, w jakich znajduje się niezamężna kobieta, — ten krok, uważany za zbrodnię, staje się wprost koniecznym. Inaczej, społeczeństwo wyklucza taką kobietę i napiętnuje, jak rozpustnicę. Tak źle, tak jeszcze gorzej. Trudno jednakże, gdy się już wpadnie w sieć przez czyjąś straszną nieuczciwość, trzeba bronić się wszystkimi siłami. Dlaczego w takim wypadku społeczeństwo nie potępia mężczyzny, gdy on jest tego głównym sprawcą, lecz tylko nas? Kobieta nigdy nie uwodzi, tylko mężczyzna i ci sami równocześnie pętają nas prawem. I gdzie tu sprawiedliwość? On się odurza nami i odchodzi, nie dbając co nas czeka. Pod tym względem, moja kochana, los nas nieludzko krzywdzi, więc gdzie tylko możliwe musimy się ratować. Później, tak... będziemy rodzić dzieci, gdy już przepisom społeczeństwa stanie się zadość. Zresztą, weź przykład z siebie: cóż jest dla ciebie dogodniejsze — chodzić we wstydzie cały szereg miesięcy, i potem całe życie być wskazywaną palcem czy gdy to jest tak łatwe, uniknąć tego?

Terenia milczy dalej, jednak nie nad tem myśli. To w jej pojęciu jest okropne.

— Wiem, żem cię przekonała, bo oczywiście! Twoja krzywda jest równocześnie moją krzywdą —

wszystkie kobiety winny być solidarne. Odczuwam nawet twoją troskę, — nie masz pieniędzy, prawda?

Ułożony plan każe Tereni teraz kłamać. Jak robak wstrętny gryzie ją kłamstwo, lecz mus zwycięża. Owo kłamstwo pozwoli jej cel osiągnąć.

— Nie mam...

— Ja ci pożyczę z prawdziwą przyjemnością... w takim wypadku niema żartów — ofiarowuje swoją pomoc i wybiega z pokoju. Po chwili wraca. — Jeśli potrzeba będzie więcej, to przyjdź natychmiast. A tu masz adres tej pani — i na karteczce z notesika pisze nazwisko i ulicę. — Powiedz jej wszystko w zaufaniu i że poleca cię panna Alina Z... Oczywiście dyskrecja, jak kamień w morzel!

Rozplómięna Terenia chowa pieniądze wraz z adresem.

— Dziękuję ci stokrotnie — lecz kiedy ja ci oddam?

— To drobiazg! Jak zamaż wyjdiesz za tego idjotę!

— Lusiul!

— Naprawdę, on nie wart twej miłości! Nawet nie pytam jak się nazywa i czy go znam.

— Przystojny chociaż? — myślę..

— Śliczny! — odpowiada Terenia.

— No, to przynajmniej mniej żal zachodu...

Ale!.. jabym mu tego nie wybaczyła nigdy!

Terenia zabiera się do wyjścia, lecz jakaś myśl ją powstrzymuje.

— Lusiul, nim wyjdę, to jeszcze na pianinie... Pozwolisz?

Właśnie chciałam cię nawet prosić o to.

Siadła grać, Dusza jej tak łaknęła muzyki, jak kwiaty rosy.

Nie grała długo, coś ją niecierpliwiło.

Luśka na schody odprowadza Terenię.

— Pamiętaj przyjdź zaraz z wiadomością, kiedy już będzie dobrze... A cóż ze szkołą?

— Nie wiem... czuję się jeszcze słabą.

— Zdaje się, że i ja rzucę książki do licha! Tak mię to męczy... Zresztą, poco mi to jakieś głupie wykuwanie na pamięć? To dobre dla sztubaków, lecz nie dla dorosłych panien... Więc — pa! Tylko Tereniu śmiało, bo to codzienna prawie rzecz..

Całują się serdecznie i rozchodzą.

Terenię pali ogień, że musiała okłamać koleżankę. Odczuwa do niej wdzięczność za udzieloną pomoc i równocześnie jakiś żal, że ich zapatrywania są tak bardzo rozbieżne.

Nie może strawić w sobie kłamstwa, więc postanawia, że po przyjeździe do stolicy odeśle jej pieniądze wraz z przeproszeniem za swą fałszywą rolę. Dzisiaj trudno jej było plan wyjawic, jakaś nieokreślona obawa zamykała jej usta. Zwierzyła się coprawda z rzeczy bez porównania większej, lecz w tej nadziei, że spotka się nie z taką radą, tylko z uświadomieniem, o ejmującym idącą przyszłość w najbliższych jej dziedzinach. Niestety, dusza Luśki patrzyła przez całkiem inny pryzmat.

Terenia drze ze wstrętem adres tej jakiejś pani. Wierzy niezłomnie, że właśnie przez te zabiegi pohańbiłaby nie tylko siebie, lecz by splamiła wspólną miłość. Mniejsza, co powie społeczeństwo jej to do zupełnego szczęścia starczy, że kocha i jest kochaną, i ta miłość przeogromna daje jej dziecię. Nic jej świąt cały nie obchodzi i chociaż smuci ją, że ołtarz nie błogosławił ich związku, przecież duchowo i moralnie czuje się żoną Ludka. Przyjdzie czas, że ich kościół połączy i zmaże wczesne winy..

Wśród takich myśli idzie Terenia na przedmieście. W pewnym sklepiku kupuje bułki z szyn-

ką, bo przed nią droga... Tam napewno na dworcu szuka jej ojciec, aby ją oddać do badania... Tam wsiąść się lęka do pociągu. Odjedzie z pozamiejskiej stacyjki nie wysledzona przez nikogo. I do niej właśnie dąży. Pięć kilometrów... — ktoś ją objaśnił, — więc z jakąż chęcią przebiegnie je wśród pól

Oto już jest poza miastem...

Jakimś olbrzymim słodkim szeptem wita ją wiosna. Mówią coś do niej zielone łąny zbóż, mówią rozliczne kwiaty wśród przydrożnych trawników, coś mówi błękit nieba, świeżość powietrza i nieokreślona wszędzie radość.

Fale nowych sił napęlniają Terenię, czuje cudowne odrodzenie, gdzieś się podziała dotychczasowa słabość. Wchłania w siebie czarowną prężność rozstłonecznionej wiosny, jej śpiew ptaszęcy i nieprzebraną zieleń. Jakież tu naokoło upojne wesele, jak pachnie, jak porywa ta pełna szczęścia powódź!

Terenia zapomina o troskach, skrzydła czuje u ramion i lekkość zefiru. Oto widzi teraz przyrodę, którą kocha i do niej tak zawsze tęskni, w jej królewskiej szacie, w pełni urody, bijącą śpiewem w niebo, idącą w bezkres gamami wśród barw i tak pieśczącą duszę. Widzi ją, boską, twórczą, nieograniczoną, a tak wnikliwą w wszystkie komórki serca i proszącą ku sobie.

Terenia jest w zachwycie.

Zrywa przydrożne kwiaty, całuje je gorąco, tuli do piersi. Motyle przebiegają jej drogę i koła ponad nią zataczają, a często musną twarz.

— Przyrodo moja droga — odzywa się Terenia do tych żywych miraży — już nie jestem sierotą... już niema we mnie smutku... jużem szczęśliwa... Daj-że, o Wiosno, abym, gdy znowu wrócisz,

wyszła na moją łąkę z mą dzieciną maleńką...
Abym jej rwała Twoje kwiaty i Twoich hymnów ją
uczyła... Nie wiem dokąd mnie wieszysz teraz, co
w dali na mnie czeka, lecz cokolwiek się stanie,
uchroń mi tylko szczęście mojego łona, bo ono
z — ciebie... tyś je sprawiła, objawiając mi miłość...
O, wiosno, bądź-że mi teraz przyjaciółką... wszak
jedną pieśń nakazano nam śpiewać — wiosno!

Z zachwyconemi oczyma idzie Terenia białą
wstęgą gościńca, w zerwane kwiaty wkłada zwiędłą
upominkową różę, aby wśród nich ożyła, i aby
świeżą ktoś zobaczył...

I jak żaglowa barka, płynie z podmuchem
przeznaczenia ku niej — Fata Morgana.

VI.

Zapada wieczór.

Terenia wchodzi do pociągu zdążającego do
stolicy. Zaledwie zatrzasnęła drzwi za sobą, po-
ciąg rusza. Pierwsze coupe, do którego zagląda
w poszukiwaniu miejsca, zajmują tylko dwie osoby:
młoda przystojna panna, jasna blondynka i pan
średniego wieku o wyglądzie amerykanina.

Gentleman ów, spotrzegłszy w oknie śliczną
twarzyczkę pasażerki, powstaje nagle i drzwi od-
suwa.

— Proszę pani, jest wolne miejsce...

Terenia dziękuje i wchodzi od przedziału.

Usłużny pan okazuje się naprawdę gentleman.

— Może pani woli przy oknie? — prosi!

Ustępuje jej miejsca. Terenia korzysta z tej
grzeczności i siada naprzeciwko blondynki, kładąc
wiązanekę polnych kwiatów na kolanach.

Nieznajomy zajął miejsce w pobliżu.

— Pani zdaje się niedaleko podróżuje, bo ma bagaży, ma tylko kwiaty, zauważa, pełen dystynkcji w głosie i ruchach.

— Dość daleko, bo do stolicy...

— Cudownie! — odzywa się blondynka — jedziemy razem.

— Więc pani również do stolicy?

— Tak.

— Właśnie jedziemy razem — wtrąca gentleman.

Oczy Tereni, z pewnem zadowoleniem, że znalazły towarzystwo, spojrzały na tych dwoje. Pomyślała, że to ojciec i córka.

— Pani zna już stolicę? — pyta blondynka z modnie przyciętymi włosami.

— Nie znam zupełnie. Pierwszy raz jadę.

— Wspaniałe miasto — znów pan objaśnia chętnie. — Ulice, jak w Paryżu, okazałe gmachy, teatry, co kilka kroków teatryki, kina i życie naturalnie stołeczne... Ruch, zgiełk, w Alejach imponujące promenady... Pani zapewne, jeśli można zapytać, jedzie do krewnych?

Terenia zmieszana się cokolwiek. Nie chcąc się jednak zwierzać, potaknęła.

— Na długo?

— Nie wiem, może na tydzień — odpowiada Terenia z lekka zaróżowiona.

— O, krewni pani nie puszczą i stolica nie puścił — woła wesoło pan. — Kto z prowincji wejdzie w objęcia tego miasta, ten nie tak prędko je opuszcza. Wszak trzeba poznać jego życie, wykwint, powaby...

— Teatry, dancingi, kabarety — dorzuca blondyna z jakimś rozkosznym blaskiem ust uśmiechniętych i co chwilę zwilżanych.

Terenia przygląda się im cora ciekawiej.

— Mówiąc prawdę, jakoś nie lubię miasta. Woleę po tysiąc razy wieś, naturę...

— Ach, co też pani mówił! Wieś, to — nudy, monotonność i znowu nudy... Wieś dobra jest na miesiąc dla wypoczynku i powietrza. Miasto natomiast zawsze wre, zawsze ma coś nowego: dziś teatr, jutro kabaret, dancing, muzyka, wesołe towarzystwo, stale uciecha. Człowiek nie po to żyje, aby się nudził, lecz by się bawił. By użył życia ile się tylko da, by się wykapał w niem, jak w morzu, a tego nigdy nie da wieś.

— Być może, lecz to zależy od natury człowieka — odpowiada Terenia.

— No dobrze! Cóż jednak jest natura? — to, co od dziecka w nas wpajano. Jeśli komuś, naprzykład wzbudziło od początku wszelkich radości życia, to czem się staje taki człowiek? — mizantropem. Tego życie nie ciągnie i niema dlań uroku. Zabito w nim ten pęd ku życiowej radości! A przecież w naturze ludzkiej leży głód szczęśliwego życia. Tak proszę pani! Dziwię się, że pani taka młoda, a tak myśli, jak mniszka...

— Przepraszam, nie lubię miasta, nie znaczy jeszcze myśleć jak mniszka — przeczy Terenia. — Zresztą ja na tem nie rozumiem się wcale — i równocześnie myśli, czy w niej domowe wychowanie nie zabiło tego „pędu“ do życiowej radości.

— A czy pani lubi tańczyć? — zapytuje blondynka — wogóle, czy pani tańczy?

— Owszem.

— Któżby nie lubił tańca! — emfaticznie podchwytuje gentleman. Taniec to rozkosz, narkotyk, i najmiłsza rozrywka! Dziś tańczy cały świat, i ma rację... Życie jest ciężkie, zatem tembardziej trzeba urozmaicać je zabawą...

Zaczęty temat przedzie się dalej. Gentleman

przedstawia się Tereni, po nim blondynka. Terenia odpowiada przeważnie wymijająco, ale słucha uważnie. Sąsiadka staje się coraz bardziej wesołą. Jest miła w głosie, i naprawdę przystojna. Ujmuje nawet. Terenia zauważa, że gadatliwy pan mówi jej „pani“, więc nie jest jej ojcem. Pan również wydaje jej się sympatyczny, może przez to, że jest uprzejmy i wiele mówi. Zauważa również, że ma semickie rysy i nos, oczy i wargi są typowo żydowskie, lecz jakoś ogładzone, zanglizowane. Poznać, że jest bogaty.

Pociąg tymczasem mknie, z rzadka przystaje na stacjach i znów je mija. Słońce już dawno zaszło, zmierzch gęsty świat otulił. Na niebie gwiazd nie wiele, lecz i te wolno gasną. Widać się chmury bo i mrok pada większy. Mimo otwartych okien powietrze tak z wieczora ożywcze, staje się jakies suche i duszne.

Terenia pyta o stację, gdzieby się można napić wody, lecz nie ma takiej na dość dużej przestrzeni.

Usłużny pan częstuje ją koniakiem, mówiąc, że gasi pragnienie. Trudno było odmówić. Piją we troje po dwa kieliszki i zagryzają szwajcarskim serem. To zaostrzyło apetyty. Gentleman zabawia się w wesołego i gościnnego towarzysza. Jego walizka jest obfita, mieści w sobie apetyczne bułeczki, zimne kotlety, wędliny (nie kosherne) masło, sardynki, termos z herbatą. Teraz dopiero przypomina sobie, że ma i wino. To jeszcze lepsze przeciw pragnieniu...

Wśród żartów i uśmiechów rozpoczyna się w przedziale swego rodzaju uczta. Cóż robić, kiedy właśnie jest pora kolacji, za oknem noc, a do stolicy tak daleko? Wreszcie podróż ma to do siebie, że chętnie zmienia formy, przybliża ludzi i napawa nieokreśloną wolnością.

Wesoły nastrój udziela się i Tereni. Była dotąd poważna i wpadająca w zamyślenie. Ucieczka z domu zakłóciła jej myśli. Zdobyła się przecież na tak niezwykle moment w życiu, więc coś dziwnego, że mimo wszystko co chwilę przygniatał ją swą zmorą. Dopiero koniak zrzucił z niej ciężar, a wino różowiło oczekiwane perspektywy.

Nareszcie pozostawiła poza sobą nieludzką atmosferę domu, wyzwoliła się z kajdan i lodowni, teraz jedzie do Ludka... Za nikim żal jej nie porywa, kogoż w rodzinnem mieście pozostawia? Prawda... profesora muzyki! On taki dobry, tak ją kochał i cenił... Jeszcze Luśkę i Wandę dwie koleżanki, z którymi nieco bliżej żyła. Do Wandy czuje wdzięczność za to, że u niej zapoznała się z Ludkiem... Obie są dobre, ale... coś jej się w nich nie podoba. Wciąż tylko schadzki dziś z tym, jutro znów z innym... Nie miały nawet czasu odwiedzić jej w chorobie. Co do Wandy, to ta zazdrosna jest o Ludka, chociaż ma innych. Ciekawe, jak one miłość rozumieją, albo właściwie nie wiedzą, czem ona być powinna.

Postać Ludka z oczu jej nie schodzi. Jakąż mu zrobi niespodziankę! A raczej dwie... Nie zna wprawdzie dokładnego adresu jego mieszkania, lecz dowie się w teatrze, gdzie jej narazie kazał pisać.

Ciekawa, jak ją przyjmie... Oczywiście najpierw ze zdumieniem, a potem, gdy mu rzeknie „uciekłam z domu“, — wpadnie w tę swoją cudną, niepowstrzymaną radość..

Tak sobie wśród rozmowy uzmysławia przełotnie różne obrazy. Są ono coraz to słoneczniejsze i pełniejsze w wyrazie. Wino wciąż działa na organizm nie przywykły do trunków.

— Proszę pana, czy pan często bywa w teatrze? dość skwapliwie zapytuje Terenia, kiedy roz-

mowa na ten zboczyła temat. Teatr dla niej był teraz czemś tak bliskim, jakgdyby z Ludkiem tworzyła jedno.

— Niemal codziennie. Szalenie lubię teatr.

— A w Rozmaitościach pan bywa?

— Właśnie przeważnie ze względu na lekki repertuar.

— To pan zapewne zna artystów? — indaguje Terenia półtajemniczo uśmiechnięta.

— Tych wybitniejszych, to prawie wszystkich. Bajeczni ludzie!

Terenia coś waży w myśli i promienieje.

— A Ludwika (tu wymieniła nazwisko) pan zna?

— Ze sceny tylko. Średni artysta! Już oczarował wszystkich, a najbardziej kobiety, chociaż dopiero co przybył do stolicy.

— Przed dwoma tygodniami, rzuca Terenia dla dokładności. Jakiż triumf bije jej z oczu.

— Może on właśnie pani krewny?

Terenia robi śliczną i zagadkową minkę.

Więcej jak krewny... — i urywa.

— Więc może brat? — zapytuje blondynka.

— Ani brat, lecz... narzeczony!

Przebłysnęło zdumienie.

— Ach, tak! Winszuję pani. A więc do niego pani jedzie... oczywiście! Nagli pani tęsknota, pewnie... Ale tak sama? Pewnie ukradkiem.

Terenia oszołomiona winem, nie widzi potrzeby aż takiej tajemnicy.

— Coś w tym rodzaju...

Semita coraz uważniej wpatruje się w Terenię i poklaskiem zachęca ją do zwierzeń.

— Brawo! Lubię takie romantyczne wycieczki. Naprawdę, że to mi imponuje! Jak miłość, to miłość i precz przeszkody z drogi. Zresztą eman-

cypacja, wolność i wolna wola! Ale... faktycznie uciekła pani z domu?

— Pani pewnie żartuje? wtrąca podniecona blondyna, zapalając wytworną cygaretkę.

— Zupełnie nie żartuję,—uciekłam, a właściwie to wyjechałam pokryjomu...

— To na jedno wychodzi! — woła towarzysz roześmiany.—A to ci pyszna eskapada! Brawo!

Ale pani powróci? Wątpię, by narzeczony puścił panią... może w domu jeszcze nie radzi, może to, może owo... a serduszko nie sługa... Prawda?

— Być może...

Blondynka ujmuje dłoń Tereni,

— Zatem podajmy sobie ręce... bo ja również uciekłam!..

Miłe zdziwienie maluje twarz Tereni.

— Naprawdę!

— Słowo daję!

— Czy również do narzeczonego?

— Dopiero może go wyszukam... Uciekłam, bo już nie mogę ścierpieć domu. Mam ojczyma, gorszego niż satrapę. Nic mi nie wolno... Przytem skąpiec... Więc mam się męczyć? Nigdy! Dam sobie w życiu radę. Szczęściem, że poznałam się właśnie z panem, mam już posadę..

— Posada, że ją całować! — rzuca pasażer.— Muzyka, tańce, czego dusza zapagnie... Życ i nie umierać nigdy.

Ciekawość bije z oczu Tereni. Czuje się dziwnie ucieszona, że nie ona jedna odwazyła się na krok ucieczki z domu.

Więc jakaż ta posada?

Blondynka chce coś wypowiedzieć, jednak przyszły jej szef mruga na nią nieznacznie i szybko zwraca się do Tereni:

— Czy pani muzykalna?

— Owszem, gram na fortepianie.

— Czy dobrze pani gra?

— Wszyscy mówią, że koncertowo, lecz to przesada. Profesor muzyki, Donarelli, na którego kursa uczęszczałam, również tak mówił... Co mi tam zresztą czyjeś pochwały.. Gram, bo przepadam za muzyką! A dla czego zapytuje pan o to?

— Bo sam kocham muzykę i żyję w tym żywiole. Słowo honoru daję, że to wypada uczcić winem: pierwsze, że obie panie jedziecie do stolicy i to tak ekscentrycznie... drugie, że jakby umówione spotkałyście się w tem coupe... a trzecie, niech żyje muzyka! Słowem — niech żyje piękny wolny świat!

Wśród nowej kaskady śmiechu wypito po lampeczce.

— Ślicznie, że pani muzykalna, nawet to z oczu pani patrzy, jednakowoż żal mi pani...

— Dlaczego?

— Hm, dlaczego... Otóż dlatego, że się w aktorze pani kocha...

Coś badał.

— A cóż to ma do rzeczy? Czy aktor nie jest człowiekiem?

— Owszem, nawet czemś więcej... powiem nawet, że nadczłowiekiem.

— A więc?

— Tylko, że to niewierni ludzie... rozumie się w miłości. Każdy ma sto kochanek... Każda mu wierzy, każdej przysięga i... każdą zdradza.

— Jest na to rada—wtrąca blondynka—zdrada za zdradę..

— Nie, to nie prawda!—przeczy Terenia

— Proszę pani, ja ich już dobrze znam! Posiadam właśnie salon tańca i światowego wychowania... Coś jakby szkołę, naturalnie tylko dla sfer najwyższych. U mnie się uczy manier, salonowego

flirtu, a nawet—rzuca pozornie żartem — i miłości, bo to jest także sztuką i nieodzowną w życiu. Otóż do mnie przychodzą i artyści... słyszę więc od nich to i owo..

— Więc się zwierzają?

— Oh, jeszcze jak! Chępią się wprost z swego powodzenia u kobiet. Co dzień nowa miłostka...

Terenia nie chce wierzyć.

— Nie wszyscy są jednacy. Mój Ludek na przykład jest szlachetny i on niebyłby zdolny do czegoś podobnego...

— Tak pani wierzy w niego?

— Bezwarunkowo!

— A gdyby pani przekonała się naocznie, że... zdradził panią? co by pani zrobiła?

— W tej chwili przypomina się Tereni kobieta z dworca i fotografie Ludka. Miał ich u siebie nawet kilka.

— Ja mówię pani, wet za wet, podsuwa jej blondynka.

— Nigdy, to podła zemsta.

— No więc? Zerwałaby pani stosunki?

Terenia otrząsa się ze wstrętem.

— Nie wiem, nie myślę o tem i niechęć myśleć...

Śmiano się i sprzeczano naprzemian.

Żnów się napito wina. Blondynka piła chętnie Terenia się wzbraniała, lecz wreszcie dała się uprosić.

Po pewnej chwili moderne żyd znów wraca do tematu swego salonu.

— Proszę pani, ucieszyło mię bardzo, że pani muzzkalna. Otóż nie wiemy co się może przydarzyć... Przypuszczam, że tak prędko pani zamaż nie wyjdzie. Artyści wogóle żenią się późno,, Wątpię również w powrót pani do domu, bo jak sądzę

z jej ryzykownego kroku, jest pani w domu źle, albo nie tak, jakby pani pragnęła... To całkiem jasne i ma pani zupełną słuszość. Na szczęście, jest pani w wieku, że potrafi zapracować na siebie, tembardziej właśnie, że pani umie grać... Dzisiaj jest to poszukiwane i popłatne. Więc, proszę pani, gdyby, powiedzmy... chciała pani pracować, aby, no, nie być ciężarem dla narzeczonego, ewentualnie dla własnej satysfakcji by nie gnuśnieć bezczynnie, to... z miłą chęcią służę pani posadą... Potrzebuję pianistki. Salon mój dopiero zaczyna się rozwijać. Ciekawa pani, jak się przedstawia? Proszę... tańczy się, gra, jest bufet... Narazie mam dwie fachowe tancerki, lecz kształcę inne na przyszłe siły... Do salonu przychodzi wiele pań z arystokracji i najlepszego towarzystwa... oraz elegancy panowie... A więc nauka flirtu, tańce, muzyka.. Są różne wschodnie niespodzianki... Ta pani — wskazuje na blondynkę—będzie się ćwiczyła na nauczycielkę egzotycznych tańców... Pani by grała, kilka godzin z przerwami, a czasem nawet mniej. Ponieważ posiada pani warunki fizyczne tego rodzaju, że przyniosłyby zaszczyt salonowi, płaciłbym pani świetnie. Starczyłoby na toalety i eleganckie utrzymanie... Przytem mogłaby się pani uczyć tańców... co to szkodzi? Aktorzy chętnie, nawet poważnie żenią się z tancerkami... Zresztą każda umiejętność może się kiedyś w życiu przydać. Życie jest takie tajemnicze, że nawet jutra nie odślania przed nami... Tak, czy owak nie zaszkodzi pani zastanowić się nad tem...

Mówią już teraz obydwójce, on i blondynka. Przedstawiają bajeczne horoskopy, kuszą...

Podnieconą Terenię to olśniewa, zjednywa wolno, jednak wszystko odkłada do decyzji Ludka. Ma jeszcze w sobie trochę trzeźwości.

Niedługo pan, poruczywszy wymownym wzrokiem dalszą rolę blondynce, odsuwa się w kąt przedziału i zasypia.

Słowo kobiecie do kobiety działa podwójnie

Znów piją wino.

Na polu pada deszcz.

Wkrótce poczyna świtać. Zmęczenie po nieprzespanej nocy i przeżyte wrażenia jakimś dziwnym bezwładem ogarniają Terenię, Myśli się plączą, kołują, ciążą.

Jest jej tak jakoś wszystko bliskie, ziszczalne i przyjazne.

Powieki ciążą jej, jakgdyby z ołowiu. Takby rada zasnęła... leniwe rozmarzenie o Ludku ciągnie ją w jakąś błogą, ogromną ciszę...

Ale oto stolica.

Pan się budzi.

Ruch, zgiełk, ogromna hala dworca.

Wysiadają. Terenia trochę przytomnieje, lecz jej wszystko dookoła tańczy w oczach.

Pan jej podaje ramię. Korzysta, by nie upaść.

Na dworze pada gęsty deszcz.

— Co pani teraz zrobi? Godzina czwarta rano. Kancelarja teatru zamknięta do dziesiątej... nic się pani teraz nie dowie o adresie... Na dworcu czekać nie wolno, kawiarnie również pozamykane. Nie mogę na to pozwolić, aby pani taka zmęczona błakała się na deszczu! Zresztą to niebezpiecznie... Proszę więc jechać z nami odpocznie pani, a o właściwej porze pomogę pani w odnalezieniu adresu...

Terenia waha się i opiera, nie wie co począć. Myśli ją odlatują... tak strasznie czuje się zmęczona...

— Kiedy... naprawdę...

Nie pozwala jej przyjść do słowa.

— Proszę pani, tu niema wyjścia... Leje jak z cebra... Byłbym potworem, gdybym panią w ta-

kiej chwili samą zostawili! Obydwie panie spędzicie z sobą te kilka godzin. Jedziemy!

Zajeżdża kryta dorożka.

Terenia przynaglona wsiada jak automat, cisnąc do piersi polne kwiaty.

— Bo naturalnie, proszę pani, mówi blondynka, — coby pani teraz zrobiła? Najgorsza pora, wszystko pozamykane, a tu taka ulewa!

Terenia, milcząc, osuwa się na poduszki powozu. Już nic nie myśli — spać jej się chce ogromnie.

Zatrzasnęły się drzwiczki za właścicielem domu rozpusty...

Powóz mknie po asfalcie. Mijają w szybie siekanej deszczem jakieś ulice, place, zaułki...

Rytmiczne chybotanie pudła karetki kołysze Terenię. Zamykają się jej ciężkie powieki, lecz jeszcze nie śpi. Ukryła w bukiecie utrudzoną twarzyczkę, tak piękną i niewinną jak i te polne kwiaty.

Czartowsko uśmiechnięte ślepie rozpustnika usiadły na niej jak dwie głodne gadziny. Taksują chytrze jej kształty, wiosenny wdzięk, niewinność...

Cmoka w duchu ohydna kanalia, planuje coś, węszy, ślizga się w swych zamysłach niby gad, i jak gad raduje się bezbronnym łupem.

Nareszcie powóz staje przed jakąś wielką kamienicą. Ciężka brama zamknięta. Dzwonią. Po chwilce otwiera ją rude, zaspane indywiduum, o sępiim nosie i żółtych plamach piegów. Znowu klucz zgrzyta w zamku.

Jakiś z głębokiej kryjówki ocknięty dreszcz wstrząsa Terenią, lecz brak jej władzy, by zawrócić. Wsparta na ramieniu blondyny idzie przy niej jak lunatyczka...

Tuż obok stąpa z dwoma walizkami w rękę grzeczny, wciąż coś pięknie mówiący, gospodarz...

Wchodzą na niewielki korytarz, pokryty mięk-

kim chodnikiem. Mijają dużą salkę z parkietową podłogą, pluszowymi ławkami wokół ścian i fortepianem... W kącie uderza w oczy ogromny, restauracyjny kredens.

Opar zmieszanych perfum wisi w powietrzu.

Wstępują do jednego z pokoi. To właściwie buduar. Pod stopami ciężki strzyżony dywan. Prawie na środku niska, szeroka otomana okryta miękką wełnistą materją, fałdami spadającą na boki. Ponad nią namiot o rozchylonych firankach. Całość buduaru ma w sobie pociągający, wschodni przepych. Tchnie z niego jakiś oszałamiający i lubieżny narkotyk.

— Pani będzie łaskawa spocząć chwileczkę— odzywa się gospodarz do Tereni i wskazuje kozetkę. Natychmiast wróć... A pani zwraca się do blondynki — zabierze swój neseser z walizki... Zanieśmy go do garderoby... Proszę za mną...

Terenia zostaje sama. Ogromnie senna rozgląda się dookoła. Dziwnie tu jakoś pięknie... Wszędzie dywany, makaty... Kilka obrazów — jakieś akty kobiece... Przy namiocie dziwaczny słoik z całym szeregiem stojących fajek z długimi cybuchami.

Terenia widzi wszystko, jak przez mgłę. I równocześnie nachodzi ją słabe, również zamglone uczucie, że znalazła się gdzieś daleko, bardzo daleko. Zupełnie w innym świecie, w innym powietrzu. Wnetby płakała, jednak świadomość, że Ludek jest tak blisko, tam gdzieś za kilku może ulicami, wstrzymuje ją od płaczu.

Tymczasem za którąś ścianą rozpustnik szepce blondynce, gładząc jej krótkie włosy:

— Może się uda ją zatrzymać.. jest tak naiwna... Słuchaj pieśczołko, to już rzecz twoja... ja wynagrodzę... Teraz się połóż i śpij... na obiad obudzę cię pieśczołką...

Blondyna całuje go namiętnie.

— Mam nadzieje, że ją przekonam... Potrafię!

— Warto. Więc — pa! Ja jeszcze tamtą uspokoję...

Wychodzi.

Po chwili wstępuje do kuduaru z kieliszkiem czerwonego napoju na tacy.

Terenia na jego widok podnosi się z kozetki.

— Proszę nie wstawać... Panna Ada wróci za kilka minut. bo się przebiera... Proszę wypić ten kieliszek na orzeźwienie.

— Nie, dziękuję—cichutko odzywa się Terenia.

— Ależ, koniecznie proszę wypić. pani jest tak znużona.

Nie śmiała mu odmówić.

— Teraz proszę iść do namiotu i czekać panny Ady. Możecie nawet panie spać... jest czas... na polu straszna plucha... O dziesiątej pójdziemy do teatru po adresik... Do widzenia!

Kłania się z galanterją i odchodzi.

Poczyna bładzić po korytarzu i pali papierosa.

Terenia stoi chwilę i zbiera myśli. Niestety, trud daremny, nie może ich uchwycić.

Wchodzi wolno pod namiot, odrzuca płaszcz i boa i wpada w miękkość otomany.

Zanurza usta w kwiaty.

— Ludku, Ludku kochany... — drży jej na wargach szept.

Nawiedza ją przelotny promień marzenia i złudy. Zdaje jej się, że za chwileczkę wejdzie tu Luddek, że są po ślubie i oto namiot ich miłości...

Kojarzy się obrazek szczęścia — już pół na jawie i pół we śnie. Zatruty napój ją usypia...

Głowa Tereni chyli się na otomanę... ręka wypuszcza kwiaty... Oto ślubny bukiet nieszczęsnej

Już śpi kamiennym snem.

Potwór męczyzny, „gentleman” — żyd, handlarz żywym towarem zakrada się na palcach do buduaru.

Proszę pani... proszę pani... — rzuca badawczo szeptem.

Cisza.

Więc wchodzi do namiotu z zwierzęcym ogniem w oczach. Trawi go chuć od pierwszej chwili, gdy ją poznał. Jest pewny, że niewinna. — Sadyzm elektryzuje go czarem ofiary...

Ohyda w ludzkim ciele schyla się nad leżącym dziewczęciem, błyska głodnymi kłami, dyszy nad nieprzytomną i bezbroną istotą...

Stopa gadziny miażdży kwiaty, a upodłone łapy wyciągają się chytrze — by zabić godność szlowieczeństwa...

VII

Dopiero po południu Terenia się budzi. W pierwszej chwili nie wie gdzie się znajduje. Zbiera powoli myśli i uświadamia sobie ucieczkę z domu, podróż, przybycie do stolicy, a wreszcie skorzystanie z gościnności u poznanego pana.

Im bardziej przytomnieje, czuje coraz dotkliwszy ból głowy i jakieś rozprężenie w całym ciele.

W buduarze panuje lekki półmrok z powodu zasłoniętych okien, umacnia go jeszcze namiot. Nie może zorjentować się, jaka jest pora. Zrywa się i wypatruje, czy niema gdzie zegara. Niestety. Nie wie zupełnie, czy spała z panną Adą, czy sama i jak długo. W domu panuje cisza, tylko mury drżą nieco od ruchu na ulicy.

Zanim ktoś wejdzie, bo przecież musi wejść,

Terenia staje przed lustrem, poprawia całkiem wzburzone i rozsypane włosy. Suknia na niej również w straszny sposób pamięta. Jak się pokazać na ulicy? Żałuje, że usunęła. Powraca do namiotu po pogubione szpilki. Zauważa przytem na dywanie zdeptany bukiet. Podnosi go, ogląda i prawie lży ma w oczach. Jakże zgniecony, szczególnie różał... Załamane źrenice patrzą boleśnie na wiązanekę, a myśl stara sobie przypomnieć, kiedy i w jaki sposób to się stało. Nic nie pamięta. Więc panna Ada.. Z żalem wielkim prostuje, potem całuje kwiaty i kładzie je troskliwie na otomanie. Przecież te kwiaty z jej stron rodzinnych, pomimo wszystko tak teraz bliskich sercu, a przedewszystkiem ta pamiętkowa róża...

Wraca znowu przed lustro. Bardzo jej spieszno, kto wie jak późna pora... Trzeba co prędziej bieć do Ludka! Upina szybko włosy, jedną już tylko myślą pochłonięta, o Ludku. Nie dba, że skronie pękają jej od bicia, to przejdzie..

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi panna Ada. Jest ubrana w różowy szlafrok z ócz jej bije wesołość!

— A, dzień dobry...

W Terenię uderza radość, że się spotyka z towarzyszką podróży.

— Dzień dobry pani — odpowiada i podaje jej obie ręce. — Ach, Boże, czy nie zasnęłam? Tu ciemno, stopy spuszczone, nie wiem, która godzina..

— Czwarta...

— Czwarta? już po południu?

— Tak się pani przestraszyła... nic się przecież nie stało!

— O dziesiątej miałam iść do teatru...

— A przecież teatr nie ucieknął! Jest czas na wszystko,

— No, tak, ale... A proszę pani, czy pani spała ze mną? Nic nie pamiętam...

— Owszem, spałyśmy razem...

— I dlaczego mnie pani nie obudziła wcześniej?

— Ja również wstałam przed chwileczką. Tak pani smacznie spała, że mi żal było budzić!...

Mówiąc to, miast podnieść stopy, zapaliła elektryczne światło. Tureckie abażury magicznym blaskiem rozświeciły buduar.

— Jakież tu pięknie — unosi się panna Ada. — Naprawdę, jak w seraju!... Cudny buduar...

Terenia potakuje bezmyślnie. Spogląda wprawdzie po pokoju, jednak gdzieindziej jest jej dusza.

— A z tym panem już się pani widziała?

— Właśnie od niego wracam. Ma pani coś bardzo ważnego do oświadczenia...

— Ach, bo my mamy razem pójść do teatru i pewnie czeka...

— Możliwe. W takim razie w tej chwili przyniosą pani wody do umycia.

— Ależ dziękuję, ja sama — sprzeciwia się Terenia, jednak usłużna panna Ada posłała jej całusa i zniknęła za drzwiami.

Myśl, że pan już czeka na nią, rozwesela Terenię. Swoją drogą, nic się znowu nie stało, chociaż zasnęła. Lecz żeby tylko Ludka zastała w domu... W najgorszym razie przed przedstawieniem spotkają się w teatrze...

Po chwili Terenia odświeżyła się wodą, zaprawioną jakimś pachidłem. Wogóle wszystko wokół trąciło zapachami. Z kolei uprzejma panna Ada pojawiła się z wielką tacą, niosąc śniadanie na dwie osoby. Widocznem było, iż już gospodarzy niby we własnym domu.

— Wypijemy jeszcze śniadanie, nim przyjdzie pan Rozenduft tak wonnie przedstawił się gospo-

darz pannie Adzie... Jestem ogromnie głodna, lecz czekałam na pani towarzystwo.

Terenia dziękuje jej za tak ujmującą serdeczność.

Panna Ada jest niezwykle swobodna i ucieszona.

Radość moja nie ma poprostu granic... będzie mi tu jak w rajach! — szczebioce, zając sianko. — Pan Rozenduft to złoty człowiek...

Terenia również to potwierdza.

Piją herbatę i konsumują bułki z szynką. Herbata, którą pije Terenia ma jakiś dziwny ale przyjemny posmak. Pije ją jednak chętnie, bo uczuwa pragnienie.

— Naprawdę, jakżebym się cieszyła, gdyby pani przyjęła tę posiadłość... Ogromnie panią polubiłam... zostałybyśmy przyjaciółkami, byłoby nam tu dobrze, wesoło... Przecież pani zamaż nie wyjdzie tak odrazu. Zresztą, po co się spieszyć i tracić wolność? Na to jest zawsze czas!

Terenia wszystko uzależnia od woli Ludka. Owszem, praca jej się uśmiecha. aby nie być ciężarem. Nie wiadomo jednakże jak Ludek postanowi. Dowie się jeszcze dziś, będzie z nim mówić o tem.

Tymczasem jakby pod wpływem serdeczności panny Ady i bliskiego zobaczenia się z Ludkiem, głowa Terenię przestaje boleć. Czują się dotąd przygnębiona fizycznie, lecz i to jakoś mija. Robi jej się coraz weselej lekko i miło. Żaden czarniejszy obraz nie ma do niej przystępu. Jest pewna, że długi sen i posiłek, a wreszcie bliskość spotkania z Ludkiem tak ją błogo nastarają. Nachodzą ją nawet takie myśli, że serce drzeć poczyna i mimowoli się rumieni. Naprawdę, jak ona go kocha, jak mu jest oddana!

Niedługo daje się słyszeć lekkie stukanie w drzwi i wchodzi pan Rosenduft, jak go nazywa panna Ada: Wita się z Terenią, zaróżowaną nieco, ogromnie mile, pyta o sen i zdrowie.

Po chwili zmienia ton głosu na jeszcze serdeczniejszy.

— Mam pani coś do zakomunikowania i aż się lękam...

— Terenię przebiega nagły dreszcz. Proszę...

Właściwie nic strasznego... maleńki zawód, który dopiero za tydzień zmieni się jeszcze w większą radość...

Proszę się jednak nie przejmować, niema zle-go coby na dobre nie wyszło. Otóż chciałem pani ulżyć w kłopotcie co do adresu narzeczonego i przez telefon rozmawiałem z kancelariją Teatru. Narzeczony pani z zespołem aktorów i aktorek wyjechał przed 3 dniami na tournée po prowincjonalnych miasteczkach...

— Kłamał cynicznie. — Wróci dopiero od dziś za tydzień...

— Przeklęty pechl — Jezul rzekła Terenia przeżona.

No trudno, pechl! W pierwszej chwili myślałem, że ktoś żartuje ze mnie w kancelarii, zatem siadam w dorożkę i jadę do Teatru, aby naocznie się przekonać. Oczywiście dyrektor to potwierdza. Wracam więc jak niepyszny i serdecznie współczuję pani...

— Boże! co ja teraz zrobię?

— Hm, ja sam jestem w kłopotcie...

— Ach, jaka szkoda! — wtrąca blondyna.

Co się tyczy adresu, to adres mam: ulica Jasna 37. Lecz cóż pani z adresu, i z mieszkania kiedy zamknięte?

Chyba że pani pojedzie za tą trupą — podsuwa jej obłudnie.

— Nie mam innego wyjścia, lecz...

— Pieniędzy pani brak?

— Możeby mi starczyło...

— Wymienia sumę.

— O, ani mowyl! Ja mogę pani chętnie służyć, ale... gdzie ich pani odnajdzie? Dokąd pojedzie? Pytałem się dyrektora, gdzie grają dzisiaj, dokąd wyjadą jutro, lecz sam nie wiedział. Dzienniki również nic nie piszą... Ostatecznie, gdyby było nawet wiadomo gdzie się znajdują dzisiaj, to nim pani dojedzie prowincjonalną linją, to oni będą już w innem mieście... Tak źle i tak niedobrze! A w końcu nie radziłbym puszcząć się w obce strony samej jednej o przypadek nie trudno... Jedyne wyjście zostać i czekać!

Zresztą może jutro dowiemy się z dzienników jaki jest program trupy. W takim razie pojechałaby pani, gdyż w kwestji pieniężnej jestem do usług. Moja atoli serdeczna rada czekać i nie narażać się zbyt na niemiłą tulaćkę, bardzo możliwy zawód, lub nieszczęście...

Panna Ada z udaną serdecznością chwytając w objęcia zatroskaną Terenię.

Kochana panno Tereniu nie jedź, zostań.....

On przecież sam powróci..... Zresztą jak-by to wyglądało, że pani aż tak za nim przepada....

Cóż to jest tydzień? — zleci nam razem jak jeden dzień!

— Nie jechać, lecz gdzie jechać? — odpowiada Rosenduft chytrze.

— No własnie! A więc proszę pozostać... proszę... pan również prosi... życzymy pani jak najlepiej — i zasypuje ją gradem gorących pocałunków.

— Tak czy owak zaczekajmy do jutra, bo już gazety co przyniosą.

Dom mój z prawdziwą przyjemnością pozostaje

wiam do dyspozycji łaskawej pani. Nudzić się panie nie będziecie...

— Już już pani się zgadzał — kusi blondyna

— Boże, co ja będę robić?

— Powiedzmy, — grać... Zobaczysz pani jaką by była jej posada...

Terenia, pierwsze: nie widzi wyjścia z sytuacji, drugie: przykre wrażenie w mig się rozplywa, zastąpione jakimś lekkim, pojednawczym uczuciem. Godzi się z losem i dusza jej się wypogadza. Dziękuję Bogu w duchu, że tak przyjaznych poznała ludzi, gdyż inaczej — coby poczęła w obcym mieście?

Dobrze, więc będę grać — decyduje się i uśmiecha.

Dziwnie beztroski stan coraz to bardziej nią owłada.

Nowy wylew czułości porywa znowu pannę Adę.

Rosenduft patrzy z triumfem na usidloną zdobywcę.

— Zatem idziemy teraz na pani koncert... Proszę uprzejmie do salonu.

I puszcza przodem obie kobiety trzymające się dłońmi.

Terenia chwilę próbuje fortepianu, poczem zaczyna chopinowską mazurkę. Wirtuozka gra z niezwykłą techniką. Perłą się tony, biją gradem to znów naprzemian siekają słonecznymi grotami.

Koncertantka oczywiście spotyka się z brawami.

Fortepian trochę rozstrojony, ale możliwy zauważa, dobierając się do stosu nut. Poczyna grać kolejno. Idą same two-stepy, Tanga, foxtrotty shimmy... Terenia odtwarza je wprost z mistrzowską brawurą. Gra dla niej jest rozkosznym żywiołem.

Panna Ada podziwia i zazdrości, pan Rosenduft podziwia również świetną wprawę, lecz prze-

dewszystkiem raduje się tak niezwykłym nabytkiem do „salonu“. Wie, że muzykalność w tych granicach wraz z wiosenną urodą muszą rokować powodzenie... Jest pewny, że się nie wymknie z jego sieci i stanie się powoli złotodajną bachantką.

Zdała egzamin nadspodziewanie. Wstaje od fortepianu zaróżowiona i wzruszona. Panna Ada znów ją całuje, Rosenduft ściska jej ręce. Na widok pomiętej jej sukienki lechta mu ciało zmysłową prąd wspomnień.

Zdaje się zbrodniarzowi, że odniósł niebywale zwycięstwo.

Jakże się cieszę, że będzie pani wieczorem grała...

Będzie to clou wieczoru! Ale... spała pani w sukience... pomięła ją... Trzeba temu jakoś zaradzić wystąpić jak wypada na narzeczoną tak sławnego artysty...

Odprasuję ją sobie — odzywa się Terenia. — Wyjazd mój z domu nastąpił tak niespodzianie, że nie miałam czasu pomyśleć o zabraniu więcej sukienek...

Rosenduft uśmiecha się twarzą i lisiemi oczyma.

To bagatela... poradzimy na wszystko... Za tę muzykę i towarzystwo w podróży warta pani prezentu... U nas w stolicy to przyjęte... Panno Ado, proszę panią zabawiać... przygotować jeszcze herbaty, bo ja wychodzę. Za godzinę jestem z powrotem.

Uklonił się i wyszedł, nie zważając, że Terenia miała na ustach jakieś słowa.

Panna Ada chwyta Terenię w pól.

Dostanie pani prezent, zapewne toaletę...

Ależ ja go nie przyjmę... nie mogę! Skąd, za co?

Powiedział pani przecież.... Zresztą na wie-

czór musi się pani przebrać, przecież tak pani nie wystąpi....

Nie, nie przyjmę! — wzbrania się Terenia zakłopotana. — Nie zasłużyłam sobie niczem...

Proszę nie myśleć o odmowie... toby pana Rosendufta mogło bardzo urazić! Proszę pani, to w wielkim świecie jest na porządku dziennym, jak gdzieindziej prezent z pomadek...

A zagra pani wieczorem to czy gra pani nic nie będzie warta?

Ile to lat musiała pani ćwiczyć i płacić za lekcje! Po to, aby grywać zadarmo?

A czy wie pani ile przez taki wieczór pan Rosenduft zarabia? Ogromne sumy, bo tu wstęp bardzo drogi. Bądź pani pewna, że w tym wypadku on nie tylko nic nie traci, ale jeszcze zyskuje. Tak, tak, trzeba oceniać swoją umiejętność i pracę...

Mówi dalej, przekłada i, biorąc ją pod rękę, przechodzą do buduaru. Terenia topnieje, jak wosk na ogniu.

Przyznaje słusność życzliwej pannie Adzie, tembardziej, że są takie zwyczaje. Jeśli w stolicy się znalazła, musi się do niej zastosować. Wreszcie umysł jej teraz jest na wszystko podatny. Coś go buntuje przez sekundę, lecz natychmiast usposabia, przychylnie.

Teraz panie oglądają stolik z fajkami.

Na co tu tyle fajek? — zapytuje Terenia zdziwiona ich obecnością w buduarze.

Czytała pani kiedy o paleniu opjum?

Gdzieś w jakiejś książce, lecz nie pamiętam dobrze.

Achl to boska, bajeczna rzecz! — unosi się z zachwytu panna Ada.

I to się pali w takiej fajce? Czy panie również palą w fajkach?

Właśnie! Ja nie paliłam jeszcze, lecz słyszałam od naocznego świadka. Nakłada się do fajki jakieś ziele i, leżąc na otomanie, wypala się jak tytoń... Po chwili wpada się w półsen, najrozkoszniejszy i tak czarowny, że najbujniejsza fantazja blednie wobec jego uroku... Zdaje się, że się przeżywa największe szczęście przez całe wieki... Zazwyczaj śni się osoba, którą się kocha i z nią te cuda się przeżywa...

Terenię to zaciekawia.

Dlaczego nic się o tem nie słyszy, czy mało jeszcze palą?

Och, tak... To świeży wynalazek i podobny do haszyszu, ogromnie drogi. Na to mogą sobie pozwolić tylko bogacze. Ciekawam, czy pan Rosenduft nie pozwoliłby zakosztować... choć troszkę! On taki dobry i elegancki... Chciałabym przeżyć taką chwilę, a pani?

Ja też, dla samej ciekawości...

Staje jej w oczach Ludek w całej urodzie swej postaci i w nimbie ukochania. Pragnie choć we śnie przeżyć z nim chwilę szczęścia, póki nie wróci...

Sieć zastawiona zacieśnia się, zamykając odwrót nieświadomej ofierze.

Terenia nie przeczuwa strasznego losu jaki już nad nią się pochylił, nie wie, że on ją już zbezczeszczył swą obydą, nic nie przeczuwa, wierzy w przychyłność i dobroć tych ludzi swą niezepsutą, ufną duszą.

Znowu pije herbatę z narkotykiem nie wiedząc o nim i nie myśląc, że on zaćmiewa jej świadomość i oszałamia rozum zabójczymi złudami...

Po godzinie wraca Rosenduft z przyczepionym prezentem. Wręcza go sam Tereni z ujmującą przedmową i radością.

Terenia żenuje się cośkolwiek, ale nie wzbrania. Uważa to obecnie za coś zupełnie naturalnego.

Teraz proszę przebrać się... Panna Ada pomoże pani... Dowidzenia za pół godziny...

Wychodzi.

Panna Ada rozwiązuje szybko pakunek i zaraz unosi się nad jego zawartością, Podnosi delikatnie śliczną, powiewną suknię bez rękawów w rodzaju tuniki, potem kokieteryjne combinaison, pończochy cielistej barwy, pantofelki, a w jednym z nich znajdują flakonik perfum.

Panna Ada zachwyca się każdą rzeczą z osobna, Terenia zdumiewa się radośnie i płonie.

Szczebioty, Śmiechy i całusy. Bajeczny prezent!

Dla ostrożności panie drzwi zamykają. Rozpoczyna się gruntowna zmiana toalety, najprzód w namiocie, potem przed lustrem.

Terenia ledwie się poznaje. Serduszko bije jej gwałtownie.

Kobieca skłonność do stroju w jednej chwili budzi się w niej wszystkimi siłami. Napawa ją niewysłowiona rozkosz uczucia i poznania własnej urody. Nigdy nie była tak ubrana, nigdy! Może, widząc tak ubrane panienki, tęskniła zatem lecz niestety było to dla niej niedosięgle.

Stoi przed lustrem i patrzy w swą postać jak w śliczny, wymarzony obrazek. Świat mirażami przepływa przez jej duszę. Czuje się lekka, jak sylfida, jak gdyby w obłokach bujająca.

Płoną ją nieco nagie ramiona i piersi dość śmiało wychylające się z wycięcia sukni, płoną... oczy i zarazem sprawiają jej haszyszową podniecie. Widzi, że jest naprawdę piękna...

Panna Ada z zazdrością liże wzrokiem jej młode, jędrne kształty, lecz jest daleka od okazania tego. Owszem, ośmiela ją, pochlebia i czuje

dziką radość w duszy, że i tę świeżą różę życie chwyci w swe niszczycielskie szpony. Siebie w niej widzi z przed lat kilku, również tak świeżą i kwitnącą i tak naiwną...

Kochała... podeptano jej miłość i znowu... znowu wyzyskano uczucie i oddanie, okłamano potwornie, zabito świętość uczuć... przytem ciężkie stosunki w domu... aż wreszcie obrana ze wstydu i nadziei jęła sprzedawać ciało... W początkach tej oto kariery natknęła się przed 2-ma dniami na pana Rosendufta. Zaangażował ją do swojego „Salonu“ jako jedyną „siłę“ stałą do czasu, inne bowiem, z powodu policyjnych zakazów, były tylko przychodnie...

Pan Rosenduft jednakże, recte... alias... vel... — któż wie jakie jego nazwisko? — począł omijać zlekka prawo, udoskonalając swój procedor z iście wschodnią przebiegłością. Terenia w jego planach miała już również swoją rolę... Coprawda, ryzykował, lecz wiedział, że ryzyko — to drożdże w interesie.

Z kolei Ada naciera Terenię perfumami. Już sobie mówią „ty“, już się zaprzyjaźniły.

Po chwili Ada wprowadza Rosendufta. Słepia właściciela domu rozpusty zdumiewają się wielce. Terenia w tem przebraniu zyskała w wdziękach o niebywałą $\%$. Wiedział co ma uczynić. Teraz aż mlaska zmysłowemi wargami.

Terenia mu dziękuje z miną pensjonarki.

— Drobnostka... bagatelka — powtarza, nie mogąc wyjść z podziwu i liczy w duchu zyski ponad normalną takse... — Cieszę się bardzo, żem się nic w mierze nie pomylił... Cudnie pani wygląda, naprawdę cudnie!.. Gratuluję! — zbliża się ku niej, ujmuje ją za rękę i całuje w paluszki.

Zawstydza ją to nieco, jednakże się nie broni.

Wie, że to przyjęte, a choćby nawet... jakże się wzbraniać, gdy jest tak dobry...

— Chociaż dzisiejszy program nie przewiduje tanców, — ciągnie dalej słodkawym głosem — to i tak zagra pani kilka utworów. Na dziś wypada szkoła flirtu... Między 9-tą a 10-tą poczną się schodzić eleganccy panowie . panie... Rozumie się, że pocałunek, w usta albo ramię jest w flircie niedozowny...

Panią jako może nie przyzwyczajoną do takich zabaw, będzie to pewnie dziwić, jednak to tu wszędzie przyjęte.

Postęp... moda... bon ton... A zresztą pocałunek, czy... czy jakaś pieśczoła nie są przecież miłosną zdradą, lecz poporostu miłą rozrywką... No, a zabawy towarzyskie.. ilcz w nich jest uścisków i całusów!... Albo np. taniec cake-walk.. jest tak lu bieżny, że... a przecież tańcę to dzisiaj na wszystkich balach i redutach... Moda! Przedewszystkiem zaś młodość ma swoje prawa pragnienia... ona musi szaleć i płonąć, używać szczęścia i rozkoszy... Czyż nie?—

— Och! jeszcze jak!... — pierwsza Ada potakuje z zapalem.

— Pani, myślę, tego samego najmądrzejszego zdania?

— Pewnie — odpowiada Terenia — Młodość jest taka piękna jak wiosna...

Ada tuli się do Tereni.

Więc trzeba pić, Tereniu, z kruży młodości ile się tylko da... Bo kiedy minie młodość, to niechaj nam przynajmniej pozostaną wspomnienia!.....

Terenia nie zaprzecza. Nie wie właściwie co kryją w sobie słowa Ady, — myśli jej są zatrute i niezdolne do pracy. Jest czemś olśniona, jest w jakimś błogim transie.

— Jaki uroczy tworzą panie obrazek! — pochlebia Rosenduft, — Bez komplimentu, — śliczny! Więc proszę pani — zeskakuje na inny temat — gdyby... jaki pan zechciał was pocałować, to... proszę przyjąć pocałunek... Niechże nie myśli, że panie form nie znają...

— Owszem, niech tylko będzie piękny, to niech całuje bezustannie! podchwytuje wesoło Ada. Prawda, Tereniu?

Rosenduft ją uprzedza.

— Pewnie! Przecież pani nie robi mi przykrości...

Tymczasem pozostawiam panie same... zabawiajcie się, rusałeczki... Po jego wyjściu Ada kusi dalej Terenię.

— Nie trzeba nas zachęcać, nie, nie!...

Jaki naiwny, myśli, że obawiamy się całusów... A czy jest coś miłszego nad zatopienie się w czarnych ustach? — nie! Chyba... coś jeszcze... przyciska tajemniczo i uśmiecha się z namiętnie płonącymi oczyma. — Bo czy po to żyjemy, aby tylko pracować? Nigdy!

Jeśli życie podsuwa nam rozkosze, czy je odtrącać? Niema takich naiwnych! Jeszcze, gdy za to płacą...

Rozpoczyna się wykład, ostrożny, lecz coraz wymowniejszy.

Słuchaczka jest ciekawa, to dla niej, nieznanne, dziwne i wzbudzające dreszcze. Instykt jej teraz śpi, nie działa. Herbata z jakimś środkiem zrobiła swoje na cały szereg godzin. Krew krąży w niej gorąca i budzi zmysły. Słucha co mówi Ada, ale myśli o Ludku... Pragnie go dzisiaj, jak może nigdy w takim stopniu.

I równocześnie tak jej się zdaje, że ten tydzień przeleci, jakby jedna godzina.

A potem Ada znajduje jakiś album. Obrazki i obrazki mniej i więcej lubieżne.

Obie kobiety, niby się wstydzą, przecież są ciekawe. Kryją się w namiot, parszczą tłumionym śmiechem i przewracają karty...

W buduarze pali się elektryczne światło, chociaż na polu jeszcze dzień. Ciężkie stopy odgradzają to występne zacisze od słonecznego blasku i wiosny, obmytej z kurzu majowym deszczem.

Tam za oknami tonie dwór w świeżym wonnem powietrzu... pyszną się drzewa ulic szmaragdem liści... kwitną kasztany... tam ruch... pieni się morze ludzi bogactwem barw i gwaru...

I tam, na werandzie cukierni, młody w jasnym okryciu aktor, od dni niewiele najmodniejszy w stolicy, czaruje głosem przy szklance limonjady młode, o jasnych oczach dziewczę...

I gdzieś w odległym mieście ktoś złorzeczy swej córce...

A wiosna pręży swe ramiona, rozwija liście i pączki kwiatów, rozsiewa czar i śpiewa.

VIII.

Terenia podniecona i pełna ciekawości siedzi przy klawikordzie na kozetce. Wyobrażała sobie, że „salon“ będzie pełen panów i panienek, a tu przyszło coś 8 pań, 3 panów, o dziwo! w starszym wieku, łysawych i nie tak znowu eleganckich jak jej opowiadano.

Panie natomiast są młode, szykowne, przeważnie piękne; ubrane modnie, głęboko dekolowane, giętkie i szminkowane.

Terenię aż uderza ich niezwykła swoboda, ko-

kieterja w każdym ruchu i pozie, poprostu wzywają zaczepnemi oczyma, balansem nóg i słowami Kilka z nich wydają się poważniejsze. Wszystkie palą namiętnie papierosy, puszczając w górę głęboki dym. Jedna czyta gazetę w dziale ogłoszeń.

Zaraz na wstępie pan Rosenduft rozmawiał z każdą krótką chwilę, przedstawiał je Tereni, oraz Adzie. To samo uczynił i z panami.

Jeden z nich dotknął piersi Tereni, że aż ta wzdrygnęła.

Jednakowoż pan Rosenduft wziął go zaraz pod rękę, poczem wyszli z salonu. Gdy powrócili, zaczepny pan ani nie spojrział na Terenię, tylko przyczepił się do Ady. Chodzą właśnie we dwoje wzdłuż salonu. Znow przyszedł jakiś pan, po chwili 2-gi, 3-ci.

Ten ostatni szczupły, wysoki, bardzo przystojny, z monoklem w lewym oku. Miał wygląd prawdziwego światowca.

Na tego jakgdyby czekał pan Rosenduft, bo skłonił mu się nisko, wziął go z sobą za bufet i po dłuższej rozmowie przedstawił go Tereni, jako barona.

W tej chwili rozmawiają. Baron wsparty o róg fortepiana opowiada o wiośnie, porównuje z nią Terenię, bawi ją mile. Jest greczny, wytworny i zajmujący.

Znowu co kilka minut wchodzi nowi panowie. Pań więcej się nie zjawia. Tworzą się pary. Jedne siedzą na pluszowych ławeczkach, drugie przechadzają się po parkietach.

Pan Rosenduft oraz 2 panny bardzo krótko ubrane trzymają straż przy bufecie. Niektóre pary piją. Wśród nich jest Ada z towarzyszem.

Robi się pewien gwar. Zdarzają się i pocałunki! Okazuje się, że panie bardziej są zaczepne.

aniżeli panowie. Niektórzy, pijąc likier, drożą się wzajemnie i podają sobie do ust kieliszki

Śmieją się przytem, obejmują za szyję i całują.

Co chwila znika któraś para za drzwiami korytarza. Ada też wyszła z towarzyszem.

Robi się prawo pusto.

Terenię dziwi to jednak wszystko, ta dziwna poufałość, zaczepki, i swobodne umizgi. Więc tak wygląda „szkoła flirtu“... ciekawel

Szczególna rzecz, że i starsi panowie tego uczą się jeszcze...

Nie myśli jednak nad tem głębiej, wszystko tu dla niej nowe, w niezwykłych barwach, napawające ciekawością...

Gdzie oni wyszli? Chyba powrócą, zapewne to dopiero początek...

Bufetowe panny wynoszą gdzież na tackach flaszki likieru i zakąski.

Baron, po wielu pięknych słowach, prosi Terenię, by zagrała.

Gra więc z pamięci kilka utworów, a po każdym pan baron dziękuje zachwycony i całuje ją w rękę. Gra mu coraz bardziej na nerwach świetną muzyką i świeżem pięknem ciała.

Znowu wchodzi mężczyzna ze szklanemi oczyma, blady. Zdaje się, że jego twarz jest z wosku.

Rosenduft przynosi fajkę z buduaru i gdzieś go odprowadza. Pani czytająca gazetę poszła również za nimi.

Naraz znów się zaludnia: weszła nowa para i młodzi panowie z panienkami. Ci zaraz obstąpili bufet, zamawiając zakąski i napoje.

I tych gospodarz gdzieś odprowadził. Okazuje się, że przy swoim zakładzie posiada również hotel garni... Bufetowe przyrządzają zamówienia i znowu je roznoszą.

Rosenduft zbliża się do barona i Tereni.

— Teraz się goście posilają... Może i państwo przejdą tymczasem do buduaru... Służę herbatą i ciastkami.

Staje się wedle ukrytej myśli barona i gospodarza.

Terenia wchodząc spostrzega, że buduar jest pusty.

— A gdzie ci goście? — zapytuje zdziwiona.

— Zapewne w innych pokojach — śpieszy jej baron z odpowiedzią.

W lot inny chwyta temat, żartuje, podsuwa, jej kozetkę.

Za chwilę przynoszą herbatę i stos ciastek.

Obsługuje ich sam gospodarz.

— Panie baronie — odzywa się z uśmiechem — myślę, że romantyczniej będzie państwu w namiocie... Proszę pozwolić, tam wniosę stolik.

Oczywiście, baron z zapalem zgadza się na propozycję.

Terenia również nie oponuje. Jest zgodna choć nieśmiała.

Baron idzie do drzwi za gospodarzem i dyskretnie zamyka je zasuwką.

Teraz wprowadza Terenię do namiotu. Sadza ją na otomanie. Piją herbatę i żartują. Wytwarza się niedługo naprawdę romantyczny nastrój. Herbata gwałtownie działa na Terenię. Płonie. Nerwy od kilku godzin podniecone, teraz drżą o jakimś głośniku. Nie wie co wolno a niewolno, czuje tylko że ciało jej się pali i chodzi po niemi słodkie mrowie. Posiada wprawdzie jeszcze jakieś włókienko świadomości lecz nie ma siły zeń korzystać.

Jaka pani uroczą w tem świetle abażuru... wprost z bajki tysiąca i jednej nocy!... poczyną

baron szeptem. — Albo ta rączka cała... zda się ze z alabastru...

Tereni mózg gorzeje. Nie wie co mówić. Jakieś żywiołowe pragnienie wzdyma jej piersi. Usta krwią się czerwienią... oślepiająca mgła osiada jej na oczach. Aż cierpi w poździe oszalałych z pragnienia zmysłów. Zdaje jej się w tym bólu, że gdyby ktoś szatańsko począł kąsać jej ciało, lub smagać prętem, toby doznała wielkiej ulgi.

— Jakże ty boska jesteś i jak rozkoszna!... — szepcą bez przerwy drżące usta barona.

Schyła się nad jej ramieniem i całuje, całuje.

Terenia się nie broni, brak jej woli i siły. Czuje, że leci w jakąś toń...

Baron chwyta ją wpół, wargami lgnie do ust do szyi, piersi.

Terenia prawie ze męleje od uścisków i oszalałych pieścot. Coś mówi, jak przez sen, zamyka oczy, dyszy.

Nie czuje nawet jak baron ją rozbiera.

Usta tylko coś szepcą, jakieś urwane słowa, ciche, więdnące — —

Tymczasem salon zapełnia się, to pustoszeje. Wchodzą coraz to nowi goście, znikają, znowu się pokazują i opuszczają lokal. Niektórzy znajdują się przy bufecie, piją wino.

Panna Ada ma powodzenie...

Rosenduft przedtem co chwila wychodził i nasłuchiwał u progu buduaru, teraz zaciera tylko ręce, oblicza w duchu dochód a w pierwszym rzędzie ten od barona nadzwyczajny. Obmyśla nawet specjalną takse na Terenię. Przeznacza ją dla wyjątków gości, jako gwiazdę „salonu“. Jest pewny, że mu już stąd nie ujdzie, że od dziś jest jego niewolnicą. Ma plan gotowy: będzie ją stale oszalałamił trucizną, zwodził, zjednywał; da zakosztować

jej opjum... a kiedyś, kiedy już zwiędnie, gdy życie nocne zetrze z niej powab, — wtedy jak grat zbyteczny wyniesie nocą na ulicę...

Rosenduftowa dusza nie bawi się w sentyment. celem jego jest pieniądz. Mniejsza oto z jakich źródeł wypływa, na złocie nie ma śladu... Wnuk handlarza starzyzną, syn oszusta i pasera założy kiedyś bank. Nie znać już na obecnym jego wyglądzie wstrętnego piętna ghetta, on już się goli i myje, jada wieprzową szynkę, czyści paznokcie, Kto zgadnie, czem będzie jego syn? Kto wie na jakim piedestale stanie rodzina Rozenduftów, jakie przyjmie nazwisko? Nic to jednakże nie przeszkadza, że dziś los — murarz zakłada fundamenty, z cegieł ludzkiej niedoli, nędzy i nieszczęść, które zrodziły otchłań zła, rwącą powoli na dno zraty i nieuchronnej śmierci.

Północ. —

Miaste zewnętrznie usypia zwolna.

W gabinecie nocnej kawiarni modny w stolicy aktor z jasnych oczu dziewczęcia spija łyżę wstydu i pali papierosa...

Majowa noc zmywa świat rosą i bieli go księżycem.

Świt.

Wróbel-ulicznik budzi się w czubach akacji. Park miejski poczyna dzwonić urywanym świegotem. Gasną latarnie. Chwila ledwie uchwytnego zmierzchu. Zrzadka przemknie zapóźniony przechodzień. Słyszy się gdzieś niemiły zgrzyt otwieranej żaluzji nocnych lokali. Ulice puste. Koń dorożkarski ciągnie leniwo zezwieszonym łbem, drzemie. Drzemie również pasażer, zatulony w postawiony kołnierz marynarki, i woźnica na koźle. Jest chłodno.

Ulice miasta i zaułki czynią się jasne. Świeże, przezroczyste powietrze pozwala spojrzeć w dal.

Nikt tu prawie nie widzi narodzin dnia... oprócz miejskiego ptactwa i sennych oczu policjanta. Gdzieś, zdaje się w klasztorze, odzywa się dźwiękliwie sygnaturka...

O takiej porze ocknęła się Terenia, Przycmione światło namiotu zagłąda jej w zrenice. Leży bezwładna, ciężka, zmęczona. Myśli jej prawie śpią. Dopiero wolno, wolniutko poczynają działać włókienka świadomości, obudzać inne i puszczać w pewien leniwy ruch aparaty myślowe.

Patrzy w abażur lampy. Poczyną czuć. Najprzód odczuwa puls bólu w skroniach i ociężałość ramion. Przytomnieje, wmyśla się w siebie.

Wtem... słyszy jakgdyby oddech obok siebie. Odwraca głowę — i widzi twarz tuż prawie przy swej twarzy leżącą na poduszce.

W pierwszym błyskawicznym momencie myśli, że to jest Ada, lecz nie... to twarz mężczyzny.

W jednej chwili wraca jej pamięć — baron!...

Zimny dreszcz ją przeszywa — — — coś za krtań chwyta. Siada, jakby lodem dotknięta. Tak to baron śpi przy niej... Wstyd ją zalewa...

Już wie... domyśla się!... Całym wysiłkiem ducha skupia myśli.

O Jezu...

Serce bić jej przestaje z przerażenia. Staje jej w duszy wieczór... baron... i herbata w namiocie. Ot, jeszcze stoją szklanki...

Pamięta pozogę ciała, namiętne półomdlenie, szaleństwo pocałunków... Dziw, jak jej stają w myślach te obrazy... wczoraj wszystkie w płomieniach, w nieobronnej pokusie... dziś jak z zimnego głazu kute.

Zalękłe oczy spostrzegają na dywanie porzuconą sukienkę...

Równocześnie widzi siebie w bieliźnie. Na piersiach krwawe, podłużne plamy.

Krew falą uderza jej do głowy. Czuje, że wi-
si na krawędzi jakiejś strasznej przepaści. Patrzy
twarzą w twarz zaszłego czynu. Wie, co się stało
— — czuje — — wszystko w niej o tem krzyczy.

Chryste!... — jęczy w niej straszliwe ostrzeż-
wienie. Febra ją chwyta.

W sekundzie sobie uzmysławia, że nie była
normalna, że ją czemś oduszono, na to... na to je-
dynie!... Aby ją uwieść! Już wie, gdzie ją zwiezio-
no... czem jest ten dom... co tu się dzieje!...

Co teraz? — — Matko najświętsza!

Struchlała zeskakuje na dywan. Ucieknie. Pocz-
nie rozpacznie krzyczeć o ratunek — !

Zbielałe usta drżą jakimś szeptem... schyla się
cicho... wydobywa ukryte pod otomaną swoje
ubranko.

Na palcach opuszcza namiot, w kącie zrzuca
ze siebie batystowy podarek, pończochy i pantofel-
ki. Ubiera się w swój strój

Ma wrażenie, że znajduje się w piekle, że
wszystko tutaj czyha na nią. Świat jej się chwieje
w oczach. Strach ją przejmuje do szpiku kości,
nawskroś przeszywa nożem.

— Jezusie ratuj!... — dygocą wargi — wypro-
wadź stąd, podaj mi rękę!...

Już jest odziana. Drżącymi dłońmi upina jesz-
cze włosy i na gorącą główkę wciska kapelusz.

Groza czynu nie opuszcza jej ani na chwilkę.
Co raz bardziej ją przeraża. Czuje się zohydzoną,
zbluzganą błotem, ze czci obdartą. Jest ulicznicą,
jak powiedziała matka... Świętość miłości, ogromne
szczęście i nadzieje, wszystkie zachwyty — zakrywa
przed nią potwornie czarna chmura grzechu...
występku... zła!...

— Ludeczku!.. Luduś!.. skowycze serce —
Boże jedyny, jam niewinna!.. Zabiję się... zabiję!..
łka zrozpaczona dusza. — Ja nie chcę żyć — — —
co ja zrobiłam! Dlaczego nikt mię nie obronił, nie
ostrzegł?

Wstrząsa nią żywiółowy, wewnętrzny szloch.
Łzy z ócz padają jej jak grochy.

Otwiera cicho okno, podnosi sztory. Fala po-
wietrza w nią uderza i żywy cud majowego poranku.

Terenia aż się cofnęła przed słoneczną falą.
Jakież świat piękny, ileż tam blasków, tam życie
wiekie, rozlewne, wołające....

Myśl samobójcza, zbudzona kłem rozpaczy,
zamiera, ginie, wchłania ją druga — o ucieczce.

Terenia w spazmie tłumionego płaczu wychyla
się przez okno. Widzi w dole małe, kamieniem
brukowane podwórze. Boże! jakże wysoko — — —
nie zeskoczył! Z drugiego piętra pewna śmierć...

Lecz patrzy wdół, mierzy tę przestrzeń, która
kusi i ciągnie.

Instykt przychodzi jej z pomocą. Podrywa
głowę wyżej, na oświetlone dachy i na niebo.

Świeżość wonnego ranka trzeźwi ją, chłodzi.
Skłębione myśli prostują się nie dają się uwodzić.

Zrenice pełne łez patrzą w błękitną niwę nie-
bios, jakby za nią stęsknione przez tę dobę więzienia.

— Ludku!.. Ludku... znowu to imię rwie się
z serca Tereni.

Już jej nie starczy siły, by moc powstrzymać
powódz huraganowego płaczu.

Pada na dywan, jakby kosa podcięta.

Szłocha jak skatowane dziecko, woła matki
i Boga, ludzi... Tarza się w bólu, łka strachem i
splamioną miłością, bezwinną zdradą i upadkiem.
Strzęp myśli o tajemnicy łona aż ją zadławia jakimś
straszliwym kneblem. Zdaje jej się w obłędnej

męce, że szczęście już zgubione, że czeka ją sromota, coś ohydne, piekielne... Że Ludek ją odtrąci, odtrąci świat i Bóg. Że już ratunku dla niej niema, ni zmiłowania, ni przebaczenia. Że kres jej idzie i zguba.

Jęk w buduarze budzi barona. Szuka obok siebie kochanki.

Wstaje zdumiony — — — płacz słyszy najwyraźniej nakłada pyżamę i wychodzi z namiotu.

Oczom jego przedstawia się niezrozumiały obraz: oto ta gorejąca wczoraj młoda kochanka wije się w płaczu na podłodze... Szarpie jej ciałem spazm, krzyk rwie się z ust... Co to oznaczają? co tu się stało?

Schyla się nad nią, ujmując ją za rękę. Poczyna się domyślać, co jest powodem tego rozpaczliwego płaczu.

— Proszę pani, dlaczego pani płacze? Proszę wstać, jakżeż... tak na podłodze...

Dźwiga ją siłą, stawia na nogi...

— Proszę się uspokoić... Proszę powiedzieć...

Terenia ze wstrętem i bojaźnią odsuwa się od niego.

— Panie... to jest okropne!... pan winien!... sja byłam nieprzytomna... mnie tu zatruto!...

Przebolełe źrenice patrzą się na barona ze strasznym wyrzutem. Jest w nich i strach i wzgarda.

Baron to czuje.

Ależ... niechże pani nie robi znowu tragedji!.. Cóż się stało takiego?... O!... Nie brałam pani przecież siłą... najmniejszego oporu nie było z pani strony...

— Bo mię upito jakimś środkiem... ja nie wiedziałam, że to ohydny podstęp aby mię zgubić... Jezul... ja byłam prawie nieprzytomna! Nie przypuszczałam, aby pan... by ktoś tak niecień postępował...

Nowy spazm płaczu miota jej piersią. Stoi z obliczem ukrytem w dłoniach, chwiejna i zrozpaczona.

— Proszę pani, ja również nie wiedziałem... myślałem, że pani jest zwolenniczką wolnej miłości.. bo skąd się pani tutaj wzięła?

Wiedział, że to nowicjuszka, która jeszcze się wstydzi i którą trzeba do czasu oszalać. Tyle Rosenduft powiedział mu na ucho.

— Mnie tu podstępnie przywieziono... Wczoraj dopiero przyjechałam... deszcz padał... było wczesną rano, a więc ten pan zabrał mnie z sobą... Mówił, że gdy odpocznę i gdy dzień będzie, to sobie pójdę...

Baron słucha uważnie.

— A gdzie się pani z nim poznała?

— W pociągu...

A o swym domu nic nie mówił? — wogóle coś na ten temat, co tu pani widziała...

Mówił, że ma u siebie szkołę tańców i towarzyskich form... Zresztą my o 10-ej mieliśmy jechać do teatru...

— POCO?

— Pan Ludwik X. artysta teatru „Rozmaitości“ jest moim narzeczonym... Pan może wie, że on dopiero przybył do stolicy... Jeszcze nie podał mi adresu...

— Do niego pani przyjechała?

— Tak do niego...

Myśli barona chwytają wielkie zdumienie. On o tem wszystkiem nic nie wiedział. Słyszał coś o ucieczce z domu i jakiejś komedji.. Po tem, co widzi, nie przypuszcza, aby to była sprytną gra. Wczoraj nic o tem nie mówiła. Nie udawała niewinności w celach większego zysku. Była cała jak w ogniu, a on... on! — skorzystał z jej

wiosennej urody... Zwyczajnie! Każde zdobycie musi okupić jakiś podstęp, jakiś narkotyk... Trzeba pokonać wstyd i bojaźń... To miał na swą obronę.

Nazwisko wybitnego aktora i fakt, że ta panna jest jego narzeczoną, a wreszcie podstęp, którego padła ofiarą, — rodzą w baronie zakłopotanie.

— Niechże pani przestanie płakać... Ostatecznie znów nie stało się aż tak wielkie nieszczęście. Pani nie winna temu i ja nie winien... Winien ten pan że nas oboje w błąd wprowadził...

— Jezul Jezul jak on mię okłamał...

Mówi urywanym głosem jaką jej rano przyniósł wieść, jak ją chciał zjednać prezentami, jak udawał dobrego.

— Tak, to jest brzydkie... nie powinien! Hm! i cóż teraz? Nie wie co począć.

Terenia pomimo obrzydzenia pada do nóg barona. Czuje, że jej stąd nie wypuszczą — — w nim widzi teraz swą nadzieję. Może ma serce...

— Panie, wybaczę panu wszystko, lecz niech mię pan ratujel... Błagam! zaklinam pana!... Proszę mię wyrwać z tego domu!... Ja tu nie chcę! być... oknem wyskoczę, zabiję się!

Baron się wzrusza. Jest na tyle szlachetny, że nie odmówi jej pomocy. Nie może, nie powinien. Do tego jest jej dłużny...

Podnosi nieszczęsną z klęczek i uspakaja.

— Dobrze... za chwilę pójdzie pani ze mną... Teraz rozmówię się z tym panem... Proszę na mnie tu czekać.

Chcę wyjść, ale Terenia go nie puszcza. Boi się zostać sama, nie ufa jego słowom.

Znowu ją ucisza gwarantuje honorem. Uwierzyła w połowie. Została.

Płyną minuty długie jak wieczność. Płacz za-

miera w Tereni. Już brak jej łoż. Tylko piersi skurcz szarpie.

Baron znajduje Rosendufta. W kilku słowach opowiada zdarzenie.

— Udaje! — woła żyd, — i głupia jeszcze! To zwykła historia...

— Nie, nie udaje.

— A choćby... choćby. Więc skąd-że wezmę specjału? Panie baronie, przecież dla gości jak pan baron, musi być coś pikantne... Co się tu bawić w uczuciowość.

— Tak, tak... lecz ta dziewczyna nie jest zupełnie podatnym materiałem...

— Proszę, niech pan to mnie zostawi... Ja gwarantuję, że za tydzień pan baron jej nie pozna. Moja w tym głowa, bo warta trudu... czy nie? — pyta cynicznie.

Baron ominął zapytanie.

— Wyjątkowo tę pannę trzeba puścić. Ja ją z sobą zabieram — mówi stanowczo.

— Co, do siebie?

— O, nie, Puszczę ją na ulicy.

— Co też pan baron mówi!

— Stanowczo! Niema co mówić!

Aferzysta nie miał się co sprzeciwiać.

—Hm, hm. Jeżeli taka wola pana barona...

— Nie może być inaczej. Pośle pan teraz po zamkniętą dorożkę. Należy być ostrożnym... Niech nie wie skąd wyjeżdża. W najdogodniejszym miejscu wysadzę ją na bruk. Lepiej się pozbyć takiej gęsi, bo... niewiadomo!...

Żyd jeszcze głową kręci. Baron wsuwa mu w rękę plik banknotów i idzie do łazienki, aby się obmyć.

Rosenduft, nim posłał po dorożkę, pobiegł do Ady. Mówi co zaszło. Jeszcze nadziei nie traci. Ma

jeszcze sposób i z tem wysła Adę do Tereni. W szlafroku i rozczochrana wpada Ada do buduaru.

— Co ty głupia wyprawiasz?

— Tu dom rozpusty, nie żadna szkoła! Kłamacyl Bóg was pokarze! odpowiada Terenia łzawym głosem.

— Czy wierzysz baronowi?

— Sama widziałam...

— Przeżyłaś również... no i co ci się stało? Dostaniesz za to 100 dolarów...

— Nie chcę!! To podłość!!

— Ty, nie bądź naiwna... Zostań tu tydzień... za ten kostjum... Po tem jak zechcesz to sobie pójdziesz... Inaczej, wiesz co cię czeka? Pan Rosen-duft napisze do twojego aktora, że... ty wiesz już co... No i co wtedy? Kopnie cię nogą, za drzwi wyrzuci!... Będziesz stracona! Równocześnie da znać do policji, żeś potajemnie uciekła z domu. Odciu-pasują cię do matki. Wstyd! Skandal! Teraz wybieraj — pomiędzy życiem całym, a tym tygodniem... Radzę ci najserdeczniej — odpowiedz baronowi, że zostajesz... Słuchaj, miej rozum!..

Wyrzuciła to prawie jednym tchem.

Groza chwyta Terenię. Wszystko jej jednak obojętne, byle zdołać tylko stąd uciec.

— Nie, nie! za nic! Tak wierzyłam... a tyś mię za to truła, żebym straciła rozum. Już wszystko wiem... odejź!... odejź!...

Jest w jej głosie i twarzy taki majestat bólu, że aż Adę przeraża. Widzi, że jej nie skusi groźbą i wychodzi co prędzej.

Z rozdygotanem sercem czeka Terenia na barona. Inaczej jest zdecydowana wyskoczyć oknem na podwórze.

Zdeptany bukiet kwiatów wpada jej naraz w oczy. Bierze go szybko i wpycha do torebki. Je-

śli jej zginąć przeznaczono, to niechaj z tą różą na sercu zginie...

Baron powraca.

— Proszę pani, jedziemy. Odwiozę panią do śródmieścia, pod teatr...

— Niech Bóg panu zapłaci — szepce Terenia z wdzięcznością w oczach.

Ociera łyż. Wychodzą. Salon jest pusty. Ada i Rosenduft woleli jej nie spotkać.

Jadą.

— Niechże po takim doświadczeniu będzie pani teraz ostrożna — przerywa baron milczenie — Pani jest jeszcze młoda i nie zna ludzi. Najlepiej pani by zrobiła, powracając do domu... Co się tyczy narzeczonego pani, to nie wiem czy istotnie wyjechał z trupą. Dowie się pani o 10-ej w teatrze. Czy pani ma pieniądze? — bo nuż naprawdę jego niema... co pani wtedy zrobi?

— Mam — odpowiada Terenia.

— Dobrze, lecz może pani nie wystarczy. Służę pani...—i dobywa większy banknot z portfela.

— Nie, nie, nie chcę,... dziękuję!

— W takich wypadkach się przyjmuje. Powiem pani otwarcie, że tę kwotę miałem dać na ubogich.. więc jeśli pani nie znajdzie się w potrzebie, to proszę dać żebrakom... Wszystko jedno czyja ręka da te pieniądze,..

Bierze jej z rąk torebkę i stanowczo chowa w nią pieniądze.

Terenia z oczyma w dół opuszczonymi, milczy. Czeki tylko, by jak najprędzej zostać samą.

— O tem, co było, proszę zapomnieć — mówi baron po krótkiej przerwie. — Mogło być znacznie gorzej, gdyby pani nie natrafiła na mnie. Otóż i teatr.. Tam dalej park... Na ławce może pani odpocząć.

Otworzył drzwiczki i wygląda. Ani żywej duszy w pobliżu. Zatrzymuje dorożkę.

Więc tutaj proszę wysiąść. Ten wielki dom, to teatr...

— Dziękuję panu — mówi Terenia cicho i wychodzi.

Baron w milczeniu uchyla kapelusza. Dorożka rusza dalej..

Terenia doznała pewnej ulgi. Z bojaźnią rozgląda się wokoło. Niema nikogo. Idzie pod teatr. Jakąś dziwną serdeczność czuje do tego gmachu. Tak jej się zdaje, że to jakby dom Ludka i że cząstka jego istoty żyje w tych murach.

Kilka razy obchodzi teatr dookoła. Boi się odejść gdzieś dalej, jednak nęci ją park. Jest niedaleko a więc idzie.

Jak w raj. Tu zieleń wiosny kąpie się w słońcu. Ilez tu kwiatów najcudniejszych, jakie gazony.

Park śpiewa poranne hymny...

Myśli Tereni przeplatają się niby wieńce raz o sobie, raz o tych kwiatkach... Straszne, żywe wspomnienia wloką się za nią jakby widma. Doznaje uczuć, że się wyrwała z rąk szatana, który ją zwabił w najstraszliwszą jaskinię. Na myśl o tem spada jej z piersi ciężar i równocześnie targa jej sercem nieutulona boleść. Widzi się zbezczeczona, splamiona, niegodną miłości ukochanego.

Błąka się jakiś czas po parku, aż wreszcie drżąca z chłodu i z bólu siada na ławkę naprost słońca. Tak jej upływa godzina...

Tulą ją złote blaski. pieścą i oprzewają. Jakże jej jest przyjazne to słońce! Zda się, że mówi do niej, że ją ucisza i pociesza.

Rosą z trawnika tuż za ławką zmywa Terenia zapłakaną twarz. Gorączkę ust chłodzi wilgotnym liściem klonu.

Myśli, czy też istnieje jakaś moc, któraby ją napowrót uznała za człowieka... Wszak ona nie upadła rozmyslnie... nie! ona niewinna!..

Gdzieś bardzo blisko odzywa się kościelny dzwonek. Jak gdyby sygnał, że istnieje moc taka.., Terenia idzie za tym głosem.

Spostrzega drzwi kościoła otworzone szeroko i 3 żebraczki przykucnięte na schodach. Rozdaje im pieniądze wręczone przez barona, bo ją pała niby zły ogień. Za żadne skarby nie chce korzystać z tych pieniędzy.

Wchodzi nabożnie do świątyni. Staruszek-kapłan siwiutki jak gołębek wychodzi ze Mszą św.

Terenia, klęcząc na posadze, poczyną modły głębią i żarliwością całej swojej istoty.

Odmawia litanję. Przy słowach „Ucieczko grzesznych“. „Pocieszycielko strapionych“ — schyla usta do kamiennej posadzki i prosi, błaga i żebrze przebaczenia.

Mijają chwile — — Msza św. się kończy. Ksiądz staruszek odchodzi od ołtarza.

Niedługo wraca w komży i siada w konfesjonale. Biała jego sylwetka odbija niby płat śniegu od półmroku kaplicy.

Terenia wstaje i zbliża się na palcach ku tej białej postaci. Wierzy, że tu odnajdzie spokój i przebaczenie, że zmyje grzech.

O tem jedynie myśli, nie wiedząc — kogo jej zsyła przeznaczenie — —

IX.

Prosto z teatralnej kancelarji idzie Terenia pod wskazany adres. Czuje się teraz znacznie

lepiej fizycznie i moralnie. Spowiedź, a później niezwykła dobroć księdza-staruszka, który zaprosił ją na kawę i ojcowską rozmowę, wpłynęły na jej zbolałą duszę niby balsam i pokrzepiły upadające siły. Myśl, że za chwilę wpadnie w ukochane objęcia Ludka, napawa ją dziwnie trwożliwym szczęściem. Niby raduje się w niej dusza, że za chwil kilka stopią się w jedno ich tak bezbrzeżnie zachwycone sobą oczy, że ziszczą się tyle razy wyszeptane marzenia i równocześnie drży w szczęściu tem jakiś niepokój, coś, jakby skarga i żal do świata, że stało się coś straszne... Czuje w sobie bezwinę, a przecież mimo oną świadomość gdzieś w głębi serca kręcą się łzy. Bo o to idzie ku słońcu swej miłości splamiona... Nie wszystko, co Bóg przebacza, zapominają i wybaczą ludzie. Wie o tem. Brzydzi się kłamstwem a jednak widzi, że musi o tem zamilczeć i patrząc w oczy kochanego — przywdziewać maskę. Bo gdy wyjawি tajemnicę — czy jej wybaczy? Czy nie odtrąci z bólu, że jego gwiazdę strącono w błoto? Pamięta wszak jak ją nazywał i czem mieć pragnął, pamięta jego wszystkie z zachwytu brane słowa. Zamilczeć — zn. kłamać przez całe życie i krzywdzić go potwornie a zwierzyć mu się, może utracić go nazawsze.

Im bliżej celu się znajduje, tem większa walka w niej się zrywa. Chwilowy spokój duszy okazał się za słaby i nie mogący zmierzyć się z jej bezbrzeżną miłością, którą zakłócała ta nieszczęśliwa tajemnica.

Dygoce w sobie coraz bardziej, podnosi oczy na numery kamienic i zwalnia kroku. Oto już dom na stępny..

Wstępuje w bramę... czyta spis lokatorów, poczem kieruje się na schody. Idzie stopień za stopniem na II-gie piętro. Przyspieszony puls serca

szarpie się w piersiach. Lęk ją ogarnia — czy go zastanie w domu.

Wreszcie staje przed drzwiami z biletem Ludka. Stoi tak chwilę, nie mogąc opanować rozrętnego serca i wzruszenia. Słyszy gdzieś z głębi wnętrza szmery i ciche głosy. Więc go zastała. Lecz z kim rozmawia, może ma gości?

Nagle dreszcz ją przechodzi, — słyszy wyraźnie cienki, kobiecy śmiech. I prawie w tej że chwili rozeznaje głos Ludka. Więcej głosów nie słysząc, tylko te dwa roześmiane. Kto ta kobieta? — przelatuje błyskawiczne pytanie przez myśl Tereni. Niby daleka od podejrzeń, a jednak czyni jej się ogromnie nieprzyjemnie.

Nie chce ich podsłuchiwać, uważa to za brzydkie, więc stuka cicho w drzwi. Ponawia stuk, bo wiem nikt nie odpowiada. Teraz dopiero słyszy zbliżające się kroki.

— Kto tam?

Wraz z głosem Ludka fala szczęścia uderza na Terenię. Rozdrzały szept ciśnie się jej na usta.

— Ludku, to ja...

— Kto?

— Terenia...

I moment ciszy.

— Ach, to ty a... Zaraz...

Odbiegł od drzwi. Po chwilce wrócił.

— Przepraszam cię, ale ja nieubrany... Może na chwilę, na 10 minut zejdziesz na dół i poczekasz na mnie w bramie... Tu taki nieporządek... Dobrze?

— Proszę... — jak echo wybiega z ust Tereni. I chce odchodzić, jednak coś ją trzyma na miejscu. Zaszumiało jej w głowie. Nieubrany a przecież nie jest sam...

Jak uderzona w twarz opiera się o poręcz

schodów. Coś jej okrutnie ściska serce i smaga biczem myśli. Coś w niej poczyna się słać i łkać boleśnie. Przyciska gorące czoło do żelaznej poręczy i całą siłą woli wstrzymuje prądy ku krtani szloch.

Wcześniej niż się spodziewać należało, drzwi uchylają się ostrożnie. Staje w nich aktor, ubrany do wyjścia na ulicę. Oczy Tereni dostrzegają postać kobiecą, co się w głębi przesunęła.

— Tereniu, co ty tu robisz? — rzuca pytanie zdumiony aktor, zamykając co prędzej drzwi za sobą. Terenia chwieje się jak liść.

— Uciekłam z domu... przyjechałam... Ludku! Już płacz wyrzucił owo imię. Brakło jej sił, aby powstrzymać łzy.

Aktor utracą równowagę. Blednieje. Chwyta za rękę rozslochaną Terenię.

— Tereniu, cicho, cicho... Dlaczego płaczesz, co się stało?

Ciszy ją, pyta o powód, garnie ku sobie. Leci mu prawie z rąk. Nie wie co czynić, do miasta iść nie można. Dziesiątki rozstrzępionych myśli tańczą mu w głowie. Nie widzi wyjścia, jak tylko wiaść ją do pokoju z obawy możliwych następstw. Wszystko jedno co pomyśli jasnowłosa kochanka, z takim trudem przed dwoma dniami zdobyta... Od czegoż jednak spryt i kłamstwo?

Wprowadza więc do wnętrza dławiającą płacz Terenię.

— Proszę się uspokoić...—i jakżeż tak można... no cicho... Proszę tu usiąść — i podsuwa jej fotel.

Wielkie oczy jasnowłosej kochanki stają się jeszcze większe. Wygląda jak przerażone dziecko na widok zaszłej sceny. To nie kobieta jeszcze, to podlotek.

— Panno Olgo — zwraca się do niej szybko

aktor — zaszła rzecz pewna, że... no, widzi pani... to moja siostrzenica — mówi szeptem podchodząc — coś tam się stało w domu... zresztą ja to pani opowiem... o 11-ej po teatrze, jak zwykle... Więc proszę... Teraz pani rozumie, że..,

— Ależ rozumiem — przerywa mu blondynka — — Więc do widzenia.

Bierze kapelusz ze stolika i wciska go na lok przycięte ala garconne. Jest za naiwna jeszcze, by móc o kłamstwo podejrzewać aktora, tembardziej, że siostrzenica zapłakana. Pewnie ktoś ciężko chory, albo umarł... Chciałaby ją pocieszyć i okazać współczucie, jednakże wzrok aktora wydał jej się nagły. Wyszła, pożegnana za progiem pięściwem słowem „pa“!

Aktor zamyka drzwi i wraca. Ucieczka Tereni z domu przeraża go naprawdę. Dlaczego? co tam się stało? i skąd ten nagły płacz, zaraz przy pierwszych słowach?

Oczy Tereni pełne łez spotykają się z jego zdumionym wrokiem. Wstyd ją ogarnia za ten płacz, wie, że przykrość wyrządza ukochanemu człowiekowi, jednak nie może zapanować nad jakimś strasznym bólem serca. Marzyła nie o takim przyjeździe, nie o takim spotkaniu, inne wychodziła w duszy chwile, a los tak bezlitośnie spycha to wszystko w otchłań, i rwie na strzępy najświętszą wiarę i uczucia.

— Tereniu, na miłość Boską, więc cóż się stało? — pyta aktor troskliwie, zbierając rozpięchłe myśli.

— Nic, nic... tylko uciekłam z domu — odpowiada łkająco.

— Uciekłaś? Dlaczego?

— Musiałam... Wiesz jakie były u nas w do-

mu stosunki, a teraz... ja tam już nie mam miejsca. I tak zapewne wygnali by mię z domu...

Byłam pokryjomu na twoim pożegnalnym występie... potem na kolejowym dworcu, aby cię jeszcze widzieć, a raczej jechać z tobą razem... Bo już tak było... Spozrzegłam cię za późno w towarzystwie jakiejś kobiety, która dała ci kwiaty... Byłeś taki wesoły, a mnie pękało wtedy serce... I już biegłam ku tobie aby ci się poskarżyć, gdy... szukający mię ojciec stanął przedemną. Zemdlałam.

— Zemdlałaś? — pochwyił aktor, przerywając jej urywane słowa. Bezmyślnie wybiegł mu z usta ten okrzyk.

— Tak, i nieprzytomną wziął mię ojciec do domu. Potem przez 2 tygodnie chorowałam...

— Co ci się stało, Tereniu? Właśnie tak mizernie wyglądasz... I ja nic nie wiedziałem!

Terenia patrzy weń przez łzy.

— Leżąc w łóżku nie mogłam podjąć spóźnionych od ciebie listów... ani też pisać...

— Okropnie!

— Kiedyś dopiero napisałam i miałam iść na pocztę, jednakże matka wyrwała mi list z ręki. Ten list przyspieszył mą ucieczkę...

— Dlaczego?

— Bo w nim ci napisałam wszystko, wszystko o czem ty nie wiesz.

Silniejsza bladość pokrywa twarz aktora.

— Co, co? Mówże, Tereniu!

— Ludeczku, ja będę matką!! — wypływa szept wraz z łzami. — Dlatego byłam chora, dlatego jeszcze takam słaba... Matka to wie...

W aktora jakby piorun uderzył. Patrzy na nią strwożony i oniemiały. Zamiast radości, Terenia widzi jego przerażenie. Świętość miłości wzbiera

się w piersiach w jęk. Dlaczego, dlaczego ta wiadomość oblewa go bladością?

— Nie, nie, to niemożliwe! — szepce, nachylając się ku niej. — Tereniu, tobie się chyba zdaje! Podnoszą się na niego cierpiące oczy.

— Ludeczku, ja wiem przecież, ja wiem... Już się z tem pogodziłam... nie mam do ciebie żalu... sobie nic nie wyrzucam, przeciwnie, jestem nawet szczęśliwa... Przecież — to dziecko będzie nasze, Ludeczku! — zrywa się i pada mu na piersi. — A ty dlaczegoś taki przerażony? Już mię nie kochasz? Ludku mój drogi — powiedz! Może już kochasz tę panienkę, tę co odeszła... Dlaczego milczysz?

— To jest artystka, Koleżanka. Przerabialiśmy właśnie role odrzekł bezdźwięcznie.

Nie uwierzyła.

— Dlaczego zaraz mię nie wpuściłeś, lecz kazał czekać?

— Musiałem jej oznajmić, kto przyszedł. Potem wkrótce wyszedłem, ażeby cię przeprosić. I byłem trochę nieubrany, to jest trochę tak... dla roli. A ty w płacz zaraz...

Wiedziała, że wyszedł po to, by ją zabrać do miasta, a tę zostawić w domu. Był ubrany do wyjścia i z laską w ręku. Ach, jakże kłamał!

Jednakże milczy o tem, gdyż nadmiar bólu i zawodu dławi te słowa.

— Wybacz, ale nie miałam siły łez powstrzymać... Ja tyle przeszłam, tak tęskniłam za tobą, tak jak najprędzej pragnęłam być przy tobie... A ty, ja cię naprawdę nie poznaję! Takiś posępny, bez iskry radości... Nie miałeś nawet czasu, by mi napisać list... Tylko jedną jedyną kartkę... Ludeczku, czy ty rozumiesz mię, czy czujesz moje serce?

Teraz dopiero poczał jej gładziś włosy, tulić do piersi i całować po oczach.

— Ależ Tereniu, jestem tak zaskoczony twojem przyjazdem, że poprostu gubię się w myślach... Przytem twój płacz, tak bez powodu i ta wiadomość ..więc mię chyba pojmujesz...

Terenia nie chce usprawiedliwiać mu swego nagłego płaczu. Jest jej za ciężko i boleśnie. Już wie, już czuje, że tamten Ludek nie istnieje.

— Więc, aż tak bardzo zbiło cię z tropu me zwierzenie? Jakżeż ja mogę zamilczeć przed tobą o tem? Komuż się zwierzę, jeśli nie tobie? Przecież ciebie jedynie mam na świecie... Dziś już jestem bezdomna... Jeśli nie mogło być inaczej, cóż miałam zrobić? Zostać w domu na wstyd, ściągnąć nań hańbę? Nie wiem czy oczy matki zniosłyby mą obecność...

Chciała wołać lekarza aby mię zbadał, ale uciekłam przed tem. Nie chcę, po stokroć nie chcę bo ja cię kocham, bo ta dziecina będzie twoja... nasza.. miłość ją daje, ta nasza miłość przeogromna, Ludeczku!

Bije z jej słów ta miłość święta, prawdziwa, w aueroli zapoczętego macierzyństwa. Nie widzi w tem nieszczęścia, nie dba o świat, chce znaleźć szczęście w istocie tej miłości.

Jest fenomenem na dziesiątki tysięcy pokrewnych sobie istot, nie skarży się, nie upada na duchu, ale z ręki przyrody czarem mjąłości spowitej przyjmuje tę nowinę.

Jakżeż inaczej myśli aktor! Sadza ją lekko na fotelu, zapala papierosa. Nerwy w nią drżą, o ściany czaszki tłucze się myśl — co teraz?

— Tereniu droga, — poczyna wolno — nierozsądnie zrobiłaś, że uciekłaś... Tylko źle mię nie

zrozum. Bo widzisz, mógłby cię lekarz zbadać i zapobiec następstwom... to na porządku dziennym...

— Ludku wszakże to zbrodnia ..

— Zaraz, zaraz! Zbrodnia, nie-zbrodnia, tylko prosta konieczność. Na dzieci zawsze czas...

— I ty to mówisz? Przecież uspakajałeś mię...

— Trudno, mieliśmy pecha. Jednak czas jeszcze na ratunek... Proszę, nie dziw się moim słowom, nie wiesz dlaczego mówię w ten sposób. Bo co ja teraz zrobię Naprawdę. Poślubić cię teraz niema mowy bo... bo me stosunki nie pozwalają jeszcze na to...

— Jak ty mię nie rozumiesz. A czy ja mówię o tem, czy nagłe.

— Dobrze, lecz idzie mi o ciebie, o twój Tereniu, honor...

— Po co mi ludzie?

— Łatwo tak mówić. Po co narażać się na wstyd i dawać ludziom sensację, kiedy uniknąć tego można i być swobodną... Co ty inaczej myślisz zrobić?

Oczy Tereni spojrzały w niego całą otchłanią.

— Chcesz, bym do domu powróciła?

— Nie, nie chciałbym, ale uciezka twoja może narazić mię na konflikt z policją.. — Przecież pomimo wszystko rodzice twoi nie zaniechają poszukiwań... Niema dwóch zdań, że na trop wpadną i wysledzą. Wtedy ja jak wyglądam? Skandal, co przy mojem nazwisku jest wprost okropne. Jedyne wyjściem jest powrócić, przecierpieć jeszcze jakiś czas, dopóki całkiem legalną drogą nie będę mógł wziąć cię za żonę...

Terenia z lękiem się otrząsa.

— Nie, ja nie wrócę. Raczej śmierć wolę.

— Dziecinna jesteś i nie wiesz, że tak w życiu nie można. Przecież mnie uwierz, przecie! tu o nas idzie, o naszą przyszłość!

Dlaczego mam powracać? Nie muszę mieszkać z tobą razem... znajdziesz mi pokój, jaką posadę, będę pracować... Nikt się nie dowie, że za tobą uciekłam, Ludku. — woła z łzami — czy ty masz litość Ach, ty nie zdajesz sobie sprawy czym jest dom mych rodziców. To dla mnie — — piekło. Jednego słowa życzliwego ani uśmiechu, tak było zawsze, a co dopiero teraz.

— Boże! co ja temu poradzę, kiedy to wszystko niemożliwe.

Terenia całą duszą obserwuje aktora. Widzi już jak na dłoni, że jest obecnie dlań ciężarem, że pragnie się jej pozbyć i być swobodnym. Budzi się gwałtownie niby z ciężkiego snu. Wprost czyta jego myśli. Biją w oczy jego zdenerwowanie, bladeść i kłamstwo. Nie widzi w nim współczucia, tylko jakiś żal i lęk, nie czuje nic ciepłego, ni troski, ni opieki, — nic, nic, coby świadczyło, że w sercu jego pali się jeszcze jaka iskra miłości. Nową ohydę ludzka pokazuje jej życie, nową podłość i zdradę. Widzi w tej chwili obraz, jak się na klęczkach przy niej łasił, jak zaklinał, jak przysięgał jej wieczną miłość. I widzi teraz obraz drugi, jak ją odpycha jak nawet ręki podać nie chce w nieszczęściu, które sam sprawił. Że jej od krzywd nie broni, wzbrania bezdomnej dachu i odmawia pomocy nieszczęśliwej. Patrzy się w niego i równocześnie coś się w jej duszy strasznie zrywa. Wierzyła, że ją z otwarciem ramion powita, przygarnie, że przyjmie jak swoje szczęście. Arkada za arkadą wali się w gruz w wysnioniej i wymodlonej świątyni jej miłości. Serce chce wyć z rozpacz, ale nie może, bo mu coś krtań knebluje. I dziw, jak panuje nad sobą, jak tuli podeptane uczucia. Jak godność ludzka w niej się wzmaga, jak świętość uczuć w bunt gorie. Wiosenne dziewczę jakże teraz szybko uczy życia!

— Więc chcesz abym wróciła? — odzywa się cichutko.

— Zapewne, moja droga, bo to jedyne wyjście, no i... nasza wspólna konieczność.

Oddycha spokojniej, myśląc, że już pękają lody.

— I pragniesz również, aby zapobiec macierzyństwu?

— W imieuiu twego dobra — tak... Po co narażać się na wstyd?

— Przecież tyś mnie naraził... lecz mniejsza..

— !

— Co jeszcze możesz mi zalecić?

Sposób jej pytań zastanowił go nagle.

— Tereniu, czy ty żartujesz?

Terenia spogląda prosto w jego oczy.

— Nie, pytałam tylko by się upewnić w twych życzeniach.

Abym wiedziała, że tak naprawdę myślisz, czujesz i że tak umiesz teraz kocnać. Otóż słuchaj: do domu nie powrócę, bo nie mam domu... nie mam ojca ni matki — mówi rozżalonym głosem. — O siebie bądź spokojny... nie będę ci zawadzać... po co? Wykorzystałeś mą naiwność, moją wiarę i ufność w siebie — wybaczam ci... Kochałam cię nad życie, nad ludzkie siły, całą moją istotą... a ty, możesz mnie kochać dzień, możesz dwa może nie sercem nawet, lecz zmysłami... i za tę miłość dajesz mi krzywdę...

— Co ty mówisz, Tereniu!

— Pozwól, — mówi już z płaczem — gdybyś mnie kochał, przyjąłbyś mnie inaczej... zamiast lękliwego zdumienia, byłaby w tobie radość zamiast tych rad jakie mi dajesz, otoczyłbyś mnie troszkę, pieczę pomógłbyś mi w tej doli... bo ty, ty to sprawiłeś, że opuściła dom. Mówiła bez wyrzutu, — byś tylko wiedział, jak ci wierzyłam... Nie winię cię,

żeś przestał kochać, ale przynajmniej mógłbyś dziś ze mną współczuć... A ty? Do domu wrócić radzisz i namawiasz do zbrodni... Oto twa miłość teraz... Dajesz początek życiu, aby je zabić! Etyką twoją są tylko zmysły.

— Naprawdę, do czego zdążamy? — pyta naporóż dość spokojnie.

Terenia nie odpowiada na to, lecz ciągnie dalej:

— Ta panna, która przed chwilą stąd odeszła, to twa kochanka... Kochanką twoją jest czy była i ta z kolejowego dworca, wręczająca ci kwiaty. To twe ofiary i ja o jedną więcej...

Jeśli lzy ludzkie dają ci szczęście, to je mieć będziesz...

Wstaje, ażeby odejść. Aktor stoi jak posąg. Nagle się wzruszył. Wyciąga ręce do Tereni, jest w tej chwili tak tragicznie cudowna w owej skar-dze, tyle w niej majestatu i jakiejś rzewnej dumy, że aktor gotów ją zatrzymać.

Coś go porywa ku niej — i myśli, że na jedno skinienie zostanie tu u niego choćby przez tydzień, a potem... potem — — nie zawsze przerwać można... Żył chwilą, nad chwilą się zapalał, nie bacząc jaka po za ekranem chwili czai się przyszłość. W tym momencie z Tereni chciał mieć jeszcze kochankę.

— Tereniu droga, czy ty chcesz pójść? ja ciebie zgoła nie pojmuję! Jakieś wyrzuty, skargi i dla-czego, dlaczego? Przecież cię kocham, tylko roz-tropnie, jak tego wymagają moje warunki, okolicz-ności i konieczności. Owszem, jeżeli chcesz pozostać u mnie... Mylnie mnie zrozumiałaś, sądząc, się ciebie pozbyć pragnę...

Nie, nie! Będziesz mi zaraz tem, czem byłaś... moja jedyna... jedyna w świecie... Na razie nie mo-żesz u mnie mieszkać, lecz ulokuję cię w hotelu.

Oczywiście chwilowo tylko... póki spraw moich tak nie ułożę, aby ci tutaj uwić gniazdko... Tak, tak najdroższal – wyciąga ręce ku jej główce i ujmuje ją dłońmi. Młode ciało kobiece wzbudza w nim chuć i dreszcze, Chce ją w pół objąć i przytulić do piersi. Ale ręka Tereni odsuwa go od siebie. Instynkt włada teraz jej ręką, niezawodzący instynkt, który wprost krzyczy w duszy, że słowa jego kłamią. Widzi tę nagłą jego zmianę, inny blak oczu i inny wyraz twarzy. Przed chwilą była jeszcze w tych oczach trwoga, ogromny kłopot, coś zimnego, bez kruszyny miłości, niewidziane przez cały przeciąg znajomości, coś bardzo obce, nawet złe.

I naraz te oczy się zmieniły zapłonęły dzikim ogniem. Ubrały maskę.

Bezradnie dotychczas drżące ręce porywa nagłe głód pieśczoły. Przed chwilą odpychały, teraz przygarnąć pragną. Wrażliwa dusza Tereni odczuwa nieomylnie, iż w owem wyciągnięciu ramion niema iskierki serca, lecz że je wiodą zmysły. Okrutny los teraz dopiero zrywa jej z oczu zasłonę, dopiero teraz. W jednej chwili gasi w niej złudy objawia surową rzeczywistość. Duszy oślepionej miłością daje jasnowidzenie. To wszystko bierze ją teraz w swoją władzę i nakazuje odsunąć wyciągnięte ramiona. Rodzą się w sercu krwawe łzy, szarpie niem ból straszliwy, ale ten nakaz zadławia krzyk podeptanej miłości. Widzi teraz jeszcze stokroć potworniejszą prawdę, że człowiek ten wyzuty jest z litości, że niema odrobiny serca, że zabawkę znów z niej mieć pragnie, teraz, gdy los nią miotać począł, gdy jest bezdomną i bezbronną, niczyją. I cała ta świadomość istotnej prawdy, siłą instynktu błyskawicznie zrodzona chwytą ją w jakis decydujący w męce spokój. Odpycha więc tę rękę, cofa się wstecz.

— Nie, nie! — krzyczy parnym z boleści szeptem, —

— Kłamiesz najokrutniejszym teraz kłamstwem... Czuję co myślisz i wiem chciałbyś mieć nie jeszcze czas jakiś... Wiem, wiem! lecz zostałbym nawet twoją kochankę w roli służącej, gdyby w twem sercu tliła dla mnie choć iskra miłości i przywiązania, lub atom serca... A ty nie masz nic dla mnie, nic, nawet litości, jaką człowiek okazuje zbłąkanemu zwierzęciu... Idę!...uciekam!... Nie myśl, że cię będę przeklinać... nigdy! Bądź spokojny szczęśliwy... kochałam cię nad wszystko w świecie, całem swoim istnieniem i tej miłości nie strączę w błoto... nie mogę!... Ona mi była święta!...

Łzy jej z oczu trysnęły. Na drżących ustach krwawa spiekota bólu się czerwieni.

Patrzą w aktora zamlone łzami oczy ostatnim niewysłowionem spojrzeniem. Ogrom tego spojrzenia odrętwił go i zanieruchomił.

Stoi niby kamienny posąg, nie mogąc wyrzec słowa ani tchu chwycić.

Obfitszy strumień łez zalewa nagle to spojrzenie.

Terenia tłumi rwący się z piersi głuchy szloch i do drzwi biegnie.

Zapada wieko trumny nad jej miłością. Pałace szczęścia z marzeń i snów wyniesione, runęły w gruzy.

Już jest na schodach. Nie słychać kroków któreby za nią biegły, ni głosu któryby wołał by wróciła. Olbrzymi głaz przygniótł piersi aktora, głaz winy. Nie zechciał teraz los, aby zbłocony owad wpadł na śnieżno-biały kwiat. Pomimo wszystko — śnieżny.

Terenia wychodzi na ulicę. Wraca jakby z

pogrzebu. Wstrząsa nią ból i równocześnie jak gdyby kropla ulgi spadła na spiekotę jej serca.

Bezbrzeżny żal do świata budzi w niej teraz wielki wstręt, że na godność miłości może się targnąć kłam, ubrany w jej ukradzione szaty. I że jej słów używa, jej przysięg i tajemnic, i że się staje zwierzęciem zerowiskiem, zamiast świątynią twórczych godów.

Bezbrzeżnie rozżalona, biedna i zawiedziona stąpa Terenia drogą, po której szła niedawno z takim rozdygotanem szczęściem.

Zaledwie jednak uszła kilka kroków, zbliża się do niej nieznajoma blondynka, która tak szybko opuściła pokój aktora. Widać, że płacz Tereni, jej zachowanie, oraz dziwnie zdenerwowany wyraz twarzy aktora zachwiały wiarę w duszy rozkochannej dziewczyny i zatrzymały ją w pobliżu bram domu w chaosie myśli, rodzących różne podejrzenia. Na schodach nagle opadły ją te myśli i cierniem w mózg się wzgryzły.

— Przepraszam panią—odzywa się blondynka — proszę darować moją śmiałość... Widziałam, że pani tak płakała i teraz wraca sama.. Czy pani naprawdę jest siostrzenicą p. Ludka? On tak mi mówił... To jedno tylko wiedzieć pragnę... dla spokoju...

W jasnych jej oczach była ogromna prośba.

— Dlaczego się pani o to pyta?

Blondynka się rumieni.

— Bo... bo tak mi się wydaje, że p. Ludek nie powiedział mi prawdy. A ja chciałabym się upewnić, aby nieszłusznie nie podejrzewać go... To znaczy...

Terenia, widząc jak nieznajoma szuka słowa, ułatwia jej wyznaczenie.

— Czy pani może jest jego narzeczoną?

— Właściwie — chwyta szybko blondynka.

Terenia waha się co uczynić. Nie omyliło ją wrażenie pierwszej chwili. Czuje i zdaje sobie sprawę, że słowa prawdy uderzą ją straszliwie, boi się jednak kłamać. Może właśnie ta druzgocąca prawda będzie dla niej zbawieniem.

— Proszę pani, nie jestem jego siostrzenicą... Okłamał panią, tak, jak okłamał mnie... I mnie uważał za swoją narzeczoną... wierzyłam mu, wierzyłam w jego miłość... Teraz w pani znalazł nową ofiarę... A może nie, dodaje szybko — może on panią kocha prawdziwie, może pani nie rzuci...

Ponsowa twarz blondynki staje się nagle jak kreda, jakiś nieartykułowany krzyk więźnie jej w gardle. Naraz zwraca...

Terenia dostrzega ją jak wpada w bramę.

Chwyta ją nagle wyrzut, czy postąpiła dobrze.

Chociaż ani cień mściwości nie przebiegł jej przez duszę, przecież okłamać nie mogła. A może, może ratunkiem dla niej będzie? Może również oślepiona miłością nie widzi tego, że stoi nad przepaścią?

— Boże... Boże!... — szepce Terenia i poczyną iść dalej.

Coś łka jej w piersiach, coś się tłucze bezmocnie, targa w bólu i żali. Jakaś ogromna rzewna skarga, jakies zwątpienie i lęk przed światem. Nie widzi że potokiem spływa z błękitów niebios słońce, że na kwietnikach śródmiejskiego ogródka kwitną szpalery róż, że klomby tak śmieją się kwiatami, że wokół gwar beztroski, radosny... ona tego nie widzi i nie czuje... — wraca z pogrzebu.

Minęła teatr. Niesie ją szloch zamknięty w sobie, zdławiony, bezlitosny.

I znów widnieje przed nią szary, kamienny portal znanej świątyni i rozchyłona kuta brama.

Półmroczna głąb pociąga ją ku sobie i za chwilę wchłania ją w swoje, ulgę obiecujące, łono — . —

Zbliża się wieczór. Terenia ucieka z miasta. Kilkugodzinne bezcelowe błąkanie się po ulicach i parku wyczerpało jej słabe siły. Boi się ludzi i ich spojrzeń. Dwukrotnie zaczepiono ją w parku, gdzie na ławce chciała odpocząć. Zdaje jej się, że ma na czole wypisane, iż jest bezdomna i opuszczona. W oczach mężczyzn, w które spojrzała mimowoli, palił się jeden i ten sam ogień dziki i pożądlivy, zaczepny. Gdzie się zwróciła wszędzie ten sam wzrok napastny, wyzywający, lub słowo przerażające w swem pieścztotliwym brzmieniu. Ktoś niby cień szedł krok w krok za nią, zachodził drogą, uchylał kapelusza, ofiarowywał towarzystwo, że musiała zawracać i ginąć w tłumie. Nie było miejsca gdzieby mogła uchronić się przed zaczepką i choć chwilę odpocząć. A tak jej spokój był konieczny, aby móc zebrać chore myśli, coś postanowić, szukać ratunku i schronienia. Zbliżająca się wolno noc nieznanego miasta napawała ją trwogą. Strach ten w każdym mężczyźnie kazał widzieć potwora w rodzaju Rozendufta i tych co odwiedzali jego lokal. Mnóstwo kobiet przypominało jej pannę Adę. Widzi, że to ogromne miasto jest złe, że czai się jak dziki zwierz do skoku, że wciąż szuka ofiary. Że w tym straszliwym obcym tłumie nie znajdzie serca i pomocy, że tutaj litość nie ma przystępu. Że tu każda ulica się zaciąga niby porwany pajak i coś okropnie czyha w cieniu zaułków. Nikt tu ręki nie poda, chyba wysunie ją znienacka ażeby zepchnąć w przepaść. Tak to widzi Terenia i tak jej każe patrzeć mocno zboląta i zawiedziona dusza. Jej bojaźń do miasta wyolbrzymia się do piekielnych rozmiarów, a więc ucieka przed nim. Jest

jeden człowiek, który jej został teraz, to ów starszek ksiądz. Zatem u niego pragnie schron znaleźć. Poznała go jako uosobienie wprost anielskiej dobroci. Zrozumiał ją, pocieszył, przyrzekł pomóc w potrzebie. Pierwszem słowem zdobył jej zaufanie, że otworzyła przed nim serce jak przed najlepszym ojcem. Puka do jego drzwi. Słyszy łagodny głos od wewnątrz. Wchodzi nieśmiało, ale pełna otuchy.

Wita ją dobrotliwy uśmiech starszka, ale spochmurniał nagle, widząc smutek i bladość na obliczu dziewczęcia.

Terenia chwytą rękę kapłana i do ust ją przyciska. Równocześnie ksiądz lży odczuwa na swej dłoni.

— No, no, cichutko, proszę nie płakać... Usiądź-że dziecko — podsuwa jej kozetkę i sam tuż obok siada. — Coś widać złe, opowiadaj że... Zastałaś tego pana?

Terenia siłą tłumy płacz.

— Zastałam...

I rozpoczyna urywanemi słowy swą tragiczną opowieść. Mówi jak na spowiedzi. Powierza mu swój zawód, rozdarte serce i lęk przed idącą przyszłością. Do domu nie powróci na żadne skarby świata, musi iść w świat. A wielką trwogą przejmują ją ta myśl, świat taki wrogi, taki zły, tak ją przeraża jego obcość.

Nieutulone łkanie kończy opowieść.

— Nie płacz, nie płacz Tereniu — prosi wzruszony ksiądz — on nie wart twoich łez. To nieszlachetny człowiek, rozpustnik. Chociaż serduszko boli, lecz lepiej może, iż tak się stało... Byłabyś nieszczęśliwa... Bóg wie co robi, doświadcza uczy, zasyła nieszczęścia i krzyżyki, nieraz tak ciężkie i niepojęte, jakby nie jego wola je zsyłała...

Opatrzność Boża niezbadana, trzeba się z nią pogodzić...

Pocieszy ją, utula w płaczu, sam do głębi przejęty jej nieszczęściem. Czuje jej duszę piękną, wrażliwą, pełną poświęceń. Czuje serce jak kryształ, zdolne do największych uniesień, dobre, anielskie. Wie, że to serce od dziecka nie zaznało rodzicielskiej miłości, że tego serca matczyne usta nie ogrzały, nie wprowadziły w świat i nie dały mu hartu. Nic więc dziwnego, że tęskniło za ciepłem i dziecięcą pieśczętą, że głód miłości wrósł w nie wprost organicznie. Aż przyszła chwila, wrodzonego ocknienia tego serca, przyszło orędzie pozywające w krainy nieprzeżywanych wzruszeń, oślepiające swoim blaskiem i czarem, potężne, żywiołowe i nie zwalczone. Przyszło i uderzyło weń jak piorun, roznieciło w niem pożar i wzięło w orkan szalejących płomieni. Pierwszy raz w życiu ktoś je do piersi swej przytulił i dał mu odczuć szczęście czule, pieśeiwe słowa i ufność w szczęście wykorzystał. Nieświadoma zła i zdrady nie przeczuła zasadzki, nie mogła oprzeć się pokusie pełnej oszalamiającego czaru, musiała ulec. Ale żyła w ufności, w dziecięcej wierze w szczęście i w przysięganą miłość. Żyła radością i tęsknotą i swoim powołaniem. Aż oto teraz z ócz spada jej zasłona i odsłania rzeczywistość. I co najbardziej zastanawia staruszka, że, mimo zdrady i zawodu, pomimo opuszczenia, — w sercu tego dziewczęcia zostaje jeszcze szczęście inne, żywsze, wznioślejsze świadczące, jego nieskażonej wartości, to szczęście macierzyństwa... Macierzyństwa! co nie rozpacza i nie pomstuje, nie szuka zbrodniczego ratunku, ale się godzi z niem i z losem, godzi bez skargi. Ten fakt niezwykle zdumiewa księdza i czcic w niej nakazuje godność prawej, niespaczonej natury

i poświęcenia. Nie usiłuje już tak jak rano, nakłaniać ją do powrotu do domu, pojął, że tego z różnych względów w żaden sposób nie uczyni, — lecz skupia myśli, aby znaleźć ratunek. Ma wpływy i stosunki i czuje święty obowiązek, że ten dziki zerwany kwiat należy pielęgnować i chronić od zaguby. Całem sercem pragnie przyjąć jej z pomocą Wywarła na nim tak dodatnie wrażenie, tyle odczuł w niej dobra, że w krótkiej chwili przylgnął do niej jakby już lata całe śledził jej piękną, osieroconą duszę

Różne plany były podsuwać myśli, lecz jeden się wyróżnił i wybił na czoło. Nie mówi jeszcze o nim, jeszcze go składa i rozważa.

— Nie martw się dziecko, Pan Bóg cię nie opuści — mówi z dobrocią. — Mówisz, że potrafisz pracować, dobrze... cóż ty Tereniu umiesz?

Terenia wznosi na staruszkę martwe oczęta.

— Umiem haftować, grać... Na przyszły rok miałam skończyć liceum, a więc bym mogła uczyć dzieci czytać i pisać — mówi naiwnie. — Gdybym tak mogła na wieś się dostać, do jakiej szkółki... bo miasta ja się boję...

Zresztą, wszystkiego bym się nauczyła...

— mówisz, że umiesz grać — odzywa się staruszek, którego dobrotliwe oblicze ożywia się i rozjaśnia. — Na czem — że grasz, zapewne na fortepianie, prawda?

— Tak, gram dosyć dobrze. Uczęszczałam na najwyższy kurs pr. Donarelli'ego.

— Ho, ho! To ślicznie. Ja tak lubię muzykę... Popatrz-że jest pianino, możebyś tak zagrała... Muzyka rozpędza smutek... koi... ucisza... Proszę, zagraj, Tereniu — prosi, powstając. — Są nuty...

Terenia widzi, że to egzamin. Bez zawahania wstaje i podchodzi do otwartego instrumentu. Na

pulpicie widnieje kompozycja ks. Józefa Surzyńskiego „Miserere“.

— Zagram to „Miserere“ dobrze?

— Owszem, owszem! — chwytą szybko do brodziej.

Już łka i woła pełna błagania melodia.

Unosi się w przestworza z padolu płaczu, łez i rwie się z serca, ze dna niedoli ludzkiej i opuszczenia.

— Akurat to ci zagrać przyszło — myśli staruszek, lecz ta myśl pierzcha wkrótce, bowiem ogarnia go zdumienie. Gra to niezwykła wielka, przejmująca artyzmemi głębią odtwarzania. Sam wielce muzykalny, wczuwa się zbożnie duszą w rozpaczliwe wołania jęczących tonów, pochyla kornie czoło przed wielkością artyzmu, ledwie uszom i oczom wierząc, że to gra owa nieszczęśliwa panienka, której miłość zdeptano, którą tak podle uwiedziono. I że w tem wiotkiem ciele żywie taka potęga, taki ogromny duch.

Patrzy w nią niby w cudowne objawienie, — jakżeż jest teraz inna, jak cała zatoneła w natchnieniu, jakżeż niezmierną się wydaje.

Serce świętego starowiny drży w zachwycie, widzi jej Boskie namazanie i nie może zrozumieć, nie może pojąć, że tę istotę tak ciężko Bóg doświadczają i tak urwistą prowadzi drogą. W głowie mu się nie mieści, że ją obdarzył tak ogromnym talentem i jak wiatr miota ją teraz...

Mimowoli ciśnie mu się pod czaszką jakiś żal niewysłowiony, bluźnierczy, niemal wyrzut, lecz go odgarnia i modli się i słucha.

— Wybacz mi, Panie Boże, nikt Twych wyroków nie ogarnie — szepta w duchu z pokorą. — Ty, tej dziewczeczce zginąć nie dasz, Twoja wola najświętsza ją uchroni...

Terenia kończy „Miserere” i waczerpnawszy tchu, poczyna nową grę. Gra szopenowskie preludja i nokturny, szarpie jak grad padają, wiją się, mieszają i w szal wpadają tony warjacyj.

Urywa i niespokojne ogląda się za siebie.

Książd jakby się przebudził. Wyciąga ręce i drepce ku Tereni... Po ojcowsku przygarnia ją do piersi, a z ocz mu lecą łzy.

— Jak to możliwe... jak to możliwe... — szepce nawskroś wzruszony i przejęty. — Ach, jak ty grasz, sieroto moja... Z tysięcy Bóg cię wybrał i obdarzył talentem, chabinko moja biedna...

Sadza ją obok siebie, ociera łzy natrętne, pieści jej drobne ręce.

Dusza Tereni czuje jak spływa na nią balsam. Ośmielona zapytuje po chwili, czyby nie mogła, dawać lekcje gry...

W głowie starszka szumi chaos. Najśmielsze horoskopy rozwidniają się przed nim, wszak ta dziewczyna, to skończona artystka, to rzadki ogromny talent. Skupia zdumione i podniecone myśli, układa je w szeregi. Plan jeden już zwycięża, wydaje się najlepszy.

— Moja kochana, tak... to możliwe. Trudne i to nietrudne lecz byś musiała w mieście zostać, a ty się miasta boisz... Mam inny plan... Może Pan Bóg wybrał mię za orędownika sprowadzając cię do mnie. Wcisnę w to całą duszę... On w swej dobroci przed chwilą natchnął mię pewną myślą... Narazie to jedno dla cię wyście — — przyszłość Jemu zostawmy. — Niepokojąca radość nagłemi blaski rozjaśnia jego twarz — Słuchaj, Tereniu, czy ty wiesz lubisz, czy byś tam mieszkać chciała? Powiedz mi szczerze...

— Ach, kięże dobrodzieju, ja kocham wiesz, kocham jej ciszę! — wyrywa się jej z ust. — Tam

udzie inni... Boże! takbym pragnęła na wsi mieszkać, że wypowiedzieć nie potrafię!

W jednej chwili znika z jej oczu smutek i zboląłą twarzyczkę powleka wyraz szczęścia.

Do ust kapłana cisną się słowa niecierpliwe.

— Otóż to dobrze, dobrze. Słuchaj — — daleko stąd za Bugiem jest dwór mego bratanka... Od kilku lat jest wdowcem... Ma syna jedynaka, który na bolszewickim froncie pod Warszawą utracił wzrok zupełnie. Piasek bryźnięty jakąś piekielną eksplozją oślepił go nazawsze. Uszedł cudownie śmierci, ale przepłacił to to strasznie kalectwem. Młodzieniec pełen sił i zapału, dobry, że go do rany przyłożył, szlachetny, entuzjasta, poeta, patriota, nadzieja ojca, — dziś żyje w wiecznej nocy. Świat przed nim jest zamknięty, czarny jak w grobie i beznadziejny. Już go nie ujrzy nigdy, on już na wieki zgasł dla niego... — Znow łza toczy się po obliczu kapłana. — Trudno, Bóg tak zarządził i tak chciała ojczyzna. Chwała Ci, Boże, cześć Ojczyźnie.

Otarł łzę dłonią. — Otóż Tereniu, on tak kochał muzykę... Gdy kto grał dobrze, słuchał całymi godzinami, jak wniebowzięty... Szczęsny mu jest na imię... Mój Boże, jakby na ironję! Otóż, Tereniu droga, mogłabyś tam pojechać... Grałabyś mu albo czytała, była mu towarzyszką, bo on tak strasznie biedny... Wiem, że twoja muzyka byłaby dla niego niewysłowionem szczęściem. Mrok oczu rozjaśniłabyś mu niebiańską słonecznością ducha. Bóg by ci wynagrodził za tę ofiarę. Zetrzeć jedną łzę smutku z czyjejs twarży, znaczy Boga ogromnie wiele.

— Owszem, jegomość, ja z radością pojedę — odzywa się Terenia do łez prawie wzruszona słowami księdza. — Boże, jakież on strasznie biedny!

— Och biedny, biedny! Dzięki ci moja droga. Czuję, że mu przyniesiesz wiele szczęścia. Coś mi

tak w duchu szepce, że i twój smutek znajdzie tam ukojenie... Znajdziesz tam ludzi dobrych, i opiekę... Przyszłość swoją zostawmy teraz Opatrzności....

Terenia schyla się do ręki sędziwego staruszka. Pojedzie. Będzie na wsi, wśród pól, zdaleka od miasta. Może ulży w niedoli nieszczęśliwego rycerzowi, może i boleść swoją tam uciszy. Dziś do rodziców wysła list, że nie powróci nigdy, aby jej nie szukano. Czuje, że to powinna zrobić dla ich spokoju. Zwierza księdzu myśl swoją, który również uznaje ją za konieczną. Trapi go wprawdzie ta ucieczka, ale nie widzi wyjścia. Lęk Tereni przed rodzicielskim domem zamyka powrót. Zresztą któż wie, jak jeszcze zrządzić może przeznaczenie?

Staruszek raduje się ogromnie, widząc zdecydowaną chęć Tereni udania się na wieś. Przeczuwa nieomylnie, że ją tam pokochają, nie dadzą odczuć jej fatalnego zdarzenia, że ona sama wpłynie w ich dom, jak dobry anioł.

Tak go ta myśl podnieca, że sam gotów z nią pojechać. Po co posyłać przez nią polecający list, gdy sam pojechać może i osobiście ułożyć jej stosunki. Więc decyduje się na wyjazd.

Dziś jeszcze da depezę, a jutro w drogę. Wyrozumiały kapłan i o tem myśli, że Terenia tyle posiada co na sobie. Szuka szkatułki.

— Tereniu moja — uśmiecha się i grozi palcem — nie waż się odmawiać. — Oto pieniądze. Trzeba kupić sukienkę, bielizny, no i te wasze panińskie fatalaszki. I nuty, nuty! To już twoja dziedzina. Moja Małgosia pomoże ci w zakupie. Sklepy wam zamkną, ruszajcież się coperdziej!

Dzwonkiem przywołuje Małgosię dobrze już szronem przyprószoną i wydaje rozkazy. Jest tak żywy, jak młodzian.

Terenia nie może mu odmawiać, w żaden sposób nie może. Czuje, żeby mu przykrość wyrządziła. Płoni się i zgadza z koniecznością. — —

Sprawunki w mieście załatwiono i wysłano telegram. Potem wieczorem. pogawędka, gra Tereni. Siwy kanonik zakochał się w jej grze i patrzył w bledziuchną wirtuozkę jak w kwiat cudowny, z którym tak nielitośnie obszedł się los. — —

Jest noc. W małym pokoiku, schludnym, który Tereni przeznaczono na nocleg, panuje cisza. Terenia mimo ogromnego zmęczenia jeszcze nie śpi. Umysł pracuje, trawi całodzienne wrażenia, budzi wspomnienia, i rwie się ku przyszłości.

Postać aktora Ludka wciąż stoi przed nią — raz jak królewicz z bajki, to znów jak widmo. Raz się bliskim wydaje i nad życie kochanym, jak w pierwszych dniach poznania, jak zawsze. jak w dniach rozłąki i tęsknoty, — to znów jakby na krańcu świata, jak koszmar lat dalekich, zamglony, zapomniany.

Uczucie jej do niego nie ma obecnie nazwy, jest jakieś strasznie chaotyczne, zmierzwione, nad wyraz przykre.

Trudno uwierzyć jej w tę zdradę, że jego usta mogły tak kłamać, że zdolny był tak okrutnie postąpić. Wydawał się jej tak wielki i szlachetny, o najwspanialszem sercu, tak dobry i oddany. I — zawiódł! Zdeptał jej miłość, oszukał, skrzywdził. Odrzucił precz jej najświętsze uczucia, skopał je, i sponiewierał. I dlaczego, dlaczego?

Błądzą jej myśli po ruinach zdruzgotanego szczęścia. Błysło to szczęście i zgasło.

Wróciła przeszłość, po stokroć gorsza i boleśniejsza. Czy po to przyszło szczęście aby nauczyć serce rajskich uśmiechów, przypiąć mu skrzyd-

ła czarownych lotów, — i stracić z wyżyn w otchłań? Czy poto?

Dusza Tereni skarży się i szuka odpowiedzi. Niestety! Tłoczą się w mózg pytania i gryzą jadłowicie. jak skorpiony.

Połyka łyżę i znowu myślą zwraca się w nieznaną stronę swojej tułaczki. Czy tam odnajdzie spokój i zapomnienie?

Więc idzie w świat po dalsze przeznaczenie? Co na tej drodze jej pisane, co ją tam czeka? Porodzi dziecko... Czy ją z dziecią tam przygarną czy da mu dach nad głową, czy je wychowa?

Nad siły jej te myśli, znieść ich nie może, bo prą jak powódź. Biorą ją w nurty, wirują nią i miotają.

Na białej ścianie ponad łózką wisi rozpięty Chrystus.

Ku tej postaci Boga na ziemi wznosi Terenia zażawione źrenice.

— Chryste, o Chryste ratuj mię, nie opuszczaj!..

Naraz obraz księdza staruszka objawia się w oczach. I jakiś ogród wielki, cichy, ukojny. I zboża w słońcu, łąki i las... I czyjeś oczy niewidome, ręce omackiem wyciągnięte — — w mrok nieprzebyte.

Jakgdyby z krzyża spływają na nie. Te obrazy, jakieś widzenia i przyjazne wołania — — pójdz do nas...

Wybiła północ na kościelnym zegarze, gdy mokre rzęsy ócz Tereni stulił jak rośne płatki sen.

Jak nad ptaszyną młodą, z gniazdka wypadła, roztoczył skrzydła ukojenia, uciszył mękę i powiódł za rączynę w strony nabużańskiego dworu.—

XI.

Od dwóch tygodni jest Terenia w Wojnowie.

Urzeczywistnił się jej sen, sprawdziły się przecucia księdza staruszka, — znalazła tutaj cichą, serdeczną przystań. Przyjęto ją z radością, tak ciepło jakby córkę lub siostrę, jak kogoś najbliższego. Wpadła w to gniazdo oddalone od świata jak złoty promień słońca. Nie było w niej radosnego szczerbiotu, ni życia, które porusza cały dom uśmiechem i weselem, lecz było coś niezwykle dające się miłować co wnika w serce magnetyczną dobrocią, co je zjednywa raz na zawsze.

Smutek Tereni, chociaż płoszony z twarzy, nie raził tu nikogo, przeciwnie, łagodny jego wyraz spływał się dziwnie harmonijnie z domową atmosferą, bo na śmiech głośny tutaj miejsca nie było. Tu było życie ciche, odkąd powrócił z wojny panicz...

W ślad za jego nieszczęściem przyczółkał się tu smutek, wrósł w ściany domu i otoczenie i już pozostał. Zresztą z najbliższych nie było tu nikogo, ktoby się mógł weselić. Był tylko dziedzic nazwiskiem Kobylecki, wdowiec, ociemniały syn Szczęsny, pozatem służba.

A więc tylko dwóch panów i pośród nich nieszczęście. Dziedzic, choć jeszcze w sile wieku, wyglądał już tak starzec, nic w tem dziwnego. Jedynę dziecię, syna, którego miał jak oko w głowie którego kochał ponad życie, w którym pokładał wszystkie swoje nadzieje, dotknęło najstraszliwsze kalectwo, utrata oczu. To głowę ojca przedwczesnie siwizną, przypiószyło zatrulo życie i złamało.

Przyjazd w ten dom Tereni dziwnie kojąco wpłynął na ojca i na syna. Wniosła tu jakiś balsam, jakiś ożywiający powiew i ulgę. Były tu już lektorki sprowadzone do towarzystwa nieszczęsnego, ale odeszły. Nie dla nich były te obowiązki i zacisze. Widać, że los chował to miejsce dla Tere-

ni. Już w pierwszych dniach dziedzic wziął ją za córkę a syn za siostrę.

Nie jesteś u nas na posadzie, lecz jesteś naszą — powiedziano jej szczerze — — Damy ci wszystko, tylko pozostań z nami...

Ksiądz kanonik nie tail jaka konieczność przyznała ją w te progi. lecz to nie ostudziło pierwszych uczuć, owszem, zrodziło jeszcze serdeczniejsze przyjęcie dla uwiedzionej.

— Nie martw się dziecko, nie myśl, że słowa nasze są nieszczerze, nie, nie! Jesteś u ludzi którzy twe serce rozumieją i czują je i chcieliby pocieszyć.. Kochałaś, nie znałaś życia, biała twoja duszyczka nie wiedziała o kłamstwie, jesteś niewinna...

Tak jej mówiono, by wzajemny stosunek nie macił spojrzeń, lecz aby je zasłonił. I tak się właśnie stało. Tylko w duszę p. Szczęsnego zapadła iskra gniewu i oburzenia, jak ktoś mógł tak niecznie postąpić i targnąć się w ohydzie kłamstwa na tę słabą istotę...

Mistrzowska gra Tereni do reszty zjednała sobie serca, Pierwszy raz o ściany tego domu odbiła się gra taka. Wielki jej artyzm stał się obecnie tutaj wszystkim. Wniósł w te smutne komnaty orzeźwiający źród, słodkie natchnienia i powietrze. Nauczył znowu piersi oddecha, obręcze serc rozluźniał, rozpraszał, czarne chmury. Świt na rozpalone bólem piersi, wachlował epiekę skroni i niósł ulżenie myślom. Słowem — odradzał.

Zapominano przy tej grze, że bezlitosne przeznaczenie przysiadło. To domostwo, niby gnębiące widmo. Jakoś łatwiej godzono się z niem teraz. Skrawek słońca począł zaglądać w okna, jak dobrotliwy duch.

Puste oczy p. Szczęsnego widziały w takich chwilach.

Ekstacycznie zasłuchana dusza zapominała, iż ją odgradza kir wiecznej nocy od mirażowych wizji świata. Intensywność wzbudzonej wyobraźni żyła jak gdyby jawą. Wchodził w cudne ogrody swej młodości, ogrody wspomnień. Widział znowu wyraźnie czyjeś, chabrowe oczy, włosy jak len, smukłą, kochaną postać. To było ona... pierwsza miłość i — zawód. Kalectwo oczu zmieniło jej uczucie. Wraz z śmiercią wzroku, umarła miłość. Jakby z nim razem na świat przyszła i jakby tylko w nim było jej życie. Przeszło... nie wróci... Jakże często heroizm poświęcenia zabija własne szczęście i miast płomiennego uznania doznaje zimnej wzgardy... Ot, — świat... Jakim jest tylko, takim go gra Terenia, przeto prawda tej gry chwyta go za pulsy serc. Przedziwną wielkość ma ta gra w sobie i majestat. Nic daje jej z estrady ściżbionym tłumom za złoto i uklaski, lecz samotnemu inwalidzie z serca — za serce. Ból własny, ból cudzy wyśpiewa, wspólne pragnienia i nadzieje. Oto teraz jej rola... Lektura, muzyka i przechadzki. Trzeba dać komuś złudę życia, ach, trzeba! Widzi tutaj nieszczęście po sto-kroć większe od swojego, okrutne. Nieszczęście, które krok każdy przypomina, o którym zewsząd wszystko mówi.

Ot, właśnie... Jest nad wieczorem. Trzymając się na ręce, idzie Terenia z Szczęsnym krajem lasu. Mówią do siebie po imieniu, jak brat z siostrą.

— Czujesz, Tereniu, że las ma teraz inny zapach? — rzuca pytanie inwalida.

— Tak jeszcze jestem mało zżyta z lasem, że tych przejść nie odróżniam — szczerze odpowiada Terenia.

— A ja je znam, znam... Przejdźmy przez fosę i usiądźmy na wałku, bo tu wszędzie kraj

mrówek. Zmęczona pewnie jesteś, bo i gdzieżby! oprowadzenie ślepcą lasem musi utrudzić.

— Nie, nie zmęczonam.

— Mój Boże! gdzieżbyś ty się przyznała do zmęczenia, droga samarytanko! Jednak usiadźmy... Przeszli przez suchy rów i usiedli na trawie.

— Otóż widzisz — ciągnie dalej poczęty temat — upał dnia wchłonęły w siebie mchy. Siła ciepła już ich niezmocze teraz. Teraz wydychają z swych piersi nagromadzone przez dzień słońce, wzbogacone aromatem korzeni. To jest naprawdę przepyszny zapach, o! — zaciągnął się powietrzem — jak subtelną perfumę... Trwa on prawie godzinę potem przeważa znowu zapach paproci i żywicznych igiełek... I równocześnie teraz stwarza się w lesie pierwszy zmierzch. Poza jego granicą jest jeszcze jasność dnia i będzie do zachodu, a tu już się poczyna rodzić noc... Czuję tę chwilę i wiem, że tak jest niezawodnie.

— Spójrzyj.. — wskazał jej dłonią w las. — Widzisz, jak z podszycia zarośli podnosi się ledwie uchwytna wzrokiem szara mgła... To nawet jeszcze nie mgła, to oman... Prawda?

Terenia potaknęła.

Dwie sztuczne, szklane źrenice, okryte czarnym szkłem okularów, patrzą w głąb lasu. Patrzą, chociaż nie widzą.

— I ten oman już spina się na sosny, zwisa na sękach... wreszcie wkrada się w rozsochate korony. Zawiesi na szpilkach swą pajęczą firankę i będzie gęstniał, gęstniał... Będzie ją tkał coraz to grubszą, ciemniejszą, aż stworzy taki mrok, jak mój... Nie, takiego nie stworzy, nie potrafił — dziwnie boleśnie się uśmiecha. — On nocy mojej nie prześcignie! Chyba, gdy już na wieki słońce zgaśnie... Lecz ono jeszcze jutro wstanie... jutro,

pojutrze... noc się rozpłynie, zmierzch pierzchnie, tylko noc moja nie doczeka się świtu Ha, nie, to nie!

Litość szponami bólu ściska serce Tereni. W oczach ma łzy.

— Proszę nie myśleć o tem i nie rozpaczać — prosi, ujmując go za rękę.

Nie myśleć, jakżeż nie myśleć? Kto tak jak ja kochał ten świat, ten las, te pola, kto tak podsłuchał każdy szmer i podpatrzył robaczka, kto się tak modlił szczęściem do wschodu słońca, do skwar nego południa, do wieczoru, gwiazdzistej nocy, — ten musi myśleć. Jam tu na każdym kroku zostawił część mej duszy, wieńce mych marzeń, tyle radości i nadziei — naraz to wszystko w grób zapadło! Liczę 26 rok życia i jestem trupem!.. Jestem ciężarem samemu sobie, ojcu, tobie Tereniu, społeczeństwu, po co ja żyję?

— Nie, nie!

— Jakżeż! Jaki ze mnie pożytek? Czuję ogromną siłę w mym kadłubie. Jezu! och, jaką siłę i jestem ślepy! Gorzej niż ci bez rąk i nóg! Gdzież ten mój świat, gdzie koń, gdzie praca! Nic, nic! Tylko krok stawiaj wolno, ostrożnie, niepewnie i bij dłońmi omackiem... Ach, Boże!

Rozpacz zeń bije. Skurcz przelatuje po jego pięknem o krycznym zdrowiu obliczu, palce boleśnie wpijają się w kolana. Targa się młodość w piersiach, jak olbrzym na uwięzi, spragniona wyżyn i niewstrzymanych lotów. Młodość jak Ikar oszalała, mocna i żywiołowa.

I kiedy chce się zerwać, nagle przed jej skrzydłami wyrasta — noc..!

Terenię chwyta płacz. Tego obrazu znieść nie może, tyle w nim męki.

— Boże! ty płaczesz? Tereniu, dlaczego?

— Jakiś ty strasznie biedny, biedny...

Już wie dlaczego płacze. Tuli do piersi jej tak dobre rączyny i tak pragnie by móc mu pomóc.

— Nie płacz, nie płacz Tereniu, na wszystko proszę!... Nigdy nie przejmuj się moją mową... niech mówię — bo mi lżej, niech się buntuje, bom nie robak, lecz ty nie zważaj nato...

— Och, gdybym mogła, tobym ci dała moje oczy... Tyś potrzebniejszy społeczeństwu...

— Nie mów tak, proszę! nie mów!...

Ciszy ją, uspakaja.

—... Widzisz, ja się z losem nie zgodzę, dlatego się buntuję... I tak mi przejdzie życie, na nieustannym buncie. W pierwszych miesiącach chciałem odebrać sobie życie, lecz nie, to byłoby tchórzostwem, a ja bóg kocham... Niech los nie myśli, że mnie zgniótl. Nic! Teraz walczę za siebie i za ciebie... Nieszczęście twoje tak do mnie przemówiło, jak i moje do ciebie... Jesteś jak anioł dobra i dobroć twoja natchnęła mnie nową potęgą życia. Jesteś mi teraz gwiazdą boju... Dziwny to bóg — z widmami — jednak jest mi konieczny! Mam przy tobie moment, że prawie widzę... Tak mi się dziwnie robi jasno, tak wolno...

To sprawia twoja gra i twoja mowa... Jest w tobie jakiś cudowny źródło powracający życie. I jakież ja niewdzięczny! Już tyle razy spodowałem twoje łzy... Wybacz mi, daruj...

— To ja winnam przeprosić, że niepotrzebnym płaczem jeszcze powiększam twoją boleść...

Cisnie do ust jej rękę.

— Cicho... cicho... Brakuje mi słów ludzkich, nym ci mógł podziękować... Już dobrze jest... och, dobrze...

Znów powracają do słońca, po zmierzchu idącego po lesie wieczoru. Szczęsny pyta Tereni o każ-

dy szczegół, to sam spostrzega czuciem to i owo pamięta. Jak przyroda przewraca karty swojej księgi.

Płyną im chwile na rozmowie o wszystkim. Mówią o sobie, o losach które przeszły i o obecnej chwili.

Z zwierzeniami Tereni spotykają się jego. Obydwoje kochali i zawód spotkał ich bolesny. Odepchnięto ich, szczęście, nie dało się osiągnąć. Teraz niby zebrana brać weszli na drożynę żywota i idą nią pątniczko. Idą...

— Prawda już zachód?

— Tak już słońce w las zapada.

Szczęśny wodzi dłonią po trawie.

— ot, już i rosa pada. Będzie pogoda... Za chwilę czerwone groty przesyją czuby drzew, znikną do wnętrza lasu. Słońce pocałunkiem pożegna mchy i paprocie, uściśnie drzewa, powie „dobranoc“ i odejdzie...

Jakaś niezmiernie tęskna nuta brzmi w jej głosie. Przepiękny profil jego twarzy powleka znowu cień tragizmu. Dusza wielbiciela natury, zda się, przenika ciało i wygląda na zachodzące słońce.

— ... Gdybyś mi teraz grała anielska wirtuozko, tobym widział te zorze, i las w purpurze i twoje oczy rozmodlone... Bo wiem, że się do tego piękna modlą, same niem będąc..

— Zagram ci w domu „Wieczorną Pieśń“ mojego profesora Cudownel

— Zagrasz mi i rzeczywistość zesłesz... A teraz dłoń mi podaj, tę czarodziejską tę niewymownie dobrą dłoń... a cud ich sprawi, że szklane ślepie dojrzą rąbek zachodu... Chcę patrzeć, pragnę choć jeden widzieć promień! Widzisz, w dobrą stronę patrzę — o, tu... — wskazuje ręka — tu słońce w las się schyla, jak przed 6 laty... Pamiętam.

Milczą przez chwilę. Słyszą wzruszone bicie ich serc.

Terenia patrzy w nieszczęsnego, to na szkarłat zachodu. Cóż by dała w tej chwili, aby mógł go zobaczyć... choćby na moment, na jedno mgnienie oka! Coś ją z nim łączy, coś gwałtownie doń zbliża.. jakieś uczucie wielkie, święte, jakowaś miłość wezbrana miłosierdziem, łzami i bólem, nieszczęściem. Widzi taką twarz jego, jakby naprawdę potężna woła rozdzierał mrok przed sobą. Zapomina o swem cierpieniu, bo widzi większe, straszliwsze, już nie na ludzkie siły.

Szczęśny w dłoń ją całuje oddycha głęboko.

— Dziękuję ! tak dzień się kończy... Wstańmy już, chodźmy — wyszeptał ciszej.

Powstali z ziemi.

— Jaki ja dzieciak, odzywa się po chwili — i mazgaj. Poco tak się rozczulać.

— Dlaczego ?

— Ot, męczę cię bezustannie swą oszalałą fantazją...

Ależ, bynajmniej! Proszę o tem nie myśleć, nie, nie! Mnie nic nie męczy..

A jednak wmawiam w siebie obawę, bym cię nie stracił.. Dzień cały przebywać przy kalece, grać mu i czytać, prowadzić jak niemowlę, to przecież straszne! Nie masz dla siebie chwili czasu, aby odpocząć, by go sobie poświęcić... A przecież jest ci potrzebna cisza, by móc się leczyć, by sił nabierać do zwalczania widma zawodu...

— Właśnie w twem towarzystwie już zapomniałam prawie.

— W mem towarzystwie?

— Tak. zapominam o nim i o mem nieszczęściu widząc, że fatum zsyła stokroć sroźsze. Wierzaj mi, proszę, że niczego nie pragnę. Czuję się bardzo

dobrze, nic mię męczy i naprawdę odczuwam tchnienie szczęścia widząc, że pogodzisz oblicze, że ci gra moja daje wytchnienie.. Owszem, pragnę, — być z tobą przez dzień cały, jak z bratem, jak z przyjacielem, bowiem samotność mię przeraża.. Chcę zapomnieć o wszystkim i zdobyć w sobie wiarę, że moja przeszłość była tylko majakiem i jako majak się rozviała..

Szczęśny tuli jej ramię do swej piersi.

— Zapomnisz — mówi pieściwie — czas leczy rany. Ten nieszlachetny człowiek nie wart nawet twych wspomnień, ni jednej łzy.

Jakżeż się cieszę, że ci nie jest ciężarem... niechże ci nieba nagrodzą wszystkie doznane w życiu krzywdy... Oh! gdybym ja miał oczy gdyby... Pomściłbym każdą łzę twoją strasznie-bym pomścił

— Ja mu już wybaczyłam — mówi Terenia szeptem.

— Wybaczyłaś... — powtarza niby echo, jednak gniew się w nim pali.

Przez łany zbóż powracają do dworu. Już czeka na nich ojciec z wieczerzą. A potem znowu fortepian. Na falach tonów płynie dusza Tereni gdzieś w złote gwiazdy. Ktoś z ziemi goni za nią, idzie jak cień ze łzami bólu w oczach, z jakąś dziką rozpaczą i krzykiem oniemiałym na wargach... Modli się do jej białej postaci i anielskiego serca, zasłania jej nieszczęście jakąś kotarą krwawą, przeklina fatum! Chciałby zawrócić, lecz nie może, zgubił drogę odwrotu...

„Wieczorna Pieśń“ przedzie się słodko i kończy cichą kołysanką. — —

Na dworze świeci miesiąc. Ciepła czerwcową noc nuży ciepłą rosą i zapachem rezedy.

Szczęśny z Terenią idą jeszcze na ganek.

— Oto ta pieśń i tu ucicha...

— Już idzie noc — mówi Terenia. — Ach, jak tu pachnie...

— To twoje kwiaty pachną... to pachnie świat. Tereniu!!

Imię to wypowiada ze drzeniem, jakimś niezwykłym głosem.

— Co tobie? — pyta zdumiona tą tak widoczną jego zmianą.

Lecz jego słowa dławią, tylko z za szklanych gałek oczu toczą się wielkie łzy rozszłochanego serca.

Białe, kojące ręce. Ujmują go za głowę — —

XII

... W strudzonej głowie autora kłębią się myśli,

Widnieją przed nim ostatnie białe karty...

Zostawił bohaterów w blaskach miesięcznej nocy i zapachu rezedy.

W poświęconej cisze padło imię kobiece, wypowiedziane żywiołowem wzruszeniem. Zrodziły się męka i miłość — — jak serca. — Co tobie? — pyta zdumione dziewczę. Jednak nie słyhać odpowiedzi, tylko wymowne łzy płynę z ocz szklanych.

Nowy tragiczny węzeł...

I oto nad nim дума teraz autor.

Rozdział następny winien dać szczęście, albo docna je skruszyć, Aliści, Prawda, jak Piłat, umywa ręce i odchodzi.

Pozostaje kłęb myśli, uzurpujący sobie dziesiątki praw. Konsekwencja stoi bezradna — — za wielki teraz chaos..

Bo właśnie myśli krzyczą jaki zgotować finał;

Upływa jeszcze miesiąc... Terenia pokochała ślepego bohatera. Ksiądz staruszek błogosławi ich związek —

— Szczęsny kocha Terenię, lecz jej nie może pojąć, bo... wiadomo. Tragizm miłości zwalcza go w boju i kończy samobójstwem —

— Ślub... Szczęście... Terenia wydaje na świat dziecko aktora i umiera. Mąż ginie na jej zwłokach. Samotny dziedzic adoptuje sierotę —

— Terenia topi się w stawie, nie mając wiary — czy da prawdziwe szczęście rozkochanemu inwalidzie. Również kocha, lecz ginie.

— Sławny chirurg przeszczepia jedno oko ślepemu, ofiarowane przez Terenię. To niesłychane poświęcenie rodzi nadludzką miłość i łączy ich nazawsze —

— W sercu aktora budzi się miłość, szuka Tereni, znajduje ją uwozi jak nowo-objawiony skarb. I tak bez końca spiętrzają się podszepty.

Niektóre niosą gotowe już opisy, sceny pełne pogody, to mrowie dreszczów. Jak przekupnie narzucają swój towar i drażą poły w różne strony.

Pióro drży w ręku autora. Waży efekty, sumienie własne i ckliwą miłość do swoich dzieci — bohaterów.

Jest teraz niby Fatum, w którego mocy leży wyrok. Może wypastelować tęczę na znak, że chmura nieszczęść minęła bezpowrotnie, albo krwawą ulewą dokonać ostatecznego dzieła zguby. Może jak burza wstrząsnąć nerwami czytelnika, pragnienia jego zaspokoić, lub go zostawić w osłupieniu.

Może, a jednak...

Naraz w natrętny tłum podszeptów wchodzi niebiańska pani — Muza...

Czyni się cisza — —

A ona zasłania pióro skrzydłem i mówi:

— Nie drżj. Szleś za tropem tego dziewczę-
cia dopóki widziałam w tem konieczność... Niech
je drogowskaz, przy którym ninie przystanęła, pro-
wodzi teraz dalej. Już ani słowa więcej — powieść
skończona..

K O N I E C .



Borzęcin, w lutym 1926.

ROJ

Nie kłamać — bawiąc



Nie nudzić — ucząc

Biblioteczka Historyczno-Geograficzna

Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, Kredytowa 1.

Konto P. K. O. 9680.

Tomik 64 str. co tydzień. — Ilustracje. — Konkursy.

Prenumerata kwartalna 3 zł.

A więc co tydzień książka za 23 gr. z przesyłką.

Poniżej wymienione cykle opracowali znani autorzy:

Wacław Sieroszewski: „Na szlakach świata”, Prof. Uniw. Poz.
Nowakowski: „Zdobywcy i odkrywcy”, Prof. Uniw. Lwowskiego Gór-
ka: „Jak umierali wielcy ludzie?”, Melcer-Rutkowska: „Słynni Kochan-
kowie”, Jerzy Bandrowski: „Pieruny i błyskawice wschodu”, Mece-
nas Okręt i M. Szpyrkówna: „Słynne procesy”, Stan. Wojtkiewicz:
„Boje morskie wielkiej wojny”, Bzowiecki: „Boje powietrzne wielkiej
wojny”, Łuzyc: „Rosja na przełomie”, A. Nowicki: „Zmierzch Habs-
burgów”, Peretjatkowiczowa i Świerczewski: „Seena i kulisy”, I Bria-
res: „Szpiegostwo wielkiej wojny”, Tuwim: „Czary i czarty”.

Nadto Lemański, Choromański, Błeszyński, Lehlond'owie, Brun,
Cieszkowski i t. p.

Książeczki pisane lekko i barwnie stają się w krótkim czasie
prawdziwym przyjacielem prenumeratora-czytelnika.

Na żądanie wysyłamy prospekty bezpłatnie.

Pojedyncze tomiki po 30 groszy w księgarniach, na stacjach,
w kioskach i wszędzie.

Wydawnictwa „ROJU“

1) Wacław Sieroszewski „Miłość Samuraja“ książka 14 ark. na pięknym papierze	2 Zł. 95 gr
2) Jack London Biały Kieł à 95 gr.	1 „ 95 „
3) „ Miłość życia	— 95 „
4) „ Pogarda kobiet	— 95 „
5) Twain „Największy z detektywów	— 95 „
6) Conan Doyle „Tragedja Koroska	— 95 „
7) Wańkowicz M. „Strzępy Epopei 2-e wydanie	1 „ 80 „
8) „ „Szpital w Cichiniech	— 95 „
9) E. Sue „Czarcie wzgórze“	— 95 „
10) Jean D. Esme „Dusza puszczy“ 2 tomy à 95 gr.	1 „ 90 „
11) Pierre Benoit „Atlantyda 2 tomy à 95 gr. . .	1 „ 90 „
12) J. T. Wróblewski „Jaśnie Chamstwo“	1 „ 95 „
13) Z. Rung „Handlarz żywym towarem“	— 95 „
14) Mayne Reide „Djabelska wyspa“	— 95 „
15) Rider Haggard—Potwór Heu Heu 2 tomy 95 gr.	„ 90 „
16) Paweł Staśko „Jej wiosna“	— 95 „
17) Ossendowski „Zbuntowani i zwyciężeni 95 gr.	— 95 „
18) Puszkina „Czarny orzeł“ 95 gr.	— 95 „
19) „ „Córka Kapitana 95 gr.	— 95 „
20) Czechow „Partja winta“ 95 gr.	— 95 „
21) Prof. Jan Szyc „Zasady Księgowości“ część I. i II. a 75 gr.	1 „ 95 „
22) Prof. J. St. Cezak „Geografia gospodarcza“ Część I.	— 75 „
23) St. Kocot „Zasadnicze wiadomości o handlu i jego organizacji“	— 75 „

Przesyłamy wszystkie powyżej wymienione książki jak również tomiki „Bibl. Hist. Geogr.“ po otrzymaniu należności i 20 g. na koszt przesyłki bez względu na jej wielkość. Za zaliczeniem wysyłamy przy zamówieniach nie niżej 5 zł.

UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY
130 St. George Street
Toronto, Ontario

10.000

CO POSIADAJĄ DO
KSIĘGARNIE KOI

„R U C

SPÓŁKA AKCY

WARSZAWA, ALEJE JER

(DOM WŁA

POZNAŃ, ul. Ratajczaka 36. — K
LWÓW, Zielona 6. — GDAŃSK, Kasz

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

225935

Biblioteka WSP Kielce



0082868

1) bogaty bezkonkurencyjny w
z całej Polski;

2) aktualne **wydawnictwa pism zagranicznych**, —
a więc: francuskie, angielskie, rosyjskie, niemieckie etc.;

3) bogaty dział **beletrystyki polskiej i zagranicznej**,
oraz wszelkie nowości literackie, książeczki „Roju”;

4) potrzebne w podróży **materiały pisemne**, a więc:
notesy, notatniki, kalendarze, ołówki, teczki, papiery, pocztówki
albumy, etc. etc.;

5) najnowsze wydawnictwa z dziedziny **krajoznawstwa**,
a więc: mapy Polski, Europy, mapy kolejowe, województw,
plany miast i ich okolic, **przewodniki**;

6) **Pamiętniki z podróży**: pocztówki miast, zwyczajne,
kolorowe, artystyczne, albumy w oprawie zwykłej i droższej;

7) wybór krajowych **zabawek** o charakterze swojskim po-
dług oryginalnych wzorów artystów polskich;

8) broszury o treści aktualnej z dziedziny **życia gospo-
darczego**, przemysłowego, skarbowości polskiej i t. p.;

9) **Żurnale mód** najnowsze, francuskie, wiedeńskie i pol-
skie, wydawnictwa z dziedziny **krawieczyzny domowej**,
gotowe kroje z bibułki do szycia w domu;

10) mydła, perfumy, wodę kolońską, etc.;

11) najnowsze wydanie **Urzędowego rozkładu
jazdy** oraz małych rozkładów jazdy: Wielkopolskiego i Po-
morskiego, Górnośląskiego, węzła Warszawskiego i Wschodnio-
Małopolskiego;

12) Wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego, jako to: **pa-
pierosy, cygara, tytonie** etc. — po cenach normalnych.